

Zofia Kossak

Trembowla

Powieść historyczna

Rozdział I:

Obcymi oczami

Gdy żydek poborca Fiszel, zawsze wszystko pierwszy wiedzący, przyniósł

wiadomość o obiorze marszałka koronnego, hetmana wielkiego, starosty

jaworowskiego Jana Sobieskiego królem - pan Hieronim Kościński z

Kośmina

zaniemówił ze zdziwienia na chwilę. Po czym, że miał umysł rozważny, daleko

w przyszłość wybiegający, pogładził wąsa i rzekł:

- Ani chybi wojewoda ruski obejmie po nim buławę, a wtedy nie zwoli

stacji w tej okolicy sprawować. O Dęblin mu będzie chodziło.

- Dałby to Bóg - westchnęła jejmość pani Małgorzata.

- Wysoko wyjechał starosta jaworowski, wysoko - ciągnął pan Hieronim nie

bez skrywanej urazy. - A zarzekali się, że Piasta więcej nie obiorą...

- Pan Hetman wojenny mąż - wtrącił nieśmiało imć Pokora, szafarz, famulus

i ekonom w jednej osobie. - Nie będą przy nim Tatarzy pod Zamość

podchodziły

jak łoni...

- A bodaj - stwierdził obojętnie pan Hieronim. Choć miał opinię statysty

i dalekowidza, nie lubił zajmować się sprawami nie obchodzącymi jego

powiatu. Lublin, odzdzielony puławskimi, żyrzyńskimi, zdał u się wielce

odległy, a cóż dopiero Zamość!

- Wojenny, to pewnie znów na Turka ruszy... - zaniepokoila się pani

Małgorzata spoglądając z troską w stronę podwórza, skąd dochodziły młode, ożywione głosy.

- Dalibóg, nie utrzymasz, jejmość, synalków w domu - roześmiał się małzonek rozumiejąc to spojrzenie. - Jedna pociecha, że hetman (trza już pono mówić miłościwy pan) nie będzie pospolitaków gnoił przez pół roku, jeno zaraz pogna w pole.

- Oj, to pospolite ruszenie - westchnęła znów jejmość.

Byłą z usposobienia frasobliwa, wiecznie trwożąca się i niepokojąca. Tym razem jednak każdy podzielał jej uczucia. Ostatnie pospolite ruszenie, przez nieboszczyka króla Michała pod Gołąb zwołane, dało się we znaki całej okolicy. Więcej o nim mówiono niż o najeździe szwedzkim sprzed dwustu lat, potopem nazywanym.

Wiadomo, że wróg to wróg, wojna to wojna. Nic dobrego od nich nie uzysczesz. Ale bodaj że gorsze zło, gdy kilkanaście tysięcy konnych swojaków z pacholkami i wozami stoi w miejscu przez rok blisko, krzycząc, paradując niby na okazywaniu, wiecując, pomstując to na hetmanów za królem,

to przeciw wszystkim, pustosząc równocześnie i gładząc całą okolicę.

Sprawiedliwie, że zagony tatarskie, hulające bezkarnie w Zamojszczyźnie, nie poczynały okrutniej. Głodne rajtary i służba niszczyły wsie, wyciągając ostatniego świniaka z chlewa, ostatnią kokoszkę z gniazda, ostatnią garść mąki z komory. Tyle że jasyru jak tamci nie brali.

I choć kronikarze powiadali później, że obiór Jana Sobieskiego

zwiastowały wielkie znaki na niebie i ziemi, trudno się może dziwić, iż pan

Hieronim Kościński jedną rzecz najważniejszą widział w tym zdarzeniu:

wojewoda ruski Jabłonowski, właściciel sąsiedniego Dęblina, objąwszy porzuconą przez króla buławę nie dozwolił postojowi wojsk w tej okolicy.

- Dałby to Bóg. Każ dać, jejmość, miodu. Wypijemy z pana Pokorą za zdrowie nowego pana...

- Niderlandczyka też zawołać?

- Tfu! A po co? Rad jestem, gdy go na oczy nie widzę.

Jejmość odeszła szuszcząc kamlotową suknią, dzwoniąc kluczami i wzdychając z przyzwyczajenia. Pan Pokora siedział cicho na brzeżku ławy jak uosobienie swego nazwiska, a pan Hieronim zamyślił się głęboko, aż sapał z przejęcia. Nad nagłym zgonem nieboszczyka Michała (gadają, że z przejedzenia żołądek się w nim odwrócił) i nowym obiorem. Na poprzedniej elekcji dziedzic kościński był obecny. Wypadało być obecnym i na tej. Salus Reipublicae suprema lex! Cóż, kiedy właśnie przyszły sianokosy! Jakże siana poniechać? Główna to podstawa majątku, a spuścić się nie ma na kogo.

Synowie wartogłowy, a Pokora pocziwiec, ech! nie dopilnuje niczego.

Na tamtej elekcji imć pan Hieronim nie żałował głosu. Wraz z sąsiadami gardłował zaciekle przeciw "Kondysowi", a za Karolem Lotaryńskim.

Dlaczego

głosował tak, a nie przeciwnie, trudno byłoby mu powiedzieć, zarówno

bowiem

Francuzi jak Niemce byli mu jednako nieznani. Potem dał się przekonać bez

trudu i wraz z innymi krzyczał: "Niech żyje Piast!" na cześć niezdarzonego Michała. Cały

powiat popił zdrowo przy tej okazji, służba odwoziła panów

**leżących pokotem na ziemi i pan Hieronim oprzytomniawszy wspominał mile
tę**

**dobrą, ogólną chęć, życzliwą myśl ku nowemu królowi, gotów przysięgać, że
nie masz jak pan swojej krwi. Wrychle poniesione klęski i pokój buczacki
niewiele go poruszyły. Dopiero pospolite ruszenie gołąbskie otrzeźwiło z
zapału. Ozeźlony, krzyczał wraz z panem Czarnieckim (bratankiem owego
wielkiego, zmarłego), że Piasta zarówno jak Francuza trza raz na zawsze
wykluczyć od tronu.**

**Aż tu patrzajcie, znów wybrano Piasta... No, no... Gdyby pan Hieronim
pojechał na elekcję, może by się to nie zdarzyło. Jeden świątły głos wiele
nieraz znaczy. Przez sianokosy zaniedbał sprawy publiczne... Dalibóg!**

**Pani Małgorzata wracała niosąc gąsiorek i szklanice. Za nią postępował
nieśmiało najstarszy z pana Hieronimowej progenitury Wicek, rosły chłop w
spłowiałym i przyciasnym ojcowym lejbiku.**

- Zwołałam Wicka - zsepnęła jejmość usprawiedliwiająco.

- To i dobrze. Niech się napije... Na zdrowie króla jegomości! Z pełnego!

- Na zdrowie!

**Wychylili do dna. Pan Hieronim z rozmachem, imć Pokora wolniutko, by jak
najdłużej radować przelyk doskonałym smakiem nektaru.**

- Coś acan tak poczerwieniał? - zwrócił się dziedzic do syna.

- Ja, miłościwy panie ojcze dobrodzieju?... Ja?...

- Ty. Miodu nie potrafisz wypić? Wstyd mi acan czynisz.

- To nie przez miód... to...

Bąkał strapiony, związany własną nieśmiałością, nie wiedzący, jak wyrazić
przepelniające go uczucia. Posłyszawszy o obiorze króla, skrył się za
stodołę i płakał. Z radości. Toć wszędzie mówiono o hetmanie i jego
tureckich przewagach. Zostawszy królem, powoła ani chybi wszystkich pod
broń. On, Wicek Kościński, wyrwie się nareszcie z domu, zobaczy
prawdziwych
rycerzy, prawdziwą wijaczkę...

Od dawna paliło go pragnienie wyfrunięcia z ojcowego ciasnego gniazda,
ruszenia w świat za otaczające wieńcem lasy. Pragnienie dotychczas
nieurzeczywistnione. Na to, by zaciągnąć się do pancernych, a bodaj
petyhorców, fortuna pana ojcową nie wystarczała. Stał więc z pospolitakami
pod Gołębiem i rozczarował się do tego rodzaju wojowania gruntownie. A w
domu wytrzymać już nie mógł, tak go w świat rwało. Nie on jeden. Młodszy o
dwa lata bliźniacy Oleś i Kostek dreptali również niecierpliwie w miejscu,
jak młody koń trzymany w zbyt szczupłej gródzi, i tylko patrzyli, jakby
ruszyć, ale dokąd?... Owoż, może się teraz droga otworzy...

Coraz bardziej zmieszany, poklonił się nisko ojcu, otarł wierzchem dłoni
usta i uciekł do ogrodu nad rzekę.

Dwór, gospodarskie obejście i śliwnik leżały w pętli utworzonej przez
rzekę Wieprzę, grymaśnie i kręto płynącą skroś równiny. Za rzeką czerniały
lasy dębińskie, głębokie, rozległe, do Jabłonowskich należące. Na tle lasu,
tuż nad rzeką, białął wysoko na górze położony folwark klasztorny
Wymysłów,
po czym znów następował las aż do Bobrownik, gdzie był bród na rzece.

Niegdyś znajdowały się tu liczne bobrowe żeremia, dawno jednak wyniszczyło je niedbalstwo podstarościch. Przypisywano wyćpienie bobrów Szwedom, ale było to wierutne łgarstwo. Jeszcze przed szwedzkim najazdem nie znalazłbyś ni jednego bobra.

Po drugiej stronie zamykały widnokrąg lasy puławskie, żyrzyńskie i własny niewielki, ale piękny, bogaty w zwierzynę las kościński. Pan Hieronim mógł polować z ogarami dowoli na swoim i to była jedyna przyjemność młodych Kościńszczaków. W mokrych olszynach wylegiwali się dziki, nad szerokimi łągami ciągnęły wiosną słonki, a latem w mokradłach aż huczało od głosów wodnego ptactwa.

Mimo obfitości lasów okolica była ludna, gęsto zarzucona wsiami. O ćwierć mili od Kościna leżały Strzyżowice. U wejścia do wsi stała kapliczka bardzo starożytna, w której figurę porąbali Szwedzi. Ludzie bali się jej ruszyć ni inną zastąpić, i zrąbany Jezus stał kaleki, patrząc jakby z zamyśleniem na własne ramiona i dłonie odcięte, złożone u swoich stóp. Niedaleko Strzyżowic leżała Parafianka, własność gołębskiego proboszcza. Bo parafia znajdowała się w odległym o dobre dwie mile Gołębiu.

Z dala, aż zza Wisły, widać było wyniosłą, wspaniałą gołębiowską kolegiatę. Tamtędy też przechodził królewski gościniec wiodący z Lublina do Warszawy. Zwano go tak szumnie królewskim, bo był szeroki i gdzie indziej okopany rowami, po prawdzie jednak błoto lub piach zalegało jego nawierzchnię tak samo jak każdą zwykłą polną drogę. Po obu stronach gościńca leżały kolejno szerokie błonia, łączyny, na koniec suche piaski porośnięte rzadkim, karłowatym jałowcem. Doskonałe miejsce do obozowania,

toteż na tych błoniach rozkładali się chętnie pospolitacy, zawiązywano konfederacje, a nierzadko toczyły się bitwy. Ostatnia była ze Szwedami.

Pastuchy, pasące wśród jałowców chude gromadzkie bydło, znajdowały nieraz rajtarskie pasy, zardzewiałe helmy i czerepy pocisków. Mawiali wtedy: "To z czasów starszego pana Czarnieckiego". Nazywali go starszym dla odróżnienia od bratanka, też Stefana, wielkiego krzykacza i tchórza.

Sam dwór kościński, chroniony z trzech stron rzeką, z czwartej częstokołem, nie był warowny; drewniany, szeroki, rozłożysty, o niezmiernie wysokim, czworokątnym niby namiot dachu. W samym środku domu, między dwoma ogromnymi kominami znajdował się sklepiony murowaniec, ciemna, niska izba stanowiąca skarbiec, skrytkę, a zarazem podtrzymanie wiązania dachu. Do był bowiem zbyt szeroki, by belki sięgnęły od węgła do węgła, przeto końce siostrzanów wspierały promienisto na sklepieniu murowańca. Z ciemnej izby było zejście do loszku, od którego klucza pan Hieronim nierad powierzał nikomu. Za dworem ciągnęły się grzędy ziół, sadek i śliwnik schodzące aż na brzegi rzeki.

Rzeką od wczesnej wiosny do jesieni sunęły tratwy, czyli "pasy" z drzewem, płynące Wieprzą do Wisły, Wisłą do Gdańska. Co rok wiedli je ci sami oryle. Poznawali ludzi stojących na brzegu i pokrzykiwali ku nim przyjacielsko. Na wieczór spuszczały w wodę prostopadle ociążale pale, zwane śrykami, podnosili stery, "drygawki", i nawoływali się rozgłośnie, a głos szedł daleko po

rosie. Potem rozpalali na tratwach ogniska, które w

ciemności błyszczaly jak gwiazdy. W czasie takiego postoju można było przechodzić rzekę wygodnie po nieruchomym pomoście tratw suchą nogą.

Gdy

synowie kościńskiego dziedzica byli młodszy, stanowiło to dla nich

nieustającą radość. Zbiegali wczesnym rankiem na połyskujące od rosy

drzewo

i z żalem schodzili, gdy oryle wyciągali śryki. Czasem płynęli do

najbliższego zakrętu, skąd zeskakiwali na piasek w płytką wodę. Miło było

sunąć z wolna, patrzeć na oddalający się dom ojcowski i wyobrażać sobie, że

wraz z flisami płynie się gdzieś do morza, na kraj świata.

- No, teraz niech panicze skaczą - mówili oryle - dalej zejdziemy na

głębię. Rzeka, psiajucha, znowu koryto zmieniła...

Zmieniała je istotnie co roku prawie. Niby prawdziwy wieprz ryła, jak

chciała, odwalając piaszczyste ławice na tym brzegu, a podrywając połacie

najlepszej ziemi na drugim. Żal było patrzeć, jak zanurzają się w wodzie na

przepadłe całe zagony uprawnej ziemi, jak chylą się i padają drzewa. To, że

z drugiej strony przekorna woda odsypie dwakroć tyle piasku, mała pociecha,

bo co komu po nim? Tyle, że gęsi dzikie mają gdzie nocować. Długich lat

trzeba, zanim porosnął go chyda wiklina, rozchodnik, skrzyp i dziewanna.

Ale na wybryki rzeki nikt nie znalazł rady.

- Byłaby rada - mawiał Arnold van Janssen, Niderlandczyk w gościnie u

Kościńskich bawiący - byłaby rada: pale na zakręcie wbić, faszyną

przepleść, kamieniami umocować i ziemią zasypać. Prąd poszedłby wtedy

prosto, zamiast walić się na brzeg.

- A jużci, posłucha się rzeka człowieka - parsknął drwiąco pan Hieronim.

- Morze większe od rzeki, a przecie nim rządym.

**Pan Hieronim nie odpowiadał. Raz, że morza nie znając uważał je za coś
pośledniejszego i nieruchawego; następnie, że go drażnił nadto mądry
cudzoziemiec. Jaki mi dufny! Rzece chciałby rozkazywać! W swym czarnym
odzieniu, wąskim białym kołnierzu, w czarnym kapeluszu wyglądał na tle
dworu**

**dziwacznie i obco. Sąsiedzi zapytywali już śmiejąc się pana Hieronima, czy
nowinkarz sprowadził i kwestie dysydenckie zamierza podnosić?**

**Nie. Panu Hieronimowi ani to było w głowie. Dysydenci! Odkąd ariański
kościół w Piaskach Luterskich pod Lublinem, opuszczony przez wygnanych
wyznawców, rozsypywał się w ruinę, nie słyszało się o nowinkarzach,
chrystianach i w ogóle dysydenstach.**

**Zresztą Arnold van Janssen nie był nowinkarzem. Był kupcem drzewnym z
Amsterdamu, współnikiem rodzzonego brata pana Hieronima, Pawła
Koźmińskiego.**

Od niego nauczył się cokolwiek polskiego języka, znał także niezłe łacinę.

Ów Paweł Koźmiński wyjechał z kraju prze laty, słuch o nim zaginął,

myślano, że dawno nie żyje. Alić okazało się teraz, że mieszka w

Niderlandach, że ma własne statki i lądowisko w porcie amsterdamskim. Że

dobrze mu się powodzi. Sam nie przyjechał (wstydz się, że z dobrej krwi

pochodząc kupczykie został - dorozumiewał się pan Hieronim), lecz

wspólnika

przysłał.

Z niezadowoleniem słuchał dziedzic kościński o niskiej kondycji brata i niechętnie przyznawał się panom sąsiadom, kto zacy przyjezdny. Ale nie mógł obojętnie patrzeć na przysłane faktury z Delft, obrusy lniane połyskujące jak jedwab i inne dary braterskie. Krzywił się tylko na cebule, jakie otrzymały jejmościanki. Cebule, nie cebule, miały z nich wyrosnąć niezwyklej urody kwiaty. Van Janssen zapewniał, że podobnych nawet król na zamku nie posiada i że wartość ich jest bezmierna. Pan Hieronim powątpiewał z o prawdziwości tych słów. Zresztą nie obchodziły go kwiaty.

Arnold von Janssen nie ukrywał wcale, że nie same uczucia rodzinne skłoniły Pawła Kościńskiego do wysłania swego współnika do Polski.

Chodziło

i obu o sprawdzenie, czy nie byłoby możliwe zakupić drzewo wprost na miejscu, bez opłacania pośrednictwa kupców gdańskich. Gdańsk bowiem posiadał przywilej, że każdy surowiec z Polski nie mógł być sprzedany inaczej niż do składów gdańskich, skąd dopiero puszczano go dalej w świat. Zdarzało się niejednokrotnie, że towar (szczególnie drzewo) nie był przeladowywany wcale, że przechodził bezpośrednio z ręki sprzedawcy polskiego do cudzoziemskiego nabywcy, zawsze jednak kupiec gdański asystował przy dokonywanej sprzedaży i swój zarobek, bardzo pokaźny, odciągał. Duńscy, niderlandzcy czy niemieccy armatorzy sarkali na takie prawo i dziwili się powolności polskiej. Polacy za łączny grosz oddawali swe dostatki, a nabywca płacił drogo. Za co? Za chytrą gdańską?

Van Janssen dziwił się również.

- Żebyż przynajmniej - mawiał - ów gród, co odkąd pierwszy kamień jego murów położony jest, wszystko zawdzięcza wspaniałości waszej

Rzeczypospolitej, do wdzięczności się poczuwał.

- Do wdzięczności? A jużci? - odpowiadał pan Hieronim. - Nie masz gorszych synów jak Gdańszczany! Pierwsze do buntu... Nie było króla, co by z nimi nie musiał wojować...

- Czemuż to cierpicie? Gdańsk zginąłby bez was...

- U wylotu Wisły siedzą... Statków naszych do portu, gdy chcą, nie puszczają... Co im zrobić?... Zazdrośni o to morze, jakby było o co...

- Nie zależy wam na morzu?! - wykrzyknął kupiec ze zdumieniem.

- A nie. Po co? Starczy dla Polaka tyle morza, żeby koń się oskapał, a nie zatonał.

- Chyba waszmość żartujesz! Morze to największa potęga, to droga na świat!...

- My świata obcego nie ciekawi, a potęgę mamy i tak, że o większą trudno.

Jeżdżąc po świecie, widziałeś waść drugie państwo jak nasze?

Van Janssen przyznawał najszczerzej, że nie widział; z czego zadowolony pan Hieronim ciągnął:

- Powiadasz waść: droga w świat. Co nam po onej drodze, kiedy szlachcic polski takie od Boga otrzymał przyrodzenie, że inaczej wędrować nie będzie, jeno wierzchem... A jakoż na okręcie konia utrzymasz? Czym go naobrocysz?

Gdzie popasiesz?... Morze dobre tylko dla narodu, co zwykły mizernie piechotą chodzić, nie dla nas... Nawet po śmierci szlachcic polski konno

przed majestatem Boskim się melduje. Mój dziadek Jędrzej Kościński, mąż wielkiego animuszu, ale złośnik i przechera, straszyl po śmierci, widno mu skargi ludzkie ciążyły. Ojciec na msze święte dawał i obejście święcił, a on precz straszyl. Myślisz waść, że piechotą niby łazęga się błakał? Gdzie zaś! Na wronym koniu przejeżdżał, aż ziemia tętniała! Nie będzie szlachcic polski bez konia. I dlatego my, Sarmaty, nigdy się w morzu nie pokochamy!

Pan Hieronim, kończąc te słowa, odstawił kufel i spojrzal tak górnice, że panią Małgorzatę aż zatchło z podziwu. Mądryż ten jegomość, mądry!

Niderlandczyk nic nie mówił. Człowiek niższego stanu, pośledniejszej nacji, cóż mógł rzec na niezbite dowody z wyższych regestrów pochodzące?

Pan Hieronim kazał mu laskawie nalać miodu. Van Janssen pił i bakał coś znów o drzewie i o gdańskim zdzierstwie.

- Kupczyków zdałoby się osiodlać, to prawda - przyznał dziedzic. - Za pszenicę placą coraz mniej, a za swoją wódkę, małmazję i cukry żądają coraz więcej. Przecie, cóż na to poradzim?

- Oplaciliby się kanał przekopać i nowy port własny wybudować...

- Kanał? port? - pan Hieronim buchnął walnym śmiechem. - Dla żartu to chyba mówicie?

- Dla nijakiego żartu. Prawie gadam. Trudniejszych my rzeczy w Niderlandach dokonali.

Pan Hieroni wzruszył ramionami i przygryzł wusa. Był zły. Coraz więcej drażnił go ten obcy. Żeby nie te farfury, obrusy, nie chęć utrzymania życzliwości braterskiej (Paweł bezdietny jest, niechajby majątek zapisał bratankom), dawno okazałby bez ogródek przybyszowi, że jest w domu

zbytnim.

"Trudniejszych rzeczy dokonali..." Patrzcie go! Bieda z nędzą, żyć nie mieli z czego, to się pazurami ziemi chwyтали, morzu ją odbierając. U nas, chwała Bogu, tego nie potrzeba. Gruntu dla każdego starczy...

- To by się sztukę wycięło Gdańskowi... - zauważył milczący dotąd pan Pokora.

Temu i pan Hieronim nie mógł zaprzeczyć. Owszem, przednia byłaby sztuka.

Obejść Gdańsk! Pozostawić go na boku! Ładnie by wyglądał bez

Rzeczypospolitej! Ale mówić o tym, to to samo, co rozważać, czy miesiąc da się wędą przyciągnąć na ziemię...

- Dojadła chytrość gdańska, dojadła - narzekał pan Pokora. - Za psi pieniądz wszystek nasz splaw zabierają...

- Pomoru ich - mruknął niechrześcijańsko dziedziec.

- Waszmość dobrodziej narzekasz - zauważył znieścacka Niderlandczyk - a sam u siebie takież sam Gdańsk hodujesz...

- Jaki Gdańsk?! Czyś waść oszalał?!

- Ano, a Fiszel poborca?

- Co waść chcesz od mojego Fiszla?!

- Nic nie chcę, jeno stwierdzam, że z chłopów skórę zdziera, a waszmości połowę oddaje...

- Tyle oddaje, wiele się zobowiązał - mruknął pan Hieronim.

- Ale z poddanych ściąga dwakroć więcej.

- To jucha! Żyd tam wydusi, gdzie nikt nie wydusi! Z kamienia ser wyciśnie. Ja bym nie wy dostał z chamstwa tego, co on mi płaci...

Przychodziliby cięgiem sklamrząc, narzekając... Wiedzą, że mam miękkie serce. Do żyda nawet nie próbują...

- Zniszczy waszmości wieś do cna...

- Nie zniszczy, nie zniszczy - zapewnił właściciel - a sposobny, a zmyślny, wszystko pierwszy wie...

- Gdańszczanie także są zmyślni - rzekł van Janssen ni pięć ni w dziewięć (zdaniem pana Hieronima).

Umilkli wszyscy. Dziedzic sapał gniewnie. Ach, żeby już sobie pojechał ten kupczyk, cebularz, mądrała, któremu się tutejsze porządki nie podobają. Pan Kościński, zarówno jak ogół jego współczesnych, uważał za swoje dobre prawo odsądzać od czci i wiary każdorazowego króla, hetmanów i senat.

Zarzucać im z byle powodu przekupstwo i zdradę, a skwapliwie naśladować wszelką zagraniczną nowość. Biada jednak obcemu, który by się odważył nie podziwiać wszystkiego, co mu pokażą w Rzeczypospolitej! Może jeszcze jakie reformy doradzać? Reformy! Nie było bardziej znienawidzonego słowa. Od dwustu lat blisko reformy, których konieczności dowodzili wszyscy przytomniejsi mężowie stanu, duchowni lub pisarze, były straszakiem dla ogółu szlachty, zdolnym utracić każdą popularność, przekreślić wszelką zasługę.

"Zamyśla o reformach" stanowiło gorsze oskarżenie niżli zarzut męzobójstwa.

Pan Hieronim Kościński podzielał powszechną nienawiść do reform, tym więcej krzywiej spoglądał na Niderlandczyka.

- Na wątrobie już go mam - skarżył się wieczorem żonie. - Jadło mi się odbija, gdy na niego spojrzę...

Jejmość Małgorzata kiwała współczująco i bezradnie głową. Sama nie miała żadnego zdania. Frasobliwe dreptanie między apteczką, spiżarnią, kuchnią, sernikiem, czeladnią pochłaniało jej myśli, nie zostawiając miejsca na nic więcej.

`tc

ŃRozdział li:

Troski Młodych

`tc

Wieś leżała nad starym korytem Wieprzy, zwanym łachą, pełnym żab i zaskrońców. Po zielonej, przerosłej glonem wodzie pływało, niby białe kwiecie, gęsie pierze. Po obu stronach łąchy na wysokim brzegu wznosiły się chaty niskie, kurne, ciasno jedna przy drugiej stojące, mieszczące pod jedną strzechą ludzkie mieszkanie i chlew. Raz do roku przed świętami wielkanocnymi dziedzic udzielał nieco wapna, by chaty pobielić. Nie wystarczyło do smarowania całych ścian, robiono zatem tylko obwódki naokoło okien, a po reszcie domu kropki. To na Wielkanoc. Na Zielone Świątki zatykano w szpary wstęgi obficie rosnącego na łasze tataraku i majono nim ziemię przed domem przy nie wysychającej nigdy kałuży-gnojówce. Owe białe kropki i zielone wstęgi były jedyną ozdobą chat przez cały rok.

Łacha oddzielała połowę wsi od dworskiego obejścia. By się dostać na podwórze, poddańcy musieli obchodzić daleko lub brnąć przez wodę po kolana;

czasem, gdy deszcze spadły - po pas. Było to dotkliwe, szczególnie późną

jesienią albo wczesną wiosną. Pan Kościński obiecywał z dawna, że da

drzewa

na kładkę, ale jakoś zawsze schodziło.

Sam ilekroć przejeżdżał, to konno to kałamaszką, więc braku kładki nie odczuwał.

Przy końcu łachy, dostępna dla obu stron, rozsiadła się karczma, a przy

karczmie dworska kuźnia. W karczmie królował rudy Fiszel, pełnomocnik

dworu, poborca, arendator, ściągający daninę ze wsi i myto z promu na

rzece. O pół mili dalej, na rozstaju, gdzie krzyżowały się drogi z Ryk,

Żyrzyna i Dębłina, stała druga karczma, zwana Bocian. Siedział w niej

Fiszlowy krewniak Mendel. We dwóch (choć pozornie z sobą poróżnieni)

trzymali w pachcie całą okolicę, niezbędni, usłużni, przewidujący. W piątek

wieczorem karczmarz Mendel i poborca Fiszel schodzili się dla wspólnego

odprawiania szabasowych modłów. Odziani w dziwaczne biało-czarne

plachty,

opasywali czoła taśmami i kiwali się miarowo naprzód i w tył, niepojęcie

obcy, tak odmienieni od otaczającego ich kraju, jak gdyby spadli doń z

innej planety.

Choć ród ich siedział tu już od paruset lat, zdawało się niepodobnym, by

kiedykolwiek ta obcość minęła. Nie dbając o to, dwaj krewniacy pochylali

się miarowo naprzód i w tył, dziękując Jehowie, który obiecał Izraelowi

panowanie nad światem i nad tym krajem, nad zielenią tych łąk, krewkością

butnych szlachciców i cierpliwą nędzą chłopa.

Na gościńcu panował ożywiony ruch. Dziady proszalne, przemyślne wargi o

zaropiałych oczach, wiedzione przez chytrych wyrostków, kuglarze i grajcy wędrowni, Cyganie z niedźwiedziem na łańcuchu, Węgrzyni wiozący beczki z winem lub wracającymi z próżnymi, swawolni żołnierze, największa plaga kraju, swoi lub obcy zaciężni, co nie otrzymawszy żołdu rozłazili się samopas, zuchwali i pokrzywdzeni, kupcy, palestranci, juryści, a przede wszystkim panowie szlachta. Szlachta jadąca z sejmiku lub na sejmik, na okazywanie, na łowy, do trybunału na niezliczone skargi i sprawy, do sąsiada na weselisko, na chrzciny, na zrękowiny. Jechali szumnie, wesolo, ciągnąc za sobą liczne poczty służby. Niektórzy zdążali w staroświeckich ciężkich karocach, z forysiami wiszącymi na logoszach, z sokołami i psami, inni nowomodnie z francuska odziani (sporo widziało się francuskiej mody, choć królowa Eleonora usiłowała zastąpić ją niemiecką), w lżejszych, wysokokołych pojazdach. Najczęściej jednak jechano konno. Nierzadko jedni ku drugim wołali: "Prosimy z nami, panowie bracia! Na dobrą myśl! Na towarzyską ochotę!" i zwołani zwracali chętnie, odkładając na później właściwy cel drogi. Nie omieszkiwali przy tym wygłosić jakiejś górnej lacińskiej sentencji kraszającej każde szlacheckie poczynanie. Czasem miasto przyjaznych zaprosin wybuchła kłótnia, co było szczególnie częste przy promie. Ktoś niepoczciwie wyminął, czyjś orczyk zaczepił o czyjąś szleję, pacholek trącił strzemieniem cudzego bachmata lub koń kopnął cudzego psa, co mu podleciał pod nogi. Od kłótni przechodziło do zwady, od zwady do szabli. Panowie rąbali się sztuką krzyżową, a pacholcy - czym się dało: biczyskiem, luśnią, kłonicą. Rumor, harmider i szczełk niosły się daleko, wszelki ruch na drodze był wstrzymany. Niejednokrotnie spośród

nowoprzybyłych występował starszy jakiś pan, mediator, rozjemca, który przemową nakłaniał walczących do zgody. Jeśli to nie nastąpiło, utarczka trwała, dopóki obie strony nie poczuły się znużone. Wtenczas zbierano poszkodowanych (karczmarz opatrywał im rany chlebem zagniecionym z pajęczyną) i rozjeżdżano się, przysięgając śmiertelną wzajemną nienawiść. W takim razie każdy wracał co szybciej do domu, by ostrzec rodzinę i służbę przed możliwością najazdu.

Taki to kiermasz huczny, buńczuczny i barwny sprawiał się na gościńcu nieustannie, od chwili, gdy drogi obeschły, aż do jesiennych roztopów. Cudnie było nań patrzeć, toteż Oleś i Kostek, młodsi Kośmiańszczycy, godzinami wystawali przy promie.

Dorodni byli ci bliźniacy, a tak do siebie podobni, że rodzona matka nie zawsze ich rozpoznawała. Przedziwne to podobieństwo było powodem wielu zabawnych zdarzeń i przygód, w pierwszym zaś roku pobytu w konflikcie ojców

Jezuitów w Lublinie znakomicie ułatwiała chłopom naukę. Jednego dnia uczył się Oleś, a drugiego Kostek i odpowiadał z obu. Trwało to tylko pierwszy rok, gdyż potem niegodziwy kolega wydał podstęp i rozdzielono braci, sadzając ich w ławkach dalekich od siebie.

Przydałoby się bliźniakom jeszcze w konflikcie posiedzieć. Poziom nabytej przez nich wiedzy nie dorównywał nawet temu, co umiał Wacek, a przecie wiadomo ogólnie, że Wacek nie zaimponuje uczonością nikomu.

Po prawdzie przyczyna tej ciężkości umysły była, zdaniem Wicka, wręcz

przeciwna.

- Dlatego właśnie zgłupiałem, że za długo siedziałem w szkole - zwierzał się braciom. - Od bicia i ślęczenia nad książką można stumanieć. I żebyż mi choć raz rzekli słowo na coś w życiu przydatne! Żebyż bodaj powiedzieli, co za kraje Rzeczypospolitą otaczają i jak w nich jest: zimno czy gorąco, co za ludy tam żyją: czarne czy białe jak my... Cięgiem syntaksa, retoryka, poetyka... Wiele mi z onych retoryk przyjdzie!

Ale to mówił tylko braciom na ucho, gdy nikogo ze starszych nie było w pobliżu, bojąc się słusznie, że pan ojciec baty by mu dał za takie gadanie. Nauka święta rzecz, a syn szlachecki musi być w wiedzy ćwiczony, by orację łacińską na sejmiku móc wygłosić i sentencję stosowną przytoczyć na każdą okazję w odpowiedniej chwili.

Toteż Oleś i Kostek siedzieliby nadal w konflikcie, plagi od kalefaktorów biorąc i psikusy ojcom czyniąc, gdyby nie to, że zeszłego roku, gdy nawała tatarska zagrażała Lublinowi, ojcowie Jezucici ropuścili pacholęta do domów. Groza przeszła, inni uczniowie do szkoły powrócili. Kościńscy w domu zostali. Niby ciągle mieli jechać, ale z dnia na dzień schodziło. To grosza na opłatę brakło, to koń zakulał, to przyodziewek się wytarł i trzeba było chłopców obszywać na nowo... W Kośminie kolej rzeczy toczyła się, jak sama chciała, podobna do wijącej się dowolnie rzece, nie kierowana przez nikogo, nie pchana niczyją rozumną wolą.

Ze swojej strony Oleś i Kostek czynili, co mogli, by jegomościowi dobrodziejowi panu ojcu utrudnić ich wysyłkę do szkół. Ciągnął ich świat,

ale nie ten z konfliktu. Siedząc w gałęziach rozłożystej gruszy w pobliżu promu rosnącej, sami niewidoczni, śledzili życie, które płynęło drogą, i pragnęli co rychlej wziąć w nim udział. Z natury dość rozgarnięci, rozumieli jednak, że nie przyjdzie im to łatwo. By ruszyć w świat, szlachecki syn musi mieć pieniądze. A skąd ich wziąć? Fortuna ojцова była mizerna i kurczyła się z każdym rokiem. Pewna sprawa sądowa, ciągnąca się od dwudziestu lat, tak zawiła, że już nikt, nawet sam pan Hieronim nie pamiętał, o co właściwie między nim a panem Borzęckim z Szerokiej Woli poszło, pochłaniała wielkie sumy. A swojego czasu Szwedzi, a zeszłego roku pospolitacy! Do tego chłopci uciekali mimo coraz surowszych kar nakładanych na "biegusów", bydło na wiosnę padało, zboże przeważnie sypało licho... Dzieci zaś kupa. Siedmioro. Czterech synów, trzy córki. Już i tak najstarszą córkę Teklę rodzice przeznaczyli do zakonu, że to klasztor zadowalał się skromniejszym wianem niż zięć.

Tekla, Wicek, Olek i Kostek, bliźniacy, Anusia ulubienica ojцова, Weronka i dziesięcioletni Jędrzek, najmłodszy. Tenci miał w przyszłości zostać na ojcowiznie, na rodzicielskim dworcu, przejąć ubogie zanędzone "dusze", chudą rolę, piękny las, kosztowną a niemożliwą do zakończenia sprawę z imię Borzęckim z szerokiej Woli i rudego Fiszla arendarza. Nie pisanym bowiem, ale mocnym zwyczajowym prawem najmłodszy syn dziedziczył ziemię. A co mieli czynić starsi? Nie zostawało im nic krom wojaczki.

Łowiąc na podrywkę ryby w rzece, Oleś i Kostek gadali o tym kiedyś z Niderlandczykiem. Stali wszyscy trzej pod nawisłymi gałęziami podmytych już

olszyn, których czerwone jak koral korzenie rwąca woda wypłukiwała z ziemi i ciągnęła z sobą. Rozmowa szła niełatwo, gdyż młodzi nie byli biegli w łacinie, a po niemiecku, którym to językiem van Janssen gadał jak swoim, nie umieli ani w ząb, jakoś się jednak porozumiewali.

- Co będziecie robić wszyscy trzej? - pytał Niderlandczyk szeptem, żeby ryb nie spłoszyć.

- Do chorągwi chcemy iść, jeno że strasznych pieniędzy na to trzeba. Na jednego z trudem starczy, a cóż dopiero na trzech... Konie muszą być nie lada jakie, a zbroje, a obleczenie, a pacholki, a wyżywienie, bo kwarta, wiadomo: czasem jest, częściej jej nie ma...

- Niech tędy jeden idzie do wojska - radził rozważnie van Janssen - a dwóch czego innego się chwyci...

- Ciekawym czego?

- Ot, choćby żeglarstwa. Piękne życie na statku!

- U nas tylko chłopcy na flisaków idą, innych zaś statków jak tratwy i galary nie ma.

- Do stryja jedźcie ze mną. Przyuczycie się do handlu...

- I... i... nie puściliby nigdy pan ojciec. Dość już, że stryj klejnot zapaskudził, kupiectwem się parając...

- Na księdza żaden nie ma powołania?

- Nie. Starczy Tekli, która zakonnicą ostanie.

- Do nauki niechby się który wziął...

- Do nauki?! A po cóż to?

- Uczonym być, astronomem, lekarzem...

- Bajdy waść pleciesz! Jeszcze żaden z Kościńskich cyrulikiem ani

wróżbiarzem nie był!

- Tedy złotnikiem czy płatnerzem zostać... Do miasta iść...

Oleś rozgniewał się na dobre i szarpnął podrywkę do góry, aż woda plusnęła.

- Może rakarzem, jeśli łaska! Albo do cechu? Żeby klejnot stracić!?

- Traci się u was szlachectwo osiadając w mieście? - zdumiał się szczerze van Janssen.

- Ano. Takie prawo. I słuszne, bo nie przystoi urodzonemu z łokciem w miejsce szabli chodzić...

- Głupie prawo - zapewnił Holender. - Przez to wasze miasta wyglądają tak, że Boże odpuść! Nie pierwszym raz w Polsce. Widzę, co jest. Żydów co roku przybywa, a wszystko niszczeje.

- Chodźmy tam dalej łowić - mruknął Kostek do brata - tutaj już się nic nie złapie.

Odymając wargi, zarzucił sieć na ramię i ruszył przodem, ani się obejrzywszy na niefortunnego doradcę. Pan ojciec jegomość miał słuszość wyrzekając na tego cudaka. Dureń! Rozumie się na klejnocie jak kura na marcepanie!

Oleś pogonił za nim. Van Janssen pozostał sam. Ułożył się wygodnie na trawie, nasunął kapelusz na oczy, bo słońce raziło, i uśmiechnąwszy się z politowaniem, zasnął.

Chłopcy nie długo łowili, bo Tekla przyszła ich wołać. Była najstarsza z rodzeństwa, urodziwa, ale chmurna. Wmawiano w nią powołanie klasztorne,

którego nie czuła bynajmniej. Ale opierać się nie usiłowała. Cóż począć?

Musi tak być, jak rodzice postanowią.

Z pewnością, czekający rychło klasztor (pan ojciec ciągle powtarzał, że

byle pszenica lepiej obrodziła, wnet ją wywianuje) nie byłby tyle

nienawistny, gdyby go sama wybrała. W obrębie klasztoru kobiety miały

większą samodzielność, większe poszanowanie niż w świeckim stanie. I

harówkę mniejszą niż przy gospodarstwie, i uczyć się mogły, jeśli chciały.

Nie było krzywdy w klasztorze, jeśli go się samemu chciało...

W tym sęk. Samemu wybrać swoją dolę - winno być prawem każdego

człowieka.

Męża czy niewiasty. Syna czy córki...

- Idźcie zaraz do domu! Pani matka was potrzebuje! - krzyknęła

rozkazująco do braci. Pokazali jej języki, wołając: "Przeorysza!

przeorysza!" Rozgniewana, chwyciła leżącą na ziemi gałąź i skoczyła ku nim,

aż się zanieśli od śmiechu.

- Przeorysza! Wielebna matka! A dogoń nas! Dogoń!

Pobiegli unosząc sieć i wiadro z rybami. Tekla rzuciła gałąź i usiadła na

brzegu. Chciało jej się płakać. Albo dogonić smarkaczy i zbić na miazgę.

Albo iść gdzieś stąd... iść...

Objęła dłońmi kolana, patrząc tępo na wodę. Płynie sobie, płynie... Nie

dziwne to, że płynie bez ustanku, dzień i noc, przenigdy nie

spoczywając?... Płynie i podmywa brzeg. Na przyszły rok oberwie z pewnością

cały ten kawał. Szkoda drzew... Takie piękne olchy... Stare... Już się

chylą... Niby jeszcze zielone, jeszcze rosną, jeszcze krzepkie, a obalą

się lada rok...

`tc

ŃRozdział Iii:

Odlot

`tc

Wylegające się przed dworem psy gończe i zwykle podwórzowe brzechuny podniosły jazgot zwiastujący nadejście obcego. Pan Pokora wyszedł z oficyny, przesłonił oczy dłonią i skamieniał. W obejście wchodził woźny, woźny trybunału, łatwy z dala do poznania po białej płócienniej kapocie i osobliwego kroju czapie. Szedł tak śmieie i bezpiecznie, jakby sądził, że w domu nikogo nie ma.

Przez mózg szafarza przeleciało wichrem sto myśli. Woźny - więc pozwe. Od kogo?! Kto śmiał?! I jak nie dopuścić do progu obrzydliwca, by swego kulaczego jaja w dom nie podrzucił? Szafarz mógł wprawdzie narobić hałasu, poszczuć pasmi, zwołać ludzi, bał się jednak porywczności pana Hieronima. Dziedzic gotów nie zadowolić się przepędzeniem złowieszczego ptaka, lecz ukrzywdzić go na ciele, z czego wynikną nowe skargi i wyroki. Co począć? Stał zafrasowany, podczas gdy wróg się zbliżał. Machał lekko laską, żeby nie rozdrażnić psów, lecz zarazem pokazać, iż nie jest całkowicie bez obrony. W wyrazie i postawie trybunalskiego sługi malowało się połączenie buty z lęklivością. Jedno i drugie usprawiedliwione, gdyż woźny był postacią niezmiernie ważną, a zarazem bardziej od innych poniewieraną i nienawidzoną. O ile nie był szlachcicem (co się często zdarzało, gdyż mało kto z urodzonych chciał się jać równie podłego zawodu), otrzymywał

szlachectwo na czas swego urzędowania i kto by woźnego na służbie
znieważył, odpowiadał za to jak za zniewagę najprzedniejszej krwi. Woźnego
mianował sam król odręcznym pismem zwanym "autentykiem", agendy
posiadał

ogromne, a siły wykonawczej żadnej. Roki sądowe pełne były spraw o pobicie
lub nawet uśmiercenie woźnego przybyłego z pozwem.

Nic więc dziwnego, że pan Pokora z niepokojem patrzył na zbliżającą się
postać, niepewny, jak ma postąpić. Woźny zwał się Cybulski i pochodził ze
szlachty cząstkowej. Dojrzał już pana Pokorę i stanąwszy pośrodku
dziedzińca zakrzyknął:

- Jako deklarator przychodzę, z manifestem, a nie z pozwem!

- Nie łiesz waść? - zawołał szafarz, przez pół tylko uspokojony.

Obowiązkiem bowiem woźnego było podrzucić pozew do domu i w tym celu
uciekał się nieraz do podstępów. Rzekoma deklaracja mogła być również
podstępem.

- Parol szlachecki, że nie łę! Infamię mam ogłosić w całym powiecie na
urodzonego Jarosza Słotyłę z Drażgowa!

- Jezusie Nazareński! - zakrzyknął zdumiony szafarz i zakolatał do okna
alkierza, gdzie pan Hieronim oddawał się poobiedniej drzemce.

- Jegomość! Jegomość! Młodszego pana Słotyłę infamisem ogłaszają!

- Rozsiekać takich! - odhuknął tubalnym choć zaspanym głosem dziedzic. -

Słotyło sprawiedliwy człek!

Drzwi trzasnęły. Wyszedł na ganek pan Hieronim w płóciennym żupanie, z
głową zmierzwioną od snu. Już też ze wszystkich okien wychylały się głowy

ciekawe nowiny. Zadowolony z wrażenia, woźny nadął się, papier trzymany w ręku rozłożył i czytał. Najpierw długi i kunsztowny wstęp łaciński, nie dla wszystkich (szczególnie dla samego czytającego) zrozumiał, po czym właściwą treść wyroku:

zważywszy, iż urodzony Jarosz Słotyło herbu Sas, zdradziecko w las pana Dydyńskiego herbu Gozdawa wpadłszy, kazał swej służbie zrąbać tysiąc drzew rodzajnych, budulcowych, masztowych, ogromnych, co za jego wyraźną sprawą,

wolą, mandatem, znową i rozkazaniem się stało, że wszędy głośno powiadał, jako wszelkie majątności urodzonego pana Dydyńskiego w takiż sposób spustoszy, zniesie i wniwecz obróci, a samego urodzonego Dydyńskiego waży się zabić, zamordować, uśmiercić i z żywego nieżywym uczynić. Zważywszy, iż na groźbie nie przestał zabił, zamordował, uśmiercił, z żywego nieżywym uczynił, wdowę żalośliwą i maleńkie dziatki sieroty ostawił. Zważywszy, iż tak nieznośnej zbrodni dokonawszy zbiegł, słusznego gniewu sprawiedliwości uchodząc, - uznajemy Jarosza Słotyłę niegodnym należenia do uczciwej wspólnoty szlacheckiej, infamisem go oznajmiając...

Słuchali w milczeniu, przejęci. Sądy były od dawna bezsilne, sprawy czekały latami na wyroki, wyroki czekały latami na egzekucję, banici nie bardzo się ukrywali, przecie infamia samym swym brzmieniem robiła jeszcze wrażenie. Tym bardziej, że zbrodnia, za którą ukarano urodzonego Jarosza Słotyłę, była zupełnie świeża, nie wszystkim nawet wiadoma, i trzeba było szczególnego zbiegu okoliczności, by stronie skarżącej udało się wyrok rychło otrzymać.

Stali jeszcze, rozważając tę wiadomość, gdy turkot rozległ się na drodze.

Nadjeżdżał ojciec Prokop, kwestarz z Baranowa.

Pan Hieronim nie lubił mnichów, tym razem jednak powitał zakonnika

radośnie, wiedząc, że z najlepszego źródła dowie się szczegółów niezwyklej

sprawy. Wbrew jednak oczekiwaniom ojciec Prokop nic nie mówił. Usta

zasznurował, jakby w obawie, że mu się słowo niepotrzebne wypnie, i

milcząco siedział przed pełną szklanicą.

- Opowiadajcież, ojcze wielebny, opowiadajcie - zachęcał gościa

gospodarz.

- Jakże będę opowiadał, w tyle dostojnym gronie dyskursem się weseląc,

gdy tam nasi braciszkanie niebożęta głód w klasztorze cierpią?

- Dam ojcu ćwierć mąki żytniej - obiecał pan Hieronim zrozumiawszy

przyczynę milczenia.

- Bóg zapłać. Zdałoby się po prawdzie i trochę pszennej...

- Chyba po żniwach? Przednówek...

- U nas jeszcze cięższy przednówek...

- Co na to poradzę? - rozłożył ręce dziedzic kościński z westchnieniem.

- Wiem, że nie w mocy to waszmości dobrodzieja, nie dziwcie mi się jeno,

że gęba do mówienia nieskora.

- Było nie było! Dam ćwierć pszennej.

- Bóg to nagrodi. Najchętniej powiadać będę.

- Opowiedzcież, ojcze, o onym zabójstwie?!

- Phi, animozja była stara, jak wszystkim wiadomo. O co z początku panom

Słotyle i Dydyńskiemu poszło, trudno wiedzieć, bo to było bardzo dawno.

Jeszcze za życia starego miecznika Slotyły. Jedni powiadają, że o psa postrzelonego w kniei, inni, że o konia. Dość, że była animozja. Jeden drugiego w łyżce wody by utopił. Zapiekali sobie, jak mogli, aż doszło do tego, że byle wspomnieć Slotyłę, to Dydyński trząsał się, jakby go zimnica ogarnęła; zasię pan Slotyło, wspomniawszy Dydyńskiego, zębami zgrzytał, że w piekle lepiej nie zgrzytną. Daremnie pan Filip Slotyło, któren gołębiego serca jest, próbował ich pojednać. Nie i nie! Szkody sobie wzajem robili. W wilię św. Jana pacholcy Slotyłowi do lasu Dydyńskiego poszli i dwa wielkie drzew ścieli...

- Za pozwoleniem - przerwał Arnold van Janssen przysłuchujący się uważnie opowiadaniu - w manifeście czytano o tysiącu drzew?...

Gospodarz machnął nań ręką, żeby nie przeszkadzał. To zwykła forma sądowa. Czy kto brzózkę na dyszel wytnie, czy las cały połóży, zawsze jednako powiedzą: tysiące drzew budulcowych, ogromnych, rodzajnych, masztowych...

- A czemu tak? - dopytywał się Holender.

- Bo taki zwyczaj.

Ojciec Prokop ciągnął dalej:

- ...Pan Dydyński na taką zniewagę obruszył się słusznie i zapowiedź pchnął, że Slotyło ma się strzec w kościele, w domu, w łaźni, na polu, jedząc, pijąc, śpiąc, w drodze i na każdym miejscu, bo on się na nim mścić będzie i na gardle mu siedzie. Dopiero Slotyło się wściekł. "Taki chłystek - powiadał - gardłem mi będzie groził? Obszelmuję, jak miły Bóg!" To powtarzał wszem i wobec i kto tylko chciał słyszeć. Że uszy Dydyńskiemu

obetnie. Więc Dydyński, wiele razy przejeżdżał blisko, wołał: "Rakarz! rakarz!" No i nie zdzierzył kiedyś pan Słotyło i głowę mu czekaniem rozłupał...

- Boże! Boże! - jęknęła pani Małgorzata.

- Niepoczciwie postąpił, ale toż powinni go na wieżę zasądzić, na dnie posadzić, nie infamią od razu karać?! - oburzył się pan Hieronim.

- Przed sprawiedliwością zbiegł...

- Nie wiadomo, gdzie się skrył?

- Pan Filip Słotyło jeden może wie.

Lecz i pan Filip Słotyło, starszy brat mordercy, nie wiedział. Przyjechał w parę dni później, by się przed dobrym sąsiadem uzalić. Ojciec Prokop słusznie mówił o nim, że jest gołębiego serca. W przeciwieństwie do zapalczywego brata, pan Filip lubił nad wszystko pokój i zgodę, nie znosił waśni i bójek, do miecza nie kwapił się nigdy. Był wielce wrażliwy na honor rodziny, toteż na widok pana Hieronima rozplakał się w głos jak dziecko.

- Taka hańba, sąsiedzie dobrodzieju, taka hańba! Uczciwy nasz ród, czysty klejnot, a teraz na nim infamia!

Powiedli go do izby bawialnej pocieszając i ducha dodając, ale pan Filip pocieszyć się nie dał.

- Biada, biada - powtarzał - czegom nie czynił, by ich pojednać! Bywało, po rękach Jarosza całowałem... To znów do nieboszczyka Dydyńskiego zachodziłem... Wszystko na nic. Choć powiem waszmościom, że nieraz widziałem, iż obu cięży ta wzajemna nieżyczliwość, jeno żaden nie chce pierwszy dłoni wyciągnąć... Żeby nie powiadano o nim, iż ustąpił... I tak

szło, szło... aż poszło!... A nie dziw, że się przykrzyło takie życie, boć jak w fortalicjach siedzieli obaj, ciągle się napadu obawiając, a drugiego śledząc... Nie brakło przy tym, jak zwykle bywa, lajdusów, co donosili fałszywie, że tamten to o tym powiedział, a ten znowu to o tamtym... I szło! I nie mogło się skończyć inaczej, niż takim nieszczęściem... Gdyby mnie posłuchali, żywliby w zdrowiu i poważaniu... Teraz Dydyński nieboszczyk na sądzie boskim, zaś Jarosz gdzieś po świecie się kołacze, zhańbiony, z mienia wyzuty...

- I z infamii można się oczyścić - zauważył bez przekonania pan Hieronim.

- Nie łącno, nie łącno... Ej, dobrodzieje moi, życie się cni, śmierci człek pożąda... Jakoż w tej okolicy rodzonej zostanę, ludziom w oczy spojrzę? A toż mnie wytykać będą palcami! Brat infasa! Brat wywołańca!

Brat, a do takiej zbrodni dopuścił! Nie przeszkodził! Jakoż się będę z wdową Dydyńską spotykał? Jeśli zejdziem się w kruchcie w niedziele, a traf zdarzy, że razem umaczamy palce w kropielnicy, nie zmienią się woda święcona w krew?

- Grzesznie prawicie! - obruszył się gospodarz. - Cóżcie winni krwi przelanej?

- Brat mój winien. Za nic tutaj nie ostanę.

- Przesadzasz waść, w żalu gadając od rzeczy. Ludzie rychło zapominają.

Przywykną i gadać nie będą...

- Ja nie zapomnę. Zresztą już postanowiłem. Folwark w dzierzawę puszczam uczciwemu krewnemu, któren wiem, że chłopów dręczyć nie będzie, a sam wyjadę...

- Laboga! Dokąd?

- Na Ruś. Mam tam krewniaków, których po prawdzie nie znam wcale, ale wiem, że są. Albo na Turka pociągnę...

- Na Turka? Nie stworzonyś wać do wojaczki...

- Samem tak sądził, a teraz mniemam, że i ja bić się potrafię...

- To czekajcież na pospolite ruszenie, które pewnikiem rychło powołają...

- Nie chcę pospolitego ruszenia, jeno do chorągwi wprost. Są już pono w Lublinie uniwersały królewskie wzywające pod broń każdego, komu Rzeczypospolita miła...

- Uniwersały już są - zachnął się gospodarz - wzdyc wojna jeszcze nie ogłoszona!

- Nie wiem, czy ogłoszona czy nie, bom sam uniwersału nie widział, jeno mi jeden żydek, co z Lublina jechał, powiadał... Jeśli zasię wojny nie

będzie, do rodowców moich przymknę. Za Jagielly na Ruś wywędrowali. Król im

nadanie sute dał jako granicznikom. Że stróżę mają trzymać przy granicy od Tatarów i Beskidników...

- Co za diabeł, Beskidnicy?

- Widzi mi się, że hultaje, zbójcecko po górach siedzący... Nielekka była służba graniczników i mało kto na nią się kwapił.

Kraj zniszczony, pustacie jak Dzikie Pola, bo ludność, co niegdyś tam żyła, Tatarzy zniszczyli. Tam się ono rycerstwo przez króla wybierane osiedlało i pono nawet do znaczenia doszli...

- Kościńscy herbu Trzy Trąby żywią tam również, jeno nie wiem dobrze, w

którym powiecie - przypomniał sobie pan Hieronim. - Później poszli niż wasi, bo za Zygmunta Starego. Olbrycht Kościński, rodzony brat mego pradziada Janusza, na Ruś wywędrował, tam szmat ziemi uprawił, skarczował,

dwór wznosił i rodzinę założył. Pewnikiem trwa to gniazdo dotąd...

- Mało rodów, co by swoich na Ukrainie nie miały. Od stu i dwustu lat idą tam wszyscy, jakby ich ciągnęło...

- Nie dziwota, bo co mają chłopaki robić? Na kupie siedzieć? To by już na jednego chłopą wypadło półtora szlachcica...

- A bodaj, że tak!

Gadali tak, przepijali, rozważali znów sprawę zamierzonego wyjazdu sąsiada. Pan Filip, dobrze podpity, powtarzał uparcie:

- Taka Hańba, waszmość dobrodzieju, sąsiedzie miły, taka hańba! Taki wstyd! Oczami będę świecił przed ludźmi, myślicie? Nie, panie bracie, nie będę świecił! Pojadę, nie obaczycie mnie więcej! Za uniwersalem królewskim, na Turka, na Tatarą... Myślicie, żem nie do wojaczki...? To się dopiero okaże... Nie obaczycie mnie, rzekłem, ale posłyszycie o mnie, mości dobrodzieju! Posłyszycie!... W bój pójdę i polegnę... Dulce et decorum est pro patria mori, jak rzekł nieboszczyk hetman pan Czarniecki.

- Hetman Żółkiewski to rzekł. Chodź waść do alkierza spocząć...

- Żółkiewski? Może być. Ja to rzeknę drugi. Purpurą objecie mi katafalk...

- Objem, czym waszmość zechcesz, a teraz chodźmy już spać...

- Na Turka pójdę, na Turka! Na bezecnego pohańca!

Widząc, że nie ustąpi, szafarz Pokora ujął z szacunkiem w pół rycerza i powiódł do narożnej izby gościnnej. Pan Hieronim ziewnął i poszedł rozdziewać się do swego alkierza. Pacholek Grześ ściągnął mu buty, wytrząsnął z nich zużyte wiechcie i przygotował świeżą, równo przyciętą słomę. Na jutro. Dziedziec nieraz wcześniej wstawał i lubił mieć wszystko przygotowane zawczasu. Potem podał miskę z wodą i ręcznik. Pan Hieronim nabrał wody w usta, plunął w nią na dłonie, dłońmi musnął twarz i wytarł starannie ręcznikiem. Po czym już chciał klęknąć do pacierzy, gdy we drzwiach stanął nieśmiało najstarszy syn, Wicek. Nie ważąc się wejść, stał pochylony, barczysty, w swym zbyt kusym i ciasnym ubraniu.

- Czego chcesz, acan? - mruknął pan Hieronim nierad, że mu przeszkadzają.

Wicek bez słowa rymną do ojcowych nóg.

- Powiadajże, czego chcecie?

- Pozwólcie mi, panie ojcze dobrodzieju, pojechać z panem Słotyłą na Ruś!

- Co tak nagle? - zachnął się ojciec. - Zbierze się pospolite ruszenie, to pójdziesz...

- Widziałem ja już ono pospolite ruszenie! Jak zmiłowania proszę: pozwólcie mi iść, panie ojcze! Pan Słotyło - ludzki człek, nie sprzeciwi się. Lepsza się okazja nie trafii...

- Obaczę jutro, obaczę - rzekł pan Hieronim na poly przyzwalająco. Przez głowę mu przemkło: Dalibóg, chłopak ma słusność. Lepsza się okazja nie trafi. Ale chłopca trzeba przyodziać, konia mu dać... Skąd wezmę groszy teraz, na przednówku? Od Fiszla trzeba będzie chyba znowu naprzód wziąć!...

- Jutro obaczę - powtórzył. - A kto tam jest jeszcze? - zapytał groźnie,

bo w cieniu sionki coś się ruszało, chrząkało. Zanim się Wicek obrócił,

obaj bliźniacy Kostek i Oleś usunęli go sprawnie na bok, wdarli się do

alkierza i już klęczeli u nóg pana ojca.

- Pozwólcie i nam! Panie ojczy, jegomościu dobrodzieju! Pozwólcie i nam

jechać także!

- Dokąd?

- Na Ruś z Wickiem i panem Slotylą!

- Bełkotu zjedliście, smarkacze!?! Jeszcze czego!?! Na Ruś! Do konwiktu na

oślą ławę nie łaska?!

- Panie ojczy dobrodzieju - błagali nie zrażeni - młodszy od nas idą i w

potrzebie są... Mamy tu darmo po próżnicy siedzieć?!

- Po próżnicy? - obruszył się rodzic - o niewdzięczności synowska! Wolej

źmije karmić niż dzieci! Dom już wam niemiły!?

- Miły, panie ojczy dobrodzieju, miły, ale robić tu nie mamy co...

- Siedzimy, siedzimy i co dalej?...

- Jazda spać! - huknął nagle pan Hieronim rozzłoszczony - jutro się z

wami rozprawię.

Zrejterowali przezornie, widząc, że się ogląda za harapem wiszącym nad

łożem obok ziół poświęconych. Zaraz za drzwiami wybuchł gwałtowny spór

między trzema braćmi. Wicek źlił się, że przez głupie zapędy szczeniaków

gotów i on zostać.

- Jużem miał przyzwoleństwo jakby w kieszeni - biadał - a jak się teraz

jegomość rozgniewa, to i mnie zatrzyma... Chuchraki! Wam iść na Ruś!

- Młodszy chadzali - zaperzył się Oleś.

- Ale tężsi, roślejśi... Ja ja... Moje pięści, moje nogi...

- Wiadomo, że w bieganiu koń ci nie dorówna - zaczął uszczypliwie Kostek.

- Za to w dowcipie przewyższy... - podpowiedział Oleś.

- Osiół jesteś! - warknął Wicek urażony.

- Osiół Pana Boga nosił, a ty, kpie, noś mnie...

- Chcesz oberwać? Chcesz?

- Okropnie się ciebie boję.

Gotowała się rozprawa, alić z przeciwnej bokówki wysunęła się postać starego szafarza, uderzająco podobna do szczura.

- Jezusie Nazareński! Co za błazeństwa odprawiacie!?! Ojciec posłysz, nie pożałuje batoga... Spać! Spać!

Rozeszli się mrużąc na siebie wzajemnie. Pan Hieronim nie dosłyszał na szczęście sporu, pomimo że nie spał. Myślał o nagłym zachceniu synów, o ich błaganiu, by z domu mogli wyfrunąć. U Wicka było to zrozumiałe, ale młodsi?... Oni też!?! "Nie mamy tu co robić, po próżnicy siedzimy..." Tak mówili... Nie sądził nigdy, by się w domu źle czuli. A im się przykrzyło!

Iście młodemu trzeba szerokiego tchu, zajęcia, odpowiedzialności. Trzeba, żeby się urobił do strudzenia, iście... Tego ojciec dać nie może. Ale nie myśli przecież puszczać w świat obcy takich młodziaków i do tego ulubieńców. Jakby dwór bez nich wyglądał? Co by rzekła jejmość? Nie, nie, niech siedzą. A potem? Potem obaczym. Ciekawe, jak jest gdzie indziej? Co robią synowie nie dziedziczący ziemi? Czy też na okraje idą, odchodzą precz z domu? Może by zapytać Niderlandczyka? Ej, nie będę go pytał, tego pludraka...

Dziedzic Kościński obrócił się na drugi bok i zachrapał.

`pk.

Nie dali za wygraną, skamrzeli, narzekali, zanudzali, wszystkich razem i z osobna, płakali, padali do nóg. Dostali w skórę na kobiercu, nie pomogło.

Pani matka cichcem obiecywała nowe wędzy, nie zrobiło to na nich wrażenia.

Nareszcie któregoś dnia pan Hieronim, setnie już znudzony i zły,

rozpogodził się, okiem chytrze ku jejmości błysnął, po czym przedłożył

synalkom, jako rozpatrzył ich prośbę i gotów na nią zezwolić. Żadną jednak

miarą nie mogą jechać obaj bliźniacy, bo trzech przyodziewków dla trzech

synów nie sprawi. Ani koni. Cóż to, stajnie ogołoci i sam będzie piechtą

chodził? Muszą sami to zrozumieć. Niech wybierają, który pojedzie, który

zostanie...

Wickowi się należy jechać, bo starszy, a prócz Wicka jeden z młodszych...

Słuchali z szeroko otwartymi oczami, oniemieli: jegomość dobrodziej pan

ojciec zezwoliłby jednemu, sprawiedliwie?

- Oczywiście - przytaknął wesoło pan Hieronim - i ubranie bym mu dał i

konia...

- Którego? - spytali szeptem błagalnym.

- Siwego wałacha.

- Reta!

Spojrzeli na siebie z rozpaczą.

- Może byśmy już piechty poszli i bez przyodziewku, ale obaj? - zaczęli.

- Jeszcze czego!? - Wstyd domowi chcecie przynieść?! Po chudopacholsku

wędrować?!

Umilkli zwieszając smutne głowy. Pan Hieronim spojrział znowu zwycięsko na jejmość.

- Salomon, Salomon by lepiej nie rozsądził - szepnął z podziwem pan Pokora.

Bo nie do pomyślenia było dobrowolne rozstanie się bliźniaków. Nie rozłączali się nigdy nawet na chwilę, kochali niezmiernie, trzymali zawsze razem. Dość obojętni w stosunku do reszty rodzeństwa, byliby w ogień poszli: Oleś za Kostka, Kostek za Olesia. I teraz jeden miałby zostać, a drugi jechać? Za nic!

Buchnęli żalonym płaczem. Ojciec nie zmiękł wcale. Powtórzył stanowczo, że słowa nie zmieni. Jeden może jechać, drugi ostanie. Niech wybierają.

Odeszli więc, rozcierając kulakiem łzy po zasmarkanych twarzach. Całkiem przygnębieni, zaszyli się w brogu ze słomą stojącym koło stodoły. Był to ich ulubiony schowek. W zimie dobrze było skryć się głęboko w chrzęszczącej słomie, latem daszek przyjemnie chronił od upału. Z brogu można było się wdrapać na dach stodoły. Zatopieni w żalu, przesiedzieli w tym królestwie swoim do wieczora.

- A co, dobrzem ich zażył? - chelpił się pan Hieronim.

- Salomon, iście Salomon - powtarzał imć pan Pokora.

Alić o zmroku bliźniacy zjawili się przed oblicze pana ojca. Twarze mieli smutne, lecz pogodzone z losem. Oleś zgadzał się zostać, a Kostek niech jedzie. Ciągnęli słomę, która dłuższa, i pokazało na Kostka.

Panu Hieronimowi zaparło dech. Słowo się rzekło. Ekwipunżę teraz

smarkacza!

- Jechać chcesz, szczeniaku! - krzyknął - nie luto ci będzie za bratem?

- Będzie luto - przyznał Kostek przestępując z nogi na nogę. - Będzie

luto, ale skoro pan ojciec jegomość dają siwego wałacha...

Prawda! Obiecywał wałacha! Najlepszego konia ze stajni. Oczywiście, obiecując ani mu w głowie postać, by go istotnie musiał oddać. Co teraz począć? Szlachetne słowo nie dym...

- Nie wytrzymasz bez Olka!

- Z Bożą pomocą wytrzymam, miłościwy panie ojcie dobrodzieju...

Olek wysunął się w przód.

- Za rok pan ojciec dobrodziej mnie wyprawia, to się znów obaczmy...

Pan Hieronim potoczył wzrokiem w koło, szukając szafarza, jakoby spodziewał się od niego pomocy. Ale pana Pokory nie było. Salomon był sam.

Sam z lekce danym słowem.

- Osły jesteście! Nie wiecie, co robicie! Zatęsknicie się za sobą!

- O nie - zapewnili jednogłośnie.

Darmo im przekładano, tłumaczono. Nie chcieli ustąpić. Trudno. Skoro obaj nie mogą pojechać, pojedzie jeden.

- Reta, reta, a toż jakby ciało rozrąbał! - dziwił się imć Pokora.

...a ja rękę bym dała sobie odrąbać, byle zostać... - myślała Tekla,

przyszła zakonnica,, podlewając grędy, na których zieleniły się cebule holenderskie.

Nie było rady na upór chłopaków i jęto przygotowywać co trzeba do drogi.

Mordko, krawiec z Ryk, szył nienajgorsze odzienie dla Wicka i Kostka. Że do

jarmarku w Gołębiu, odprowadzającego na św. Annę, za długo było czekać, przeto

Pokora jechał z Kostkiem i Wickiem na targ do Baranowa, gdzie kupił im porządne buty. Olek patrzył na te splendory nic nie mówiąc. Poza tym przesiadywał całe dni jak zwykle z bliźniakiem, zaszyty w słomę w brogu lub nad rzeką.

- Jak przyjdzie odjeżdżać, Kostek nie wytrzyma i zostanie - zapewniał Pokora.

- Dałby Bóg - wdychała pani Małgorzata, niepomiernie zamierzonym odjazdem zgnębiona.

Lecz Kostek się nie rozmyślił. Gdy tuż przed żniwami zaturkotała bryka pana Słotyły, był gotów do drogi. Pan Filip wybierał się ze sporym tobołem.

Mocna bryka, za nią uwiązany podjezdek, waszątek, na nim dwóch pacholków.

Łuby oszyte w smołowcowane płótno, puzdro z zapasami, szkatuła na cenności, nawet broń.

Wicek bardziej zdawał się przejęty odjazdem niż Kostek, który z fantazją trzymał za uzdę siwego wałacha.

- Gdzież Olek? - pytała matka przez lzy.

- Jużśmy się pożegnali. Gniewny na mnie, więc skrył się w słomie - objaśnił chłopiec oglądając się niepewnie na boki.

- Zostań synku - prosiła matka - zostań!

Potrząsnął przecząco głową. Imć Słotyło naglił do pośpiechu. Nielekko mu było odjeżdżać i wołał nie przedłużać ostatnich chwil pożegnania. Więc

chłopcy klękali przed ojcem, potem przed matką, by błogosławięstwo odebrać. Pani Małgorzata zanosila się od placzu. Pan Hieronim wyniósł z alkierza dwa obrazki na blasze miedzianej ryte, jeden ze św. Jerzym, drugi z Częstochowską, zawiesił je synom na szyi. Potem wypito strzemiennego. I znów całowała ich matka. Pan Pokora obcierał lzy i głośno chrząkał. Tekla spoglądała chmurnie i zazdrośnie. Trójka drobiazgu, Anusia, Weronka, Jędrrek, tłoczyła się spoglądając z ciekawością na braci. Olka nadal nie było ni znaku. Pan Filip nalegał, aby już ruszano.

Nielacno jednak przychodziło rozstać się. Twardy bywał stosunek rodziców do dzieci, nie znoszący roztkliwiania, przecie to odjeżdżali rodzeni, krew z krwi, kość z kości. Odjeżdżali, a kiedy powrócą, czy powrócą, Bóg jeden wie. Bóg jeden wie, kiedy pierwsza wiadomość o nich do opuszczonego domostwa nadleci...

Ruszyli na koniec, żegnani przez ojca znakiem krzyża. Matka stała długo na ganku i śledziła wzrokiem opadający zwolna na gościńcu pył. Uchem łowiła oddalający się turkot. Ścichł nagle. Stanęli widno przy promie. Czemu ich nie odprowadziła do rzeki? - myślała. - Prom może na tamtej stronie, pobyłabym jeszcze chwilę z nimi...

Zatętniało nagle. Kostek wjeżdżał pędem we wrota. Wrócił! Wrócił! Nie odjechał!

- Laboga! Jegmość! Kostek wraca! - krzyknęła radośnie.

- Wiedziałem, że nie odjedzie - mrucał pan Hieronim wylażąc z alkierza - tylko ekspensu niepotrzebnego przyczynił...

Syn zatrzymał siwka przed gankiem i wbiegł pędem na schody.

- Wróciłeś przecie... Ostaniesz!

**- Nie, pani matko dobrodziejko! nie ostanę! Jeno coś mi się tak stało,
żem od promu zawrócił, jeszcze raz o błogosławieństwo prosić...**

- Błogosławieństwo jużś miał, a zła to wróżba z drogi wracać, zła... -

**sarkał pan Hieronim, uściskał jednak syna i przeżegnał. Potem chwyciła go w
objęcia matka. Zobaczyła, że świętości żadnej nie ma na sobie. Czy jej się
zdawało, że jegomość dawał obu ryngrafy? Widno się zdawało. Zdjęła szybko z
szyi szkaplerz i założyła synowi. Ucałował jej rękę, pod kolana podjął,
skoczył na konia i ruszył z kopyta.**

**- Wiem ja, po co się wrócił - myślała głośno matka - sądził biedaczek, że
Olka zobaczy...**

**- Wszystko jedno, źle zrobił, że wracał. Dziwię się, że Słotyło mu na to
zezwoił...**

**Całe przedpołudnie wlokło się nieznośnie. Domownicy siedli do obiadu w
uszczuplonej liczbie przy kusym, zmałym stole.**

**- Wołajcież Olka - zwrócił się pan Hieronim do córek. Małe pobiegły pod
bróg, wydzierały się cienkimi głosikami, lecz Olek się nie odezwał.**

**- Taki nieboraczek rozżalony, że nawet mu obiad niemiły - stwierdziła
matka - niechajcie go, pod wieczór sam przyjdzie.**

Ale wieczór nadszedł, a Olka nie było. Wtedy zaczęto się niepokoić.

**Jędrek wdrapał się na bróg do zwykłej kryjówki braci. Była pusta. Szukano,
wołano. Imć Pokora pobiegł do karczmy pytać, czy we wsi nie widziano
panicza.**

Widział go, owszem, Fiszel. Olek był przy promie, gdy podróżni

odjeżdżali. Gadał z Kostkiem. Co później zrobił, dokąd poszedł, Fiszel nie widział, gdyż pacholcy pana Słotyły odmawiali zapłaty za wypitą wódkę. Musiał się z nimi użerać.

Szukano więc dalej, równie bezskutecznie. Nad dworem i obejściem leżał już przezroczysty mrok, ciepły i pachnący. Lelek przelatywał nisko, otwierając szeroki dziób. Krzyżowały się szybko, bezszelestnie nietoperze. Chłopca nie było.

- MNie się widzi - rzekła Tekla - że on cichcem pojechał z tamtymi...

- Nie pleć głupstw - ofuknął ją ojciec. - Uciekałby jak zbój, bez pożegnania, bez błogosławieństwa?...

...Bez pożegnania?... Matka plasnęła rękami i opuściła je wzdłuż sukni bezsilnie. Nie tulilaż dwa razy... Nie dawałaż szkapleża?...

`tc

ŃRozdział Iv:

Kostoleś

`tc

Słońce grzało, bryka skrzypiała, konie szły stępa, piasek przelewał się sypko przez szprychy, mełł dookoła kopyt końskich. Gzy i bąki otaczały rojem konie. Wicek oganiał wielką liściastą gałęzią gniadosza i siebie. Myślał leniwo o tym, co się pod oczy nasuwało po drodze. Jechali przez Kurów, Markuszów, Garbów. Za Garbowem obrócił się w tył do jadącego za nim

Kostka i zapytał, czy go już but nie uwiera?

- MNie nie uwierał - zapewnił brat z przekonaniem.

- Gadałeś przecie, że masz piętę startą.

- To pewnie gadał Kostek.

- Tyżeś Kostek!

- A jużci. Od chrztu św. wołają mnie Olek...

**Wicek spojrzal na mówiącego wzrokiem świadczącym, że jeżeli istotnie od
zbytniego ślęczenia nad książkami traciło się bystrość umysłu, on siedział
w szkołach nazbyt długo.**

- Olek przecie został w domu.

- Jakże zostałem, kiedy z tobą gadam?

- Więc to Kostek został!?

- O nie, Kostek jest na wozie...

**Wicek podskoczył do wozu. Pacholcy Slotyłowi uśmiechali się wesoło. Brat
wysunął rozczochraną głowę spod płachty nakrywającej rzeczy i spoglądał na
niego beztrosko.**

- O cygany! - Bez dalszych słów starszy Kościński pognął ku bryce.

- Jegomość! Jegomość! Dobrodzieju! Oni obaj tu są!

Pan Filip, który drzemał, skoczył z przerażenia.

- Gdzie są? - zapytał. Śniło mu się właśnie, że brat infamis i

**nieboszczyk Dydyński szli razem pogodzeni, więc sądził, że Wicek tę samą
wieść mu zwiastuje.**

- Oni! Kostek i Oleś! Są tutaj!

- Przecież Oleś został w domu.

- Nie został! Jedzie na siwku!

- A Kostek?

- Kostek pod płachtą na wozie!

- Rany boskie! Rany boskie! - jęknął pan Slotyło, teraz dopiero zrozumiawszy. - Stańcie! - huknął do woźnicy.

Właśnie przy drodze był lasek, więc skwapiliwie skorzystano z rozkazu, by zarządzić postój. Pan Slotyło wygramolił się z bryczki i pobiegł do wozu sprawdzić własnymi oczami. Nie chcąc, by się trudził, Kostek sam żwawo zeskoczył i stanął ze spuszczoneymi skromnie oczami.

- Co ja teraz pocznę? - biadał pan Filip. - Co rodzice powiedzą? Kiedyś się przyłączył?

- Ja się nie przyłączyłem. Mnie pan ojciec pozwolenie dał.

- Wicek, gadaj, co to wszystko znaczy?

- Bo ja wiem? Ja sam już nic nie wiem. Mnie się już nawet pomyliło, który jest który. Ten na koniu powiada, że jest Olek.

- Biada, biada! Co pocznem? Wracać tyli kawał drogi? Niedobrze z drogi wracać! O hultaje! Bez błogosławieństwa rodzicielskiego odjeżdżać!

- Ja? - obruszył się Kostek. Wyciągnął z zanadrza obrazek na miedzi, podarowany przez ojca.

- Tamten więc uciekł!?

- Bogać tam, panie jegomościu dobrodzieju łaskawy. Pobłogosławił mnie pan ojciec, a pani matka dali ten o, szkaplerz...

Pan Filip poznał szkaplerz, ale tym bardziej nic nie rozumiał.

Objaśnienia wypadły tak mętnie, że zrezygnował ze zrozumienia, jak się stało, co się stało.

- Nie mogę przecież zabrać was obu! - narzekał.

- W takim razie, jegomość, pójdziemy w świat sami...

- Sami! Przepadniecie jak rude myszy...

- Nie przepadniemy. A nie rozstaniemy się za nic.

- Co ja pocznę?! Co ja pocznę?! - żalił się pan Słotyło bezradnie.

Wyczuli w jego głosie współczucie i padli równocześnie do nóg. - Pozwólcie nam z wami jechać jegomość! Pozwólcie!

Wicek spoglądał na to z niezadowoleniem.

- Nie przyniosą zaszczytu Kościńskim Trąbom - zauważył z przekąsem. -

Jeden po szlachecku odziany, drugi obdarty jak dziad...

- To prawda! - zafrasował się Słotyło. Istotnie, chłopcy pocieszny

przedstawiali wygląd, gdy stali tak razem. Jeden ubrany dostatnio, w butach palonych i porządnej czapce, drugi w kusym, obdartym lejbiku zgrzebnym, domowych chodakach i z gołą czupryną.

- To prawda - powtórzył pan Filip stanowczo. - Nie możecie się tak pokazywać, na szwank honor porządnego domu narażając...

- Nie turbujcie się, jegomość dobrodzieju! - wykrzyknęli jednocześnie - jużemy to obmyślili. Jednego dnia jeden weźmie ubranie i konia, drugi zaś zostanie w wozie jako pacholek, nazajutrz znów się zmienimy... I tak co dzień... Nikt nawet nie spostrzeże, że nas jest dwóch.

- Ale jakże tak, to niesprawiedliwe...

- Nijakiej niesprawiedliwości nie ma, bo się będziemy uczciwie zamieniać.

Dawnośmy to uradzili. Wiemy, że pana ojca na podwójny ekwipunek nie stać.

Podzielimy się więc jednym... Da Bóg, zmierzmy się z Turkiem, to sobie sprawimy drugiego konia i rząd...

Pan Słotyło aż się zatrząsł. ...Zmierzą się z Turkiem.. Dzieciuchy!

Gołowasy!

Nagle uderzył się w czoło.

- A jakoż mam nazywać tego, który będzie przy mnie? Skołowacieję ze wszystkim...

- Nazwajcież nas, jegomościu dobrodzieju, Kostek czy Olek, jak wola, wcale już nie zmieniając...

- Kiedyż wy się będziecie zmieniali!

- Nie szkodzi. My i tak pojmiemy.

- Chyba, że was będę zwał Kostoleś, obu jednako?

- A bodaj. Bóg zapłać jegomościowi! Bóg zapłać!

- Zaraz z Lublina do ojców napiszę tłumacząc i przepraszając. Teraz zasię dalej w drogę.

Ruszyli do koni. Olek szturchnął Wicka w bok.

- Taką masz gębę, jakbyś się frasował, że obaj jedziemy?

- I... i... co bym się miał frasować? Owszem, rad jestem. Zawsze trzem nam będzie różniej. Dziwuję się tylko, żeście to wszystko tak obmyślili...

No...no...

Pokręcił głową w zdumieniu nad chytrąścią braci.

`tc

ŃRozdział V:

W trybunalskim ogrodzie

`tc

Chłopcy dotrzymali słowa. Ten, któremu danego dnia przypadał koń, ubiór i

prawa panicza, nie usiłował nawet jechać blisko wozu, na którym między pacholkami tkwił jego obdarty sobowtór. Dopiero wieczorem, gdy tabor roztasowywał się na nocleg, układali się obaj przy sobie, stęsknieni, i gadali, gadali bez końca. Wszyscy wokół dawno już spali, oni zaś jeszcze zdawali sobie wzajemnie sprawę ze wszystkiego, co w ciągu dnia zauważyli lub co im przyszło przez głowę.

Zaraz po przyjeździe do Lublina pan Słotyło zaprowadził ich obu do kościoła Dominikanów, w którym znajduje się ułomek prawdziwego Drzewa Krzyża Świętego, by się z podstępem względem rodziców wyświadcili. Szli z okrutnym strachem, drżąc, że surowy zakonnik każe jednemu natychmiast wracać do Koźmina. Jednakże nie kazał. Zadowolnił się naznaczeniem surowej

pokuty, klęczenia w kościele aż do wieczora na gołych kolanach, panu Słotyłe zaś, burzącemu się bliźniaków, rzekł:

- Fantazję mają chłopaki, to i dobrze. Nie należy zmuszać młodych ptaków do siedzenia w gnieździe, gdy im się lotki puszcza...

- Wyznam ojcu wielebnemu - mówił pan Słotyło - że gdybym miał mieszek cokolwiek cięższy, kupiłbym temu drugiemu konia z terlicą i siaki taki żupanik, bo mi żal, że się tak na zmianę poniewierają. Nie lekko szlecheckiemu dziecku co drugi dzień pacholka udawać... A miłują się, że żalność mnie zbiera, gdy widzę, iż są ustawicznie rozdzieleni...

- Nie kupuj wać nic - obruszył się ksiądz. - Niech trochę pocierpią. To lepsza pokuta niż klęczki. Nie odsyłam do domu, ale głaskać ich nie ma za co... Do rodziców pisałeś już wać?

- Właśnie dziś zamierzam pisać - zapewnił pan Filip.

Jakoż nie odwlekając dłużej, zasiadł w gospodzie przed drewnianym pulpitem i pocąc się a wzdychając wykoncypował długą epistolę zjeżoną gęsto łaciną. W liście tym submitował się kornie przed panem Hieronimem, że mimowolnie przyczynił mu troski, i prosił o wybaczenie samowoli młokosom, którymi obiecał opiekować się jak ojciec.

Spełniwszy ten obowiązek pan Słotyło poczuł ulgę i już spokojniej mógł się rozglądać po mieście oraz rozważać, co dalej uczynić. U wrót ratusza na wielkiej tablicy wisiał uniwersał królewski, strzeżony przez dwóch halabardników, i gawiedź uliczna kupiła się gęsto koło niego, czekając, by nadszedł ktoś uczony, co by im treść odczytał.

Mógł to być tylko ksiądz albo zakonnik, szlachciców bowiem, którzy licznie kręcili się w grodzie, nikt by nie śmiał o taką przysługę nagabnąć.

Dopieroż by każdy z nich zelżył proszącego, powiadając, że nie będzie służył za bakalarza hołocie. Podobnież nadęci rajcy miejscy, przechadzający się pysznie po rynku.

Lecz pan Filip Słotyło był nad wyraz ludzkim, uprzejmym człowiekiem i stanąwszy przed karteluszem rzekł do Wicka Kościńskiego:

- Czytaj, co tam napisane, a głośno, żeby i drudzy posłyszeli...

Wicek poczerwieniał z wrażenia i dukał powoli:

...My, z Bożej łaski i woli Obojga Narodów, Jan III, król polski, wielki ksiązę litewski, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzie etc. ect. pan, wzywamy rotmistrzów, towarzyszy i wszelką straszysznę, obersztów i oberlejtantów wojsk cudzoziemskich, rotmistrzów piechoty wybranieckiej i wszystkich w

ogóle, w kim mężne serce bije a ku Ojczyźnie milej czuje ludzkość, by się nie mieszkając stawiali pod Lwów, uzbrojeni, z żywnością lub lunungami, a to, by piersią hamować zapęd nieprzyjaciela, któren się do napaści na Rzeczypospolitą gotuje. Przez miłość Syna Bożego Jednorodzonego i Jego Matki Najświętszej, niedawno Panią tej Korony ogłoszonej, prosimy i zaklinamy, by nikt nie ociągał się ani nie zwlekał, bo od gadu jest moc, a nastąpić może szybko, rychlej, niżli będziemy gotowi...

- Hm... hm... - mrucał pan Słotyło niezdecydowanie.

- Lenungi albo żywność każą brać, czyli, że płacić nie będą... - zauważył z rozczarowaniem ktoś z tłumu.

- Powiadali tu jedni, że sultan zawziął się, jako aż do Warszawy dojedzie...

- Dwunastu paszów wie dzie wojsko...

- Panie miłosierny! To i w Lublinie nie ostoim się spokojnie!

- Nie lepiej by zawczasu w lasy zbiec?

- A do króla miłościwego! Do obrony, to nie?! - huknął rozgniewany pan Słotyło. Poprzednie jego wahanie pierzchło. Wojakiem nie był, ale nie pozostanie z tymi, co do lasu zbiegną.

Jął oglądać swoją szablę, co z przyzwyczajenia pętała mu się na rapciach

koło nóg, w wojnie nigdy nie użyta, wyciągana w kościele podczas Ewangelii.

Przyjdzie pora, że przypomniawszy sobie ćwiczenia dokonywane chłopięciem pod okiem nieboszczyka ojca, wypadnie się tą strą towarzyszką złożyć.

Przedtem jednak do płatnerza trzeba z nią iść, bo szpetnie stępiała.

...W rusznicę nową też zdałoby się zaopatrzyć. Stara, śmiechu warta.

Dobra, żeby wrony ploszyć. I szerpentyne jaką trzeba kupić dla bliźniaków. W razie potyczki nie może się jeden biczyskiem oganiać...

Pan Filip widoku krwi nie lubił, nie znosił patrzeć, jak gospodyni zarzynała kuraki, i teraz spoglądając na płatnerza, który ostrzył jego karabelę, myślał z zadumą, czy możliwe, by on, człowiek miłujący nad wszystko spokój, wraził to ostrze w czyjeś żywe ciało. Mniejsza z tym, czyje; swoje czy wroga, lecz ciało, krwawiące, drgające, cierpiące? I zdawało mu się to niemożliwe, niepodobne.

- Nie będą mieli ze mnie na wojaczce pociechy - westchnął żałośnie - a jechać trzeba... Co zrobię? Przecież do domu, raz go opuściwszy, nie wrócę...

Rozmyślał nad tym, gdy szumnie i zbrojnie wszedł do płatnerza pan Łada herbu Łada, z Bychawy, gromko żądając ozdobnego, lekkiego pancerza.

Powitał

pana Filipa, znali się bowiem z sejmików.

- Waszmość dobrodziej na Turka pewno pancerz kupujesz? - zapytał Słotyło.

- Na Turka? Ani mi się śni!

- Nie widziałeś wać uniwersalów?

- Widziałem, ale to wszystko zelgane.

- Zelgane...?!?

- Wszystko! Jak mi Bóg miły! Mydlenie oczu. Ja to waści powiadam, ja.

Turkowi ani się śni na nas ruszać. Jak po Chocimie przycupnął, tak siedzi.

- Więc dlaczego hetman, to znaczy król miłościwy, ogłasza...?

- Ba! Dlaczego? O, wiejska prostoduszności! Szczęście waści, żeś na mnie

trafil, który wszystkie kabały znam na wylot i chętnie objaśnię... Lepszego informatora nie znajdziesz... Ja słyszę, jak trawa rośnie...

- Więc wojny z Turkiem nie będzie? - przerwał z ulgą, a zarazem niedowierzaniem Słotyło.

- Oczywiście, że nie będzie. To tylko kabały. Król chce władzę zagarnąć, monarchię absolutną jak we Francji czy Niemczech wprowadzić i dlatego Turkiem straszy. Żona, Francuzica go do tego pcha. Bodaj piekło schłonęło Francuzów! Stroje nieprzystojne wprowadzili. Królowa i jej dwórki chodzą z odsłoniętymi piersiami i łopatkami, nalepiając na nich czarne plastry, które zowią muszki... I to Polak miałby ścierpieć?!

- Więc jak sprawa z Turkiem? - nalegał pan Filip.

- Przecież to jasne. Król chce siłę jak największą zebrać pod pozorem wojny, żołnierzy sobie skaptować i dopieroż przeciw nam się obrócić!

Przeciw szlachcie! Dlatego piechotę forytuje, chłopów do wojska brać zamierza! Hetman litewski wojskiem do króla nie przymknie, choćby ten nie wiedzieć ile uniwersalów słał...

- Niesłychane!... Niesłychane!... - powtarzał Słotyło strwożony.

- Nie takie jeszcze rzeczy obaczysz waść. Szczęściem, że są ludzie przenikliwi, bystrzy, co te zamysły w porę udaremnią...

Mówiąc pan Łada oglądał pancerz. Żaden jednak nie wydał mu się dość świetny, wygodny. Płatnerz tłumaczył się i przepraszał, że ma blachy tylko do walki, a nie do parady...

- Rozumiem, rozumiem - uspokajał z wyższścią przenikliwiec. Wyszli razem.

Nieodstępni pana Słotyły, Wicek i Kostolek, za nimi.

Słońce chyliło się ku zachodowi, zalewając czerwoną poświatą mury, górujący nad miastem zamek królewski, potężne baszty bramy Krakowskiej i Grodzkiej oraz wieże licznych kościołów. Ulice były wąskie, brukowane polnym kamieniem, ze spadkiem pośrodku, którym po deszczu płynęła strugami woda, unosząc nieczystości i odpadki. Paszcze rynien wysterczały daleko na drogę. We drzwiach domów, na stromych schodkach siedzieli z powagą żydzi w wielkich lisich czapach i czarnych opończach.

- Strach, co się tych judaszów nabrało - zauważył pan Słotyło. - Dawniej, pomnę, tylko za bramą Grodzką wolno im było siedzieć i kramy trzymać. Dziś już po całym mieście śmieie chodzą...

- A no - przyznał obojętnie pan Łada. - Żyd trzyma magistrat w dzierzawie, więc swoim na wszystko zezwala...

- Słyszałem, że wsie albo myta w arendę puszczają, ale żeby starostwo grodzkie?

- Zdarza się, owszem, zdarza. Poprzedni burmistrz na dwadzieścia lat miasto wydzierżawił. Pocieszne te łyki! Żyd magistrackim urzędnikom pobory wypłaca! Sądzą się z nim, ale nic nie zrobią, bo umowa prawnie była zawarta i oblatowana...

- To nie dziw, że żydzi mają w grodzie wszelką wolność...

- A nie dziw. Mnie się śmiać chce, gdy patrzę na te sprawy. Ingerować nie będę, bo nic nam do miast... Szlachcicowi zarówno, czy w grodzie siedzą łyki polskie, niemieckie, czy żydy. I tak w znajomość z nimi nie wejdzie...

- Zawdy miasta czasem potrzebujem... - stwierdził nieśmiało pan Filip.

- Jako żywo nie!

- Wino, szaty, broń kupujesz wać w mieście. Nie zrobisz ich w domu, jak garnki, piwo, statki domowe, płótno czy gorzałkę?...

- Wino Węgrzyn sam mi do loszku przywiezie. Szat jejmość ma tyle, że dla wnuczek starczy, a broń najlepsza zdobyczna... Widzisz więc waszmość, że niepotrzebne mi miasto.

- To prawda.

Przekonany tymi argumentami, pan Filip pożegnał mądrego szlachcica. Idąc rozmyślał nad tym, co usłyszał. Jakoś nie chciało mu się wierzyć, żeby hetman, tj. król tak niegodziwie postępował, ludzi Turkiem durząc. Stanął ponownie przed uniwersalem, odczytując go z wolna, słowo po słowie. Zali możliwe, by każde z tych słów kryło w sobie fałsz? Z drugiej znów strony lepiej, by wojny z Turkiem nie było...

- W każdym razie - postanowił - pociągną pod Lwów. Nie będzie wojny, odszukam krewniaków. Do żadnych poczynań przeciw wolności szlacheckiej nikt mnie nie przymusi.

Uspokojony, skorzystał jeszcze, że dnia tego spraw w sądzie nie było, by zwiedzić sławną salę trybunału, gdzie wisiał cudowny Pan Jezus o odwróconym

licu. Była to wielka osobliwość Lublina, głośna w całej Rzeczypospolitej a wywodząca się z następującego zdarzenia:

... Nie więcej niż sto lat temu pewien bogaty wielmoża skrzywdził i

najechał ubogą wdowę. Podala na niego skargę. Sędziowie ją odrzucili i przyznali słuszność bogaczowi. Zrozpaczona kobiecina wychodząc z trybunału

zawołała: "Diabli byliby sprawiedliwsi od was!" - czym rozgniewani sędziowie kazali ją pacholkom obić za obrazę władzy.

Alić tejże nocy budzą się sędziowie (a mieszkali podle sądu), bo na mieście słyhać tętent. Tuż pod oknami wali poszóstna kareta w kare konie zaprzężona. Skry wytryskują spod kopyt. Woźnica, pacholcy na czarno odziani. Stają przed wejściem do gmachu. I sędziowie, sami nie wiedzą dlaczego, schodzą śpiesznie na dół, jakby ich kto wzywał.

Widzą, że otwierają się wrota zamknięte. W sali już zatlone świece. Z karety wysiadło trzech mężów czarno odzianych. Wchodzą do środka. Stąpają cicho jak wiatr. Szelestu kroków nie słyhać. Siedli na ławie sędziowskiej.

Roztwierają akta leżące na stole. Czytają głośno wyrok, dziś przed południem w sprawie wdowy ogłoszony. A właściwi sędziowie siedzą w ławie oskarżonych i sami nie wiedzą, czemu pot zimny spływa im po czole.

Jeden z obcych powiada:

- To sprawa niegodziwa. Jakem diabeł, nie podpisałbym takiego wyroku.

- Ani ja - przytwierdza drugi.

- Dajcie mi pióro, napiszemy wyrok zasądzający bogacza - odzywa się trzeci.

Skrzypi gęsie pióro po pergaminie, pryska inkaust. Skończyli pisać, posypują piaskiem, przykładają swoje dłonie miasto pieczęci. Dłonie, nie dłonie - pazury! I swąd czuć, gdy dotykają pergaminu, jakby kto rozpalone

żelazo przyłożył.

Za czym skończywszy, powstają, odchodzą. I nagle w górze słycać głuchy trzask. To Chrystus Pan, na wielkim drewnianym krzyżu wiszący, odwrócił głowę ze zgrozą, widząc, że diabli sprawiedliwsi są niż ludzie...

Rano woźny wszedł do sali i zobaczył sędziów leżących na podłodze. Na krucyfiksie Chrystus Pan miał głowę skręconą, a na stole leżał ów wyrok diabelski, potrójną pieczęcią łap szatańskich opatrzony...

Owi sędziowie siedzieli potem między dziadami pod kościołem dominikańskim, pokutę dożywotnią czyniąc. Żyli jeszcze w grodzie ludzie, co ich pamiętali. Opowiadali, że wokół pokutników kupiły się zawsze rzesze ciekawych posłyszeć dziwnym zdarzeniu. Niewiele jednak mogli się dowiedzieć. Jednemu bowiem z sędziów od przeżytej grozy głowa latała, drugi ogłuchł ze szczętem, trzeci zaniemówił.

- Wiera, po takim zdarzeniu żaden sędzia nie podpisze chyba nieuczciwego wyroku? - zauważył Wicek.

Zakonnik, pokazujący im krucyfiks, spojrział na młodego, ale nie odpowiedział nic, tylko westchnął. Naciągnął zasłonę, którą na codzien krzyż był owinięty.

Wieczorem, leżąc na słomie, Kostolek (tego dnia był nim Olek) szeptał do leżącego pobok brata:

- ...Byliśmy w trybunale oglądać ten krucyfiks, wiesz, co nam o nim ojcowie w konwikcie opowiadali... Straszno nań patrzeć... Ażem odetchnął, kiedy go zasłoniono... Pomyśl tylko: tak świat Panu Jezusowi zbrzydł, że widzieć go wcale nie chce. Głowę odwraca... Ej, gdybyż coś takiego zrobić,

żeby liczko obrócił na nowo?!

- Trza by coś strasznie wielkiego - mruknął Kostek wąpiąco.

- Bo pewnie... A przedtem spotkaliśmy jednego szlachcica, bardzo wielmożnego, któren powiadał, że żydzi cały Lublin w arendzie trzymają...

- Jak Fiszel Kośmin?...

- Pewnie, jak Fiszel. Powiadał także, że Turka nie ma wcale...

- Jak to, nie ma? - skoczył Kostek.

- Niby na granicy... Że się do wojny wcale nie sposobi... Że królowa jest Francuzka, a Francuzy z gołymi piersiami i łopatkami chodzą...

- Do łaźni chyba?...

- Nie, na codzień. A na tym cielsku przylepiają czarne plastry, które zowią muchy, czy bąki, ale już nie pomnę...

- Dziw, dziw... O perukach pan ojciec dobrodziej opowiadał. Na Woli takie pono na sobie kołtuny zawieszali, jakby kto baranów stado spędził... O muchach i gołych piersiach nie słyszałem... Jejej, jakie to dziwaczne ludzie żyją na świecie!

- Nie pamiętasz - przypominał pouczająco Olek - jak pan ojciec jegomość czytali książkę, w której stało o ludziach, co wargi do ziemi mają i solą je posypują, żeby im się nie psuły?

- A no. Pamiętam. Albo o tamtych, co za młodu siwi, a na starość czernieją?... Francuzy znów z gołymi piersiami i czarnymi plastrami chodzą... A coś widział więcej?

- Oho, najciekawszą rzecz opowiem ci na koniec: tego wielmożnego szlachcica spotkaliśmy u płatnerza, gdzie jegomość pan Slotyło dawał

ostrzyć szablę i kupował drugą, lekką, podobną do naszej...

- Na co mu taka?...

- Ja ciągle myślę - szeptał z przejęciem Olek wprost w ucho brata - że jej nie kupował dla siebie. Bo słyszałem, jak powiadał: "Mistrzu sławetny, dajcie mi lekką, najlżejszą, do młodej ręki sposobną"...

- Dlaboga, dlaboga! I co?!

- Nic. Schował między swoje łuby.

Kostek westchnął przeciągle.

`tc

ŃRozdział Vi:

Na Rusi Czerwonej

`tc

...Nieszczęsna krew pana Dydyńskiego herbu Gozdawa, przelana przez popędliwego Jarosza Slotylę, minie wywołańca! Gdyby nie ona, łagodny, Bogu ducha winny Filip siedziałby spokojnie w swym lubym Drażgowie, patrzyłby na rzekę i wdychał woń siana, a nie tłukłby się na drodze w bryce ku niewiadomym losom, co gorsza, jako opiekun trzech chłopaków, za których czuł się odpowiedzialny. Najbardziej ciążyło mu, że nie wiedział dokładnie, dokąd powinien jechać, ani co się właściwie dzieje na wschodzie? Pytał o wiadomości każdego, co nadjeżdżał z tamtej strony, lecz odpowiedzi wypadły tak sprzecznie, że trudno z nich było coś wywnioskować. Jedni więc twierdzili, podobnie jak spotkany w Lublinie statysta, że nieprzyjaciela nie ma wcale, co najwyżej w żniwach można się spodziewać zwykłych "trwóg

tatarskich". Król siedzi w Jaworowie z żoną i dziećmi, Turkiem naród bez potrzeby strasząc. Lecz wnet nadjeźdźali inni, co wręcz przeciwnie zapewniali, że nieprzyjaciela ino, ino patrzeć, że Zbaraż otoczony przez orde, a sułtan z wielką siłą już przeszedł Dniestr. Słuchając ich można było mniemać, że lada chwila wzrok uderzy luna, a uszy krzyk: "Alla! Alla!"

Pan Filip trwożnie i poważnie myślał, zali nie skręcić na zachód albo na południe? Lecz nowi podróżni zaprzeczali pogłoskom strachajłów, powiadając, że przecież jadą od Lwowa spokojnie. Sułtan stoi pono rzeczywiście u granicy, ale wojna nierychło się zacznie, bo poseł francuski robi, co może, żeby ugodę między Rzeczypospolitą a Portą zaklepać... Rad by król francuski Rzeczypospolitą na Niemca pchnąć i dlatego takie czyni starania...

- ...Aha, aha... Bóg zapłać waszmościom - odpowiadał pan Słotyło, niewiele po prawdzie rozumiejąc. Polityka to zawilą rzecz.

Przykrzyło mu się jechać samemu na bryce, więc coraz częściej przesiadał się na swą kobylę. Była wielkiej krwi, lecz niemłoda, od licznych źrebień zniekształcona i siodlat. Brzuch jej zwisał, klęby wystawały. Nogi jednak zachowała suche w pęcynie, pewne w stąpanięciu, bystre, wielkie oko i szlachetną głowę. Pan Filip miłował ją bardzo i przypisywał rozum nieomal człowieczy. Kobylę zwano Starościna, nabyta bowiem była przed laty żróbką od starosty krasnostawskiego.

- Takiego kroku jak moja stara nie ma żaden z waszych koni - chwalił pan Filip przyjaciółkę klepiąc ją po długiej szyi. Klacz istotnie miała ogromnego stępa i zarówno siwek bliźniaków jak gniadosz Wicka nie mogły

za

nią nadażyć, co parę kroków nadbiegając truchtem. Pan Słotyło śmiał się zadowolony i powtarzał, że najważniejszy u konia jest step. Starościna kiwała godnie i bezustannie głową, jakby temu przytwierdzając.

- Sześć źrebiąt od niej wychowałem - opowiadał dalej pan Słotyło -

wszystkie bachmaty jak smoki. Wiele chciałem, tyle mi talarów za nie dawano... Jednego mam doma, a jednego odstąpiłem bratu... Ujechał na nim

po

nieszczęsnej zbrodni...

Tu pan Filip milkł i spuszczał głowę, bo każde wspomnienie zabójcy budziło w nim gorycz, której ni strawić, ni znieść nie mógł.

- Raczycie wybaczyć, jegomościu dobrodzieju - zapytał kiedyś Wacek nieśmiało - zali nie jedno wywołaniec a banita? Bom słyszał o takich, co banitami byli ogłoszeni (nazwiska jeno nie pomnę), i nikt się o nich tyle nie frasował...

Pan Filip potrząsnął głową.

- Nie jedno... Gdzie! Banita w kraju nie śmie żyć ni urzędu publicznego sprawować, przecie czci swojej nie traci. Wywołaniec zaś, infamis, to gorzej niż zwierz. Wolno każdemu polować nań jak na wilka... Byle poddany ma prawo go ubić i kary żadnej za to nie poniesie... Kto by go chronił, czy żywił, czy ludzkość mu okazał, takimże samym wywołańcem się staje i tym samym rygorom podlega... Nie może być większej hańby...

- Sposobu nie masz, by się oczyścić z infanamii?

- Nie łączno! Bywało, że infamis czasu bitwy wychodził z ukrycia i szedł

do boju przepasany czerwoną szarfą, żeby go wszyscy z daleka widzieli...

Jeżeli wielkich przewag dokonał, król zdejmował za to z niego, żywego czy poległego, infamię... Ale to nie łatwo dokonać. W tłoku bitwy mało kto na drugich uważa, choćby dwie szarfy wdział... Et, i myśleć się o tym nie chce, dalibóg!

I pan Filip, rozżalony wspomnieniami, zląził z siodła oddając Starościnę luzakowi, sam zaś pogrążał się ponownie w posępne rozmyślania na bryce. Na koniec zaczynał drzemać i niepomny troski spał do następnego postoju.

`pk.

- Wiecie wy, że na wywołańca można polować jak na wilka i byle poddany może go ubić kary nie ponosząc?... - oznajmił następnego dnia Olek jadącym z nim na wozie pachółkom. Byli już w dobrej przyjaźni. Z początku obaj bliźniacy z góry patrzyli na towarzyszy, pamiętając, że są paniczami, choć in partibus infidelium. Wytrzymałby to jednak szesnastoletni trzpiot przez cały dzień bez gadania!? A jużci! Po paru dniach rozmawiali całkiem przyjacielsko. Rataj Mateusz przewożący wozem, luzak Gawło, pacholcy Maciek

i Jasiek z początku boczyli się także i cudzili na młodych Kośmiańszczyków na zmianę im towarzyszących. Wprędce jednak oswoili się z nimi.

Zapominając

o przynależności rodowej chłopców wyrażali otwarcie swoje zdanie o wszelkiej napotkanej rzeczy. Może gdyby ów każdorazowy towarzysz odziany był z pańska, liczyłby się więcej z jego obecnością. Tak trudno jednak było pamiętać, że równie jak oni obdarty pacholek w domowej roboty

przyodziewku

i chodakach jest tym samym paniczem, co czwaniał się wczoraj na siwku i jutro znów go dosiądzie, że rozmawiali z nim jak ze swoim. Coraz częściej chłopcy ulegali temu samemu wrażeniu. Jakby zmieniając odzienie przeoblekali się w innego człowieka, patrzyli innymi oczami, sądzili odmienną miarą. Jakby żyli podwójnym życiem, jednego dnia pańskim, drugiego niewolnym...

I roily się stąd po głowie myśli, których sobie uświadomić nie umieli, lecz które nigdy dotąd nie przyśniły się nikomu z ich rodu...

- ...Więc na wywołańca można obławę robić jak na wilka... - powtórzył Olek z przejęciem.

Mateusz zarzucił lejce za kłonicę i obrócił ku chłopcu kpiącą twarz.

- Laboga! Olek to wszystkiemu wierzy... Ciekawość, kto by czynił tę obławę?...

- Każdemu wolno... każdy poddany...

Siedzący na wozie wybuchnęli śmiechem. Chłopiec poczuł się urażony.

- Prawo jest takie... - zaczął.

- Prawo... prawo... - przedrzeźniał Mateusz. - A kto pisze prawa?

Panowie. A na kogo? Na poddańców. Panów nie obchodzą prawa. Wyrabiają, co

chcą. A niechby spróbował niewolny tknąć szlachcica, choćby wywołańca!

Laboga! A toż by inni pasy z niego żywo darli, na pal wbili go za to, że się na urodzoną osobę ośmielił rękę podnieść... Kruk krukowi oka nie

wykołe... Nic ta wywołańcowi nie będzie,, nie... Bez potrzeby dziedzic

ucieka w świat i nas za sobą ciągnie... Moja mało czego nie robiła,

kiedyśwa odjeżdżali...

- Jechać, czy z ekonomem ostawać, jedna dola - mruknął Gawęł.

- Już też chyba w Drażkowie na dolę nie możecie narzekać - obruszył się

Olek - jegomość Słotyły taki dobry, że drugiego rzadko...

- I... i... spokojne panisko - przyznał Mateusz. - Sam nie ukrzywdzi

nikogo...

Ale co podstarości wyprawia, to nie wie... "Mój Szafrańsiu, nie dręczysz

ty aby ludzi?!" ... "Jak na Boga przy skonaniu pragnę, panie dziedzicu,

tuczają się niby humany" ... Tuczają się... Bodajes zdechł, zarazo! Kiedy się

chłop utuczyl?... Chyba, jeśli do puszczy zbiegl... Panisko nic nie wie. We

dworze, w jasnej izbie siedzi... Do naszych chałup, do gnoju ani zajrzy...

Nam zarówno, czy pan zły, czy dobry... Olkowy tato zły? Gdzie tam! Ludzki

człowiek. Przecie żyda trzyma, co ostatnią kroplę krwi z narodu wydusi...

et!

Urwał i biczyskiem wskazał wylaniające się przed nimi wieże.

- Patrzajcie: już Zamość widać.

- Zamość!

Na bryce pan Słotyło ocknął się z drzemki i kazał sobie podać Starościnę.

Wszyscy patrzyli z ciekawością na coraz bliższy gród, o którym mówiono, że

jest najpotężniejszą twierdzą w Polsce, ba, nawet w całej Europie.

Nieprzyjaciel nie wszedł dotychczas nigdy w jego bramy. Ani Szwedzi, ani

Chmielnicki, a Tatarzy nie usiłowali w ogóle oblegać, zadawalając się tylko

paleniem wsi okolicznych. Toteż bezpieczne w obrębie murów miasto było bogate i kwitnące, przewyższające zamożnością Lublin, w ostatnim stuleciu srodze zniszczony przez rokoszan, Szwedów, Złotareńkę i częste pożary.

Miasto Zamość było całkiem nowe, przez wielkiego kanclerza Jana Zamoyskiego na świeżej posadzie ufundowane. Rozumny plan, potężne mury, znaczne ulgi i przywileje, przyznane osiedlającym się mieszczanom, spowodowały napływ kupców ze wszystkich stron. Przybywali tu Ormianie z Wielkiej i Małej Armenii, ba, z Persji, Kapadocji i Kaffy. Sławne targi zamojskie trwały przez cztery tygodnie i poczynały usuwać w cień lwowskie. Choć szlachta szczerze mniemała, że rozwój lub upadek miast nic ją nie obchodzi, pan Słodyko z nieukrywaną przyjemnością spoglądał na piękny gród

i porównując mimo woli z opuszczonym niedawno, zbiedniałym, zażydżonym Lublinem żałował, że i tam nie zachowano poprzedniej jagiellońskiej świetności. Wszak Lublin był niegdyś jednym z najpierwszych miast Rzeczypospolitej!

Do Zamościa wiodły trzy bramy: Lwowska, Lubelska i Szczebrzeska. Ta ostatnia została zamurowana po przeprowadzeniu przez nią arcyksięcia Maksymiliana wziętego do niewoli pod Byczyną. Na pamiątkę. Królowa Eleonora, Austriaczka, bardzo się o to gniewała i nalegała na króla, by kazał wrota odmurować, a tablicę umieszczoną na nich, opisującą zdarzenie, zniszczyć. Michał umarł jednak, zanim to życzenie wykonano. Odmurować bramę

mieli dopiero Austriacy, stawszy się po latach panami Zamościa.

Nad bramą Lwowską widniała płaskorzeźba przedstawiająca św. Tomasza Apostoła, patrona miasta i herb Zamoyskich Jelita, czyli trzy włócznie złożone na krzyż. Nad Lubelską w podobnej rzeźbie umieszczony był król Stefan Batory, mający Orła Białego na piersi. Niedaleko bramy wznosił się gmach akademii przez wielkiego kanclerza wzniesionej, przez syna jego Tomasza Rozszerzonej, wspaniały zamek, w nim bogate biblioteka i zbrojownia. Podle zamku kolegiata, dalej rynek otoczony podcieniami. Mieszczące się w podcieniach sklepy uderzały bogactwem. Panu Słotyle i chłopcom oczy wychodziły z zachwytu na widok kramów ormiańskich rozkładających wschodni przepych, w którym się lubowano w Rzeczypospolitej.

W gospodzie przy kolegiacie stał czyjś poczet, nieliczny, lecz zwracający uwagę doskonałym wyglądem żołnierskim. Pan Filip ucieszył się niezmiernie, posłyszawszy od gospodarza, że to pan rotmistrz Orchyjowski jedzie wprost od króla jegomości do Warszawy z listami od panów senatorów. Przełamując zwykłą nieśmiałość poszedł przedstawić się rycerzowi.

- Poznawszy treść uniwersału miłościwego pana - rzekł - zebrałem się pod Lwów wraz z tymi dwoma młodzieńcami dobrego rodu. Ojcem ich pan Hieronim

Kośmiński z Kośmina, herbu Trzy Trąby. Mierna z nas będzie korzyść, bo ci dwaj jeszcze do szabli nie przywykli, a ja już odwykłem, przecie mamy pocziwą...

- Każda dłoń jest pożyteczna i cenna, szczególnie gdy ją ożywia ochota - odparł krótko pan Orchyjowski. Był wysoki, suchy, z lekka ku przodowi

pochyłony, o twarzy spalonej wichrem i słońcem na kolor miedziany. Dobrze już siwiejąca czupryna wichrowała nad czołem. Przygryzał niecierpliwie krótkiego szpakowatego wąsa. Gdy powolny zaproszeniu usiadł przy panu Słotyło, złożył ręce na stole ruchem, jakim lwy kamienne składają łapy na swym cokole.

- Myślałem już, że skołowacieję ze wszystkim - siał pan Słotyło uśmiechając się uprzejmie - bo co człowiek, to inaczej gadał, i żadną miarą nie mogłem dowiedzieć się sprawiedliwie, jak rzecz stoi z ową wojną? Nareszcie spodziewam się otrzymać od waszmości dobrodzieja stateczne nowiny...

- Mówiłeś przecież waść, że uniwersał czytałeś? - zdziwił się rycerz.

- Czytałem, owszem, jeno inni powiadali potem, że...

- Że to zelgane, co?

Pan Słotyło zaczerwienił się jak burak i skinał głową twierdząco.

- Że Turka nie ma, tak powiadają? A miłościwy pan dla swojej prywatnej uciechy błaga społeczność o ratowanie Rzeczypospolitej? Mówcie szczerze: tak czy nie?

Rotmistrz Orchyjowski wyszczerzył zęby, jak gdyby chciał kasać.

- Na Rany Zbawiciela! Żebyż choć jeden powiedział to przy mnie! Żebym mógł takiego plugawca zdławić, psi ozór w krtań mu wycisnąć, w smole ukapać, w pierzu wytaczać, uszy jako szelmie obciąć, pod pręgierz jako hultaja dać...

Pan Słotyło zatrwożony odsunął się na brzeg ławy.

- Nigdy posłuchu nie dał tym wieściom - zapewnił.

- A dajże Boże, by ich Tatar jak najprędzej za szyję ułapił, na arkan wzięł, familię im w jasyr pognał, żony i dziatki powyrzynał... Niech się na swojej skórze przekonają, czyja prawda i zali daremno straszym!...

- Nie bluźnij, wasze - przerwał niespodziewanie głos spokojny, lecz surowy. Bosa karmelita o lysej czaszce, otoczonej wieńcem siwych włosów, stanął niespostrzeżenie za rozmawiającymi.

- Jakże nie bluźnić? - burknął rotmistrz powstając z pośpiechem. - Ojciec January, przeor trembowelskiego klasztoru - objaśnił Słotyłę.

Pan Filip skłonił się nisko.

- Raczcie nam, wasza wielbność, okazać niezasłużoną uczciwość i kompanią naszą nie wzgardzić...

- Chętnie to uczynię... O wojnie, jak slyszalem, rozmawiacie?

- Ano, rozmawiamy - syknął kęśliwie rotmistrz Orchyjowski. - Jegomość Słotyło z tymi oto młodzikami za wezwaniem uniwersału królewskiego pod Lwów

ciągnie, ale mu po drodze ludzie prawią, żeby nie jechał, bo Turka nie ma wcale...

- Tak się tym waść animujesz? Podobnie twierdzi pół Polski...

- Powiesiłbym tę połowę!

- Nie chciałem, broń Boże, urazić pana rotmistrza - sumitował się Słotyło. - Na polityce się nie znam. Nie wiedziałem, zali tym pogwarkom wierzyć lub nie... Pytałem w dobrej intencji, w pożądaniu prawdy, nie wiedząc iście, co czynić... Chłopaków mam trzech, nieletnich, mojej opiece poruczonych...

- Trzech? - pan Orchyjowski obejrzał się w kolo. - Mówiłeś waść w przód, że dwóch?...

- Dwóch jest, dwóch, jeno mi się język splątał... Dwóch... Rodzice mi ich powierzyli, przeto lekce postępować nie mogę. A każdy, kogo spotkam, inaczej gada...

- Nam możesz waść wierzyć - zapewnił zakonnik głosem tak spokojnym i rzetelnym, że pan Slotyło poczuł ulgę i natychmiastowe zaufanie.

- Siedzimy u kraju Rzeczypospolitej - ciągnął karmelita - przeto jasne, iż wiemy lepiej, jak rzeczy stoją, niż ci, co po stolicy szablami brząkają. Turcja zbroi się do wojny, chcąc pomścić Chocim, a dotrzymanie traktatu buczackiego niecej pamięci wymusi. Sultán zebrał wielkie siły...

- Może na Węgry? - podsunął pan Filip z iskrą nadziei.

- Nie na Węgry, lecz na Polskę. Nasi komisarze siedzą tam od paru miesięcy... Tabór swój już odesłali, sami zostając, widno dla układów...

Ich ludzie powiadają, że samych janczarów stoi przy sultanie 25 tysięcy, ze siedemdziesiąt wielkich dział, a piechoty mrowie! Do tego przyjdzie orda spod Selim Girajem, a także przymknie niechybnie Wołosza, zawdy nieżyczliwa i zdradziecka.

- Cóż tędy pocznem? - jęknął pan Filip przerażony.

- Co mamy poczynać? Będziem bić plugawców, bić! - huknął rotmistrz Orchyjewski.

- Jakże ich bić, skoro mają takie siły?

- Tfu! - splunął rotmistrz i rozeźlony już chciał wyrzucić pięścią w stół,

ale go przeor w porę przychwycił za dłoń.

- Nie sierzście się, panie Pawle, bo nie ma o co. Waszmość zaś dobrodziej ducha zawczasu nie trać, bo ci się wtedy byle Kozak wyda groźny. Srogie są te siły, owszem, ale czemu? Bo Rzeczypospolita pozostaje jak rozgrodzony dziedziniec, bez należytej stróży i ochrony...

- Dlaboga, a oneż kresowe twierdze, o których tyle się w kraju powiada?

- Kresowe twierdze?... I cóż poradzą, gdy załogi nie ma? Zaopatrzenie szwankuje wszędzie. Spiżowanie takóž. Działa stare, nierzadko popsute, amunicji mało. Strzelba kiepska. Miłościwy pan, który zna te sprawy lepiej niż ktokolwiek, wciąż się dopomina u sejmu o pieniądze na tę najpilniejszą potrzebę, ale skarb pusty, a z panów posłów żaden daniny nie uchwali. Ani im o tym wspomnij! I tak wszystko niszczeje pomału. Na przykład zamek przemyski: ruina! Mężobójców w wieży osadzać nie można, bo drabiny do niej nie ma i podłoga zgniła... Królewski przemyski zamek... A najgorsze, że ludzi brak. Mało nas. Mur mężnych piersi lepszy bywa niż kamienny, ale trzeba, żeby był...

- Bez mężnych serc - mruknął zawzięcie rotmistrz - żadna warownia wroga nie zatrzyma. Utraciliśmy Kamieniec...

I jakby zmożony nagłą pasją, nie jęknął, lecz zaskowyczał:

- Kamieniec... Kamieniec... Kamieniec!

- Tak - przyznał przeor - nigdy nie starczy lez, by oplakać jego

stratę... Nie lez trzeba, a powoza na niedoługów, co do straty dopuścili!

Utracić Kamieniec to jakby drzwi warowne domu samochcąc wywalić... Toć to niezdobyte gniazdo, przednia strażnica Rzeczypospolitej!... Myślelim, gdy

padł, że cały kraj porwie się na nogi, że parę niedziel minie, a odbierzemy go... Bogać mi! Większych pono rzeczy (jeno nie wiem, czy są większe) potrzeba, by się polscy panowie od sworów i klótni oderwali... Trzeci rok mija, a Kamieniec w pogańskim ręku pozostaje... Miłościwy pan od Boga jest przeznaczony na pogromcę pogan i mściciela chrześcijaństwa, lecz cóż uczyni, gdy naród za nim nie stoi?...

Pan Filip patrzył na obu mówiących osowiałym wzrokiem.

- Poza Kamieńcem, Przemyślem - nie masz innej twierdzy?

- Są, owszem są. Jak sierpem rzucił, leżą kolejno: Buczacz, Zbaraż,

Wiśniowiec, stanowiące pierwszą zaporę. Ot, pokażę to waszmości najlepiej w

ten sposób. - Karmelita ugniótł w palcach nieco miękiszy chleba i

utoczywszy kulki układał je uważnie na stole. - To jest Trembowla, tu

Zbaraż... tu Buczacz... Teraz następne: Podhajce, niedawno wielką wiktoria

wslawione, Przeżany, Brody, Założnice, Podkamień, Podhorce, Olesko,

Brody,

Dubno... Wszystko zameczki warowne...Jużci nierówne kamieńcowi w

obronności

i armacie, ale człek potężny potrafi się w nich utrzymać choćby parę

niedziel, czego miłościwy pan dał świeżo dowody...

- Jeśli ma ludzi i proch... - mruknął znów zgryźliwie rotmistrz.

- Czym się to dzieje, że tu ludzi brak? Nigdy nie słyszał, by gdzie rąk

niedostawało?...

- Nad Wisłą! Pewnie! U nas co innego. Szturm ludzi nie rodzi, wojenka ich

nie przysparza... A toć tutaj ustawiczne szturmy i wojaczki... Przede

wszystkim zaś jasyr! Przeklęty haracz rokrocznie płacony...

- Rokrocznie? - zdumiał się szlachcic.

- Bez mała. W pięćdziesiąt lat ostatnich było więcej niż trzydzieści najazdów tatarskich... A każdy najazd to rabunek, pożoga, i kupy jasyru.

Tamtego roku król miłościwy odbił pod Krasnobrodem, Komarnem, Kałuszem

wielkie gromady niebożąt już w pętach gnanych, które na czterdzieści tysięcy i więcej liczą, w tym samych dziątek nieletnich około dziesięciu tysięcy...

- Toż też musiała być radość!

- Była radość, ale był i żal, bo na wieść o odbiciu jeńców zeszło się siła rodziców, którzy dziątek swoich wśród odzyskanych nie odnaleźli. Inna je snadź orda pognała. A znowuż nie brakło dzieci, po które nikt się nie zgłaszał. Widno rodzice zginęli, bo poganie starszych nie żywią, młodzież tylko biorąc... Więc te sieroty, co nieraz nawet swojego imienia ani nazwiska nie znały, wystawiono we Lwowie na rynku niczym gołębce na sprzedaż. A było ichm, było!... Zaklinano wszystkich ludzi uczciwych, by rozbierali je między siebie, i rzeczywiście wielu, zwłaszcza takich, którym dziatki poginęły, przyjmowało sieroty za swoje. Skoro jednak pozostało.

Zakonnice je wzięły w opiekę...

- Okrutny dopust Boże... - westchnął pan Słotyło.

- Dopust Boży! - powtórzył szyderczo rotmistrz - dopust Boży!

Zerwał się z ławy i wielkimi krokami jał chodzić po izbie, mamrocząc sam do siebie.

- Zali coś złego powiedział? - przeraził się szlachcic.

- Nie - uśmiechnął się zakonnik - jeno że cała Rzeczypospolita wzdycha

podobnie jak wy: "dopust Boży!" i nic prócz wzdychania nie czyni. My, co tu z dawna żyjem, mówimy śmiało: nie żaden dopust, jeno niedoleństwo!

- Zali Tatarom można się oprzeć? - zdumiał się znowu pan Filip wpadający

tego dnia w coraz przykrzejsze zdziwienie.

Rotmistrz Orchyjowski przestał chodzić i pochylił się nad szlachcicem,

kiwając głową, jakby go chciał w ciemię dziobać.

- A można! a można! - zawołał. - Daj mi waść wojsko regularne, opłacone,

co się po pierwszej wygranej nie rozejdzie do pieleszy, a klnę się na

zbawienie duszy, że w rok wytracę to psie plemię! Takiego dam im łupnia, że

przez sto lat nie wejdą w granice Rzeczypospolitej!

- Powiadają przecie - szeptał pan Filip z przejęciem - że ich mnogość

nieprzeliczona, że się ich kula nie ima, że czarownictwo znają i praktyki

czynią?

- Bajdy wierutne! Ze czterdziestu ich na tamten świat własnoręcznie

ekspediowałem i żaden mnie nie spraktykował. I kula ich się ima, i strzała,

i szabla tnie... A poza tym to hołota. Co innego Turki, co innego Tatary.

Turki to przednie, regularne wojsko, karne i bite nad podziw. To

nieprzyjaciel, z którym chluba walczyć. Tatary zasię hultajstwo, tym tylko

silniejsze, że my słabi i że ich za strasznych uważamy... Łupiestwa zwykli,

w boju z miejsca uciekają. Tchórze, poszczególnymi watahami, jak wilcy

grasują... Ani ich nie ma tak wiele, jak powszechnie sądzą... Strach

lękliwcom w oczach dwoi i troi... Nieraz dziesięciu Tatarów wpadnie do

przysiółka - już wszyscy krzyczą: "Orda! orda!" i z płaczem, jękiem w las uciekają, zamiast się bronić, a Tatarzy za nimi i na powrót jak cielęta

chwytają... I król miłościwy, i hetmani wiedzą z dawna, że jeden rzetelny wysiłek Rzeczypospolitej położyłby koniec tej biedzie. Nieraz to głoszą i proszą. Daremnie proszą! Wiele Małopolan czy Wielkopolan obchodzi, że województwa ruskie ustawicznie krwawią! Byle u nich spokojnie, bezpiecznie!... Bodaj wam za to kat przy śmierci świecił!

- My nie znamy tych spraw, nie wiemy! - bronił się pan Słotyło.

- Bo nie chcecie wiedzieć! Wolicie uszy zatkać i niby kwoka na swym gnieździe siedzieć! A jako wrona krakać na każdego, któren chce coś czynić, ratować, niegodziwość isniejącą odmienić!

Splunął z rozmachem na ziemię i podjął swoją wędrówkę z kąta w kąt izby.

Przeor zaczął pojednawczo:

- Choleryk jest pan rotmistrz, impetyk i przyrodzona krewkość go unosi.

Wszakże o tym, co prawi, jest wiele słuszności. Przyganić można formie, ale nie treści. Źle się dzieje w kraju, źle! Wielki prorok, ksiądz Skarga, mówił to i nawoływał, ale kto dzisiaj o jego słowach pamięta? Gorzej pono jeszcze się stało, niż było za jego czasów...

Pan Filip zgarnął oburącz swą szczupłą odwagę i mężnie zabrał głos.

Ostatecznie, cóż tak mają mędrkować ci dwaj, a on słucha niby dziecię, co samo nie wie o niczym? Czy to nad Wieprzą nie rozumieją się na polityce?

Czy on sam nie bywał na sejmikach, na elekcji?... Koźmiańszczaki, słuchające rozmowy z zapartym oddechem, gotowe pomyśleć, że ich opiekun jest ciemny jak tabaka w rogu...

Więc zaczął:

- Słyszając, jak wasze wielmożności ostro nastają na ład ustalony w

Rzeczypospolitej, można by przypuścić, że należą do zwolenników Francji tak powszechnie znienawidzonych...?

- Należymy, owszem - przyznał ojciec January pogodnie.

Pana Słotylę oburzenie aż zatchnęło.

- Jak to? Jak to? - wyjąkał.

- Ano, tak to. Wiem, co waszmość chcesz powiedzieć: że stroje

nieprzystojne, że żarty trefne i szpetne zwyczaje... Zali to jednak Francji

wina, iż tylko złem chciwie nasiakamy, złą zewnętrzną skwapliwie

chwytając, zamiast to, co w obcym narodzie jest dobre i mądre? Francja to

potężne państwo...

- Ale absolutum dominium!... Ale ucisk praw szlacheckich!

Rotmistrz Orchyjowski zatrzymał się nagle.

- Przez dwa lata bodaj - rzekł porywczo - przez dwa lata niechby było

absolutum dominium, a kraj będzie inaczej wyglądał!

Pan Filip mało nie płakał.

- Waszmość, panie rycerzu, waszmość z tak zacnej krwi pochodząc godzisz

się dobrowolnie na okrojenie wolności szlacheckiej?!

- Żołnierz jestem przede wszystkim - odparł hardo rotmistrz - żołnierz

jestem, a Ojczyznę miluję więcej niż własne prerogatywy.

- Ojczyzna, to my!... Święty polski stan szlachecki!

- Tak powinno być, ale na to trzeba, by każdy szlachcic o nią przed czym

innym dbał!

- Naszych praw, naszych wolności wszystkie kraje nam zazdroszą!

- Waść w to wierzysz? - zagadnął sucho zakonnik. - Kto nam zazdrości i czego? Corocznych najazdów tatarskich? Braku autorytetu, braku wojska!?

Bezkarości sądów? Nędzy miast? Żydowskiej niewoli?

- Za pozwoleniem! Żydowie nam służą, a trzymamy ich, bo sposobni i dogodni...

- Znam tę śpiewkę! Pomówimy jeszcze o niej, jeśli czas pozwoli... Więc czego nam Angielczycy, Francuzi czy Niemcy zazdroszą?...

- Jesteśmy wielkim narodem...

- Owszem, lecz z przeznaczenia Bożego, a nie z własnego wysiłku. Patrząc na tok naszych dziejów można by nieraz przypuścić, że cnota Polaków leży poza Polakami - Sarmatorum virtus veluti extra ipsos - i siłą nieznaną, wyrokami bożymi sprawianą, działa niezależnie od nich...

- Przecie... - zaczął pan Słotyło, ale umilkł. Zgaszonym wzrokiem śledził rękę zakonnika przesuwającą po stole ułożone na nim wpierw kulki chleba.

Założce, Zbaraż, Zborów, Trembowla, Podhajce pomieszały się ze sobą, zatraciły właściwe miejsca. Podobne zamieszanie panowało w głowie szlachcica. Wszystkie poglądy, stateczne przekonania zawirowały, wykonały obrót, ukazywały inne, nieznanne oblicze.

Twarz poczciwca wyrażała takie przygnębienie, że przeor poczuł współczucie i zmienił rozmowę.

- Cóż tedy waszmość zamierzasz teraz uczynić?

- Pociągnę do obozu, jakem postanowił...

- Daj wam Boże zdrowie i najliczniejszych naśladowców! Wojsko stoi, jak

stało pod Lwowem, a miłościwy pan odjechał do Zborowa, czekając tam na powrót komisarzy, do sultana wysłanych...

- Ojej! To go nie zobaczymy! - wykrzyknął Wicek żałościwie.

I poczerwieniał jak burak, bo pan Filip spojrział na niego karcąco. Odkąd niedolatki głos przy starszych zabierają?!

Ale tamci dwaj nie zdali się urażeni.

- Obaczysz go, synu, obaczysz, niech jeno trąby zagrają. Miłościwy pan nie będzie z dala od wojny siedział jak Michał nieboszczyk. Na przedzie wszystkich sam pójdzie, powiedzie.

- Boże, błogosław Jana! W nim cała nadzieja narodu - szepnął po łacinie ksiądz.

Obu stanęły łzy w oczach. Pan Filip zmieszał się i zafrasował ponownie.

Wspomniał co mówił w Lublinie pan Łada o rzekomych królewskich kabałach

i

postanowieniu hetmana litewskiego Paca. Ogarnął go palący,

niewytłumaczalny

wstyd.

- Wojna jest nieunikniona - podjął przeor - wszakże jeśli do Zielnej się nie zacznie, to ją do wiosny odłożą. Pod jesień nikt wojny nie wszczyna, bo mogłaby zima nadejść, zanim się losy roztrzygną. Dla nas lepiej, aby się odbyła w tym roku, bo przez zimowanie to trochę wojska, co jest w obozie, gotowe się rozejść.

- Ja bym wołał później - przyznał najszczerzej pan Filip. - Doma nie powrócę. Wolny czas zimą przeznaczyłbym na odszukanie swojaków...

Synowie

mego stryjecznego dziada, stolnika lubelskiego, osiedlili się na Rusi...

- Waść czym się pieczętujesz?

- Sasem. Słotyło herbu Sas, do usług.

- Sasów jest u nas jak maku. W Rybotyczach Sasy siedzą i Rybotyckimi ich zowią, ale ci od króla Kazimierza Wielkiego nadanie mają. Bardzo się tym pyszną... A reszty trudno wyliczyć: Chrustowscy, Witkowscy, Hoszowscy, Sulatyccy, Kanofojscy, Obertyńscy, Łąccy, Pasławscy i Bóg ich jeszcze wie...

- Wszystko Sasy?!

- A wszystko. Szlachty koronnej u nas siła, jeno różnymi wiekami przybyłej. Najdawniejszych królowie osadzali jako graniczników, dla stróży kresów, dla czujnej warty. Ci najgórniej się noszą. Bo jużci królowie nie przeznaczali do tej służby byle kogo, jeno najdzielniejszych, najbardziej zasłużonych rycerzy... Ci, co później osiadali, są równie przedniej krwi, ale już z własnej woli przybyli. Gdzie się ma nasza młódź szlachecka podziać, jeśli nie na kresy iść? Gdy kilku synów w rodzinie, ziemi dla wszystkich nie starczy.

- Słuszna - przyznał pan Filip. - Moim pupilom także w domu ciasno.

Trapię się teraz, jakże wśród tylu Sasów odnajdę moich krewniaków, stolnikowiczów?

- Nie trap się waść. Podle Trembowli mieszkają Bilińscy. Też Sasy. Jest u nich ciotka, panna Kunegunda, słynąca na trzy powiaty ze znajomości koligacyj. Aż nieraz śmiech bierze, bo ludzie do niej niby do wyrocni

zjeżdżają. Wszystkich zna. Na pamięć wyłoży, skąd jaki ród pochodzi, kiedy przybył, kto kogo rodzi i z kim jest spokrewniony. Ona i waści objaśni, i stolnikowiczów znajdzie. A dom Bilińskich zacny. Biliński miecznikiem jest. Dwa lata temu ożenił się z wdową po Wilczku, który przed dziesięciu laty przez Tatarów pojmany, w niewoli zginął...

- Do Trembowli kawał drogi - zauważył pan Słotyło - wszakże jeśli innego sposobu nie znajdę, a czas pozwoli, do onej Pytii pociągnę.

- Przyjeźdź waść. A przy okazji nie zapomnij wraz z pupilami odwiedzić naszego klasztoru. W Trembowli tuż za murami. Serdecznie cię powitamy.

`pk.

Słońce paliło silnie, namolnie, uparcie. Rozgrzane lasy woniały. Dojrzałe maliny wyciągały się ku przejeżdżającym, jak gdyby ofiarując swą dostalą słodycz. Chłopcy rwali je w przelocie. Muchy ciągnęły jak deszcz. W powietrzu trwała parna cisza, pełna utajonego niepokoju. Cisza przed burzą. Chwilami z dołu, niby dmuchnięty przez ziemię, porywał się nagły wiatr, wirował chwilę i niósł się przed taborem siwym lejem pyłu, by znów gdzieś przepaść przy drodze. Dawniej wierzono, że to płasa demon Strala i że można go zabić ciskając poświęconym nożem w serce wirującej kurzawy. Choć pokolenie pana Słotyły zapomniało już o Strali, mieszkańcy pustych rozstajów, podróżni spoglądali z odrazą na biegnący przed nimi słup białego pyłu.

Ogarniał ich ten sam wewnętrzny, niewytłumaczalny lęk, co ściska serce na widok świecącego nocą w dziupli starej wierzby, lub na zwołujący głos sowy.

Daleko, zza lasów wylaniały się ciemnosine czuby chmur, zaciągały niby

siecią oba krańce nieba. Posuwały się szybko w górę nieboskłonu, jak gdyby prostując swą linię natarcia. Na zachodzie jeszcze niebo modrzyło się czystym lazurem, jeszcze promiennie oślepiało słońce, ale od wschodu już szła nawałnica. Już od cieniu i grozy nadciągających obłoków barwy światła utraciły jasność i pogodę, stały się jednocześnie spelzłe i przykro jaskrawe. Ptactwo z piskiem kołowało tuż nad ziemią. Bydło wracało z pastwiska do domów.

Kto mądry, ucieka przed burzą - myślał pan Słotyło - tylko ja, durny, jadę prosto na nią. Po co, sam nie wiem. Licho mnie skusiło opuścić rodzony dom, z którego nikt mnie nie wyganiał. Na to, że Jarosz jest zabójca i infamis, cóż poradzę? Każde dziecko w powiecie wie, że o tym nie winien... I rozumowanie to wydało mu się tak proste, że nie mógł pojąć, iż nie przyszło mu do głowy wcześniej. Poczul się bezradny, nieszczęśliwy, opuszczony. Czarna chmura zbliżająca się zza borów nie zdała się zwykłą burzą. To była pożoga, to była "trwoga tatarska", to była wojna, którą rotmistrz i przeor nazywali nieuniknioną. To sine Tatary z nożem w zębach, pędzące w jasyr zapłakane dzieci. To pożary, nocne luny, to strach, strach, strach...

A pan Słotyło jedzie ku nim samochcąc. Słotyło, najcichszy, najspokojniejszy człowiek w swoim powiecie, ba, w całym województwie, ba, w całej Rzeczypospolitej, pcha się dobrowolnie w nadchodzący zamęt...

...Zamiast w lubym Drażgowie siedzieć, na łęgi nadwieprzańskie spoglądać, zapach lip wdychać, kumkania żab słuchać...

...jedzie!!...

- Wasza miłość, musi trza obręcze leszczynowe na brykę założyć i płachtą opiąć, bo zlewa idzie? - zapytał Grzegorz, woźnica.

Pan Słotyło skinął głową obojętnie i przyzwalająco. Nie przytwierdził:

"tak, tak, idzie zlewa. Zboże ludziskom połóży" ... - zbyt pochłonięty

myślami. Chmura uosabiająca niebezpieczeństwo przybrała znów inny obraz.

Nie grad w niej szumiał, nie strzały tatarskie, ale groźba dotychczas

nieznana. Powszechne lenistwo, bezład, sobkostwo, i zapomniane

przepowiednie księdza Skargi...

`tc

ŃRozdział Vii:

W tureckim obozie

`tc

Mahomet IV, zwany Awżda czyli Łowca, lubił być porównywany do swego

poprzednika, Mahometa II Zdobywcy. Dworacy znający tę słabość, nie omijali

żadnej sposobności, by owo rzekome podobieństwo zaznaczyć. W istocie

jednak

krótkowzroczny okrutnik nie przypominał w niczym srogiego, ale genialnego

władcy, który obalił odwieczne państwo bizantyjskie. Mahomet IV był

niedolęgą i tchórzem. Zwycięskie wojny i wznowienie potęgi tureckiej

zawdzięczał dwom mądrym doradcom: staremu wezyrowi Mahometowi

Kiupriulemu i

synowi tegoż, Achmedowi. Zięc sultana Ibrahim Szyszman, czyli Tuścioch,

Kapłan zwany Tygrysem, pasza Aleppo, oraz dziewierz Szyszmana Kara

Mustafa

stanowili zbrojne ramiona władzy sprawowanej kolejno przez obu

Kiupriulich.

Sultan nie mieszał się prawie do rządów, zadawałając się łowami,

wydawaniem

niezliczonych wyroków śmierci i głoszeniem własnej chwały. Przed kawalerą

sultańską sterczało stale kilkadziesiąt ściętych głów zatkniętych na piki.

Gdy całkiem ogniły a drapieżne ptactwo zdziobało mięso, ukazując bielejące

czaszki, usuwano je, by zastąpić świeżymi. Winowajców, zasługujących na

karę śmierci, nigdy w przekonaniu sultana nie brakło.

Stambułu (odkąd padło stare Bizancjum, przeżywszy swój wiek, a wielki

kościół św. Zofii zamieniono na meczet, tym mianem określano

Konstantynopol) sultan nie lubił lękając się spisku. Sam wstąpił na tron,

zamordowawszy swego ojca Ibrahima, i nie bez słuszności sądził, że bracia

mogliby w podobny sposób utorować sobie z kolei drogę do tronu. Włóczył się

tedy nieustannie po swym wielkim państwie wraz z całym dworem, z

haremem, z

przepysznyimi namiotami przypominającymi pałace baśniowe, z

niezliczonymi

sforami psów, chmarą sokołów, przyuczonych do łowów lampartów i z

zatkniętymi na piki głowami. Bijący z nich fetor otaczał precudny namiot

sultana nieustającym pierścieniem lęku i grozy.

Jako powód tych wędrówek sultan podawał prócz łowów chęć kierowania

osobiście każdą wojną. Mówiło się, że Władca Wiernych sam raczył

poskramiać

wroga i po zawarciu pokoju odprawiał wjazd triumfalny do stolicy. W istocie jednak pozostawał zawsze w przyzwoitym oddaleniu od linii boju, nieskory do narażania się na zmienny los walki.

Matką Mahometa IV była branka ruska czy polska, zwana Walide Tarchan.

Po

niej może sułtan odziedziczył pociąg do krain Zachodu, do szerokich rozłogów ukraińskich, jarów podolskich i strumieni podkarpackich. Wbrew Kapłanowi-paszy i Szyszmanowi, pragnącym raczej uderzyć na Węgry, upierał się przy myśli zawojowania wprzód Polski.

Do niedawna powodzenie sprzyjało zamysłom sułtana. Nieodłączna

Rzeczypospolita - której rząd nuncjusz papieski Bonvisi nazwał w urzędowej

relacji "potworem cierpanym przez Boga po to tylko, by się okazała Jego

wszechmocność utrzymująca przy życiu ten kraj" - nie była w stanie się

bronić. Kamieniec, przez samych Turków uważany za niemożliwy do

zdobycia,

dostał się w ręce sułtana prawie bez wysiłku. Wprawdzie orda tatarska

została rozbita pod Komarnem i Kałuszem, lecz w Buczaczu podpisano traktat

srowadzający potężną niegdyś Polskę do roli hołdowniczego lenna sułtana.

Mahomet IV promieniał. Syn podbił i ujarzmił ziemię, skąd pochodziła jego

matka. Mógł je deptać i naginać pod swe prawo. Posłom cudzoziemskim,

rezydującym w Stambule, oznajmił, że tknięty litością oszczędził króla

polskiego i nie wygnał go jeszcze z Warszawy, zadowolając się hołdem.

Uczyni to jednak przy najbliższej sposobności. Wierzył, że tak będzie. Miał

prawo wierzyć. Lecz na drodze dotychczasowego bezprzykładnego

powodzenia

stanął w poprzek jeden człowiek.

Tego człowieka nie wolno mu było wspominać w obliczu sultana. Nie wolno go było wspominać w ogóle. Lubiący przydomki muzułmanie nazywali go cichaczem Lwem Lechistanu, jak Kapłana-paszę zwano Tygrysem, w jawnej rozmowie jednak zatajano jego istnienie. Podobnie milczano o porażce podhajeckiej i strasznej klęsce chocimskiej. Lecz by pomścić te dwie przegrane, ścigało teraz na granicę Rzeczypospolitej wojsko z całej Azji. Można poddanym zakazać mówić o czymkolwiek. Można w razie nieposłuszeństwa ukarać ich śmiercią. Milczącą głową zatknięta na pice - nie przemówi. Ale nie można sobie samemu wzbronić pamięci o tym, co się kazało zapomnieć tłumom niewolników. I sultan, siedząc beczynn timer w swojej wspaniałej kwaterze, nie mógł na chwilę przestać myśleć o Sobieskim. Myślał z nienawiścią, szacunkiem i lękiem. Okrutny, tchórzliwy, Mahomet IV nie był jednak ograniczony. Odczuwał w przeciwniku potęgę, sprężoną sumę nienawiści kilku pokoleń, wołanie pomsty krwi dziada, Żółkiewskiego, poległego pod Cecorą, brata Marka, zamordowanego pod Batohem i wuja, Daniłowicza. Ta suma stwarzała siłę. Ta siła, połączona z geniuszem wojennym, ze znajomością Wschodu (w roku 1653 Sobieski jako zakładnik przebywał w obozie chana, w następnym - wraz z Bieganowskim posłował do Konstantynopola i przebył tam kilka miesięcy), z talentem porywania za sobą ludzi - wystarczała, by wlać nową moc w rozkładającą się Rzeczypospolitą. Patrząc na olbrzyma z oddaleniem, z przenikliwością wroga, sultan oceniał

go znacznie trafniej niż współrodacy. Tamtym właściwy pogląd przesłaniały drobne usterki wojennego męża, jego zbyt kochliwość, uległość żonie, złośliwej i próżnej kobiecie, jego błędy polityczne. Wysuwali te sprawy na pierwszy plan, doszukując się w nich zasadniczego znaczenia. Mahometa IV owe drobiazgi nic nie obchodziły. On wiedział jedno: że Polska leżała pokonana u jego sultańskich stóp, że mógł wejść przez nią jak przez wywalone wrota w samo serce Europy i że ten jeden człowiek przeciwstawił się temu skutecznie.

...Jeden człowiek!...

Mahomet dyszał z wściekłości. Nikt z otaczających, nawet jego zięć Ibrahim Tuścioch, nawet Kapłan Tygrys nie byli pewni życia. Głowy ich każdej chwili mogły wzbogacić zwykłą dekorację namiotu. Sultana żądał, by natychmiast ruszali przeciw wrogowi. Jak zwykle, zapowiadał i rozgłaszał, że sam obejmie główne dowództwo. Znalazłszy się jednak niedaleko Dniestru, naprzeciw Chocimia, stanął warownym obozem, sprawowanie władzy oddał Szyszmonowi i sam nie zamierzał posuwać się nigdzie, chyba by wrócić do Adrianopola.

Obóz był wielki, warowny, wieleś tysięcy ludzi liczący, otoczony częstokolem i potrójnymi rowami. Poza obozem zapadła koszem orda pod wodzą

Selim Giraja. Między ordą a sultańskimi nie było przyjaźni. Turcy nie lubili tych sprzymierzeńców, wiecznie niekarnych, i niechętnie puszczali ich do obozu. W obozie janczarskie pulki, przepysznie odziane w żółty aksamit i suto żywione, uderzały oko sprawnością i moderunkiem. Za

janczarami stała jazda, wielbłądy, wreszcie artyleria. Wielkie działa obłądnicze nie mające sobie równych. Ponieważ owe kolubryny nie mogły być długo używane, gdyż od siły wybuchu pękały, w osobnym końcu obozu znajdowała się odlewnia, gdzie inżynierowie włoscy, czuwający przy dziwnych piecach, gotowi byli każdej chwili stare uszkodzone działo przelać na nowe. Oprócz inżynierów nie brakło w obozie kupców ormiańskich, weneckich i genueńskich. Dbający tylko o zysk, handlowali chętnie ze śmiertelnymi wrogami swych krajów. Na szczęście, nie tylko odlewnicze i kupcy przedstawiali żywioł chrześcijański. Mogłeś spotkać w obozie mnichów z zakonów jałomużniczych, przesuwających się cicho między szeregami janczarów, między rzędami pik zwieńczonych martwymi głowami. Cierpliwi, bezbronni, nieustraszeni, prowadzili wytrwale od dwustu lat swą dobroczynną działalność wykupywania jeńców, przesyłania rodzinom wiadomości o zaginionych. Śmierć groziła im przy każdorazowym niepowodzeniu oręża tureckiego, przy najłżejszym wybuchu złego humoru sultana, wezyra lub prostego agi. Jednakże trwali. Gdy jednych wymordowano, przybywali nowi. Szeroka droga wiodła przez obóz do stojącego pośrodku namiotu sultana. Namiot cały purpurowy, haftowany złotem, posiadał siedemdziesiąt izb i cztery wieże. W środkowej sali na barwistej sofie zasiadał sultan, mając przed sobą naczelnego wodza, czyli serdara, Ibrahima Szyszmana oraz wezyra Kara Mustafę.

Nawet ubraniem Mahomet IV starał się upodobnić do Mahometa II.

Podobnie

jak tamten nosił żołnierskie buty, niezmiernie szerokie żółte szarawy i przesadnie wielki turban mający podwyższyć cherlawy wzrost władcy. Kilku czarnych niewolników, stojąc po bokach, poruszało z wolna olbrzymie wachlarze z piór strusich. Dzień bowiem był upalny, podolskie słońce prażyło. Przez podpięte kotary namiotu widać było bure kłęby pyłu wzniesione przez pędzące do wodopoju wielbłądy.

Sultan mówił. Niepokój i gniew, jakie mógł odczuwać, były ukryte głęboko. Przemawiał niby zwycięzca, posyłający swych wodzów, by w dalszym ciągu wiedli ten zdobywczy pochód.

- ...Poprzednik mój, zwany Zdobywcą - ciągnął - zawładnął

Konstantynopolem, Serbią, Grecją. Albanią, Krymem, Negropontem, koloniami

czarnomorskimi, Kaffą i Azowem. Na Allacha! Nie uczynię mniej! Zająłem już Ukrainę i Podole. Chcę posiąść całą Polskę z Krakowem, Warszawą po Gdańsk.

Morze Bałtyckie będzie morzem tureckim. Splawi się w nim ten sam bachmat, który pił wodę z Limanu. Miasto Gdańsk jest podobno piękne i bogate?

- Tak wszyscy mówią, Władco Wiernych. Pozwól jednak przemówić nieśmiało,

nędzne słowo niegodnemu słudze: Morze Północne zdobędziemy później. Nie lepiej teraz iść na Niemcy i Rzym? Rzym jest Mekką gjaurów. Grób proroka Jezusa pozostaje odwiecznie w ręku wiernych. Gdybyśmy jeszcze zawładnęli

grobem Jego slugi Piotra, chrześcijaństwo pozostałoby bez głowy.

- Na utrudzone w pyłe sandały Proroka, słusznie mówisz, Ibrahimie! Pójdę na Rzym! Któż mi przeszkodzi, jeśli zechcę?

- Nikt ci nie przeszkodzi, nikt cię nie zatrzyma, niezwyciężony sultanie!

Urzeczywistnisz pragnienie swych chwalebnych poprzedników, dążących do zawładnięcia ziemią Rumi, którą jej mieszkańcy zowią Europą. Ty to uczynisz. Masz potęgę, jakiej świat nie widział. Masz uwielbiających cię poddanych i kornych, niegodnych wprawdzie twego geniuszu, lecz jedynie o twej sławie myślących wodzów...

To mówiąc Ibrahim Szyszman zgiął kolano (przyszło mu to z trudem z powodu

tuszy) i pochylił się nisko przed władcą, którego oblicze wyrażało błogość.

...Któż mnie zatrzyma?... - powtórzył sultan i drgnął.

Zimny wiew rzeczywistości przeniknął nagle słodką mgłą pochlebstwa. W mózgu sultana palącymi zgłoskami wyskoczyły Podhajce, Chocim, i ów... ów... Sobieski... Jeden człowiek!... Twarz mu skurczyła się i zbladła. Zęby zgrzytnęły.

- Moi wodzowie! - syknął z nagłą pasją - moi wodzowie to tchórzliwi szakale!... Niedołęgi zasługujące na śmierć! Allah mnie pokarał nieudolnymi wykonawcami!...

Ibrahim Szyszman czuł, że pot zrasza mu skronie. Nie śmiał go obetrzeć.

Ugięte kolana dygotały z wysiłku i strachu. Nie śmiał się wyprostować.

Wezyr Kara Mustafa spoglądał na własne ciżmy z pozornie obojętnym wyrazem

twarzy.

- ...Gdybym miał innych wodzów! - syczał sułtan - dawno byłbym panem

Zachodu! Zaprawdę, nie wiem, co mnie wstrzymuje od zdjęcia waszych głów z karków!

Z zewnątrz namiotu wiatr zawiewał wstrętny odór, i pot zraszający lica

Ibrahima Tłuściocha przemienił się w wielkie krople spadające na kobierzec.

Lecz sułtan uspokoił się z wolna.

- Co robią komisarze Lechistanu? - zapytał.

Ibrahim Szyszman wyprostował się nie tając ulgi.

- Komisarze Lechistanu, o Władco Wiernych, domagają się natarczywie, by ich odprawiono. "Skoro nasze poselstwo nie ma tu posłuchu - powiadają - chcemy wracać"

Mahomet roześmiał się chrapliwie.

- Na Allacha! Wracać teraz, gdy przewąchali wszystkie nasze zamierzenia, gdy zrachowali wszystkie nasze wojska!

- Przenikliwa mądrość mówi przez twe usta, Władco Wiernych. Nie należy ich puszczać z powrotem. Co będzie jednak, gdy rozniesie się po świecie, że więzimy posłów? Zali to nie rzuci cienia na twoją wspaniałość?

- Ja ich też nie więzę, tylko chcę, by opóźnili swój wyjazd. Na niczym im nie zbywa. Niech czekają. Gdyby zaś, nie licząc się z moim życzeniem, wyjechali skrycie pomimo zakazu, i gdyby wówczas pozbawieni należnej poselstwu osłony zostali poza obozem napadnięci przez nieznanym nam rabusiów, o Tłuściochu, co by wówczas powiedziano?...

- Że Wysoka Porta nie ponosi w tym żadnej winy... Rozumiem, Władco

Wiernych.

- Winnych napadu ukarałbym w sposób okazujący, jak bardzo cenimy posłów

-

dodał sultan przesuwając językiem po okrutnych, wąskich wargach.

`pk.

Panowie komisarze Lechistanu, a to: wsławiony męstwem pod Chocimiem

pan

strażnik koronny Stefan Bidziński, generał piechoty Krzysztof Korycki i

Tomasz Karczewski, podczaszy sanocki, doszli w owym czasie do punktu, w

którym człowiek traci ostatnią cierpliwość. Siedzieli tutaj od paru

miesiący, przysłani przez króla zaraz po elekcji dla zawiadomienia sultana

o objęciu przezeń tronu i próbowania układów. Układy spelzły na niczym,

gdyż Mahomet IV zapytał przede wszystkim, dlaczego haracz nie został dotąd

wypłacony. A gdy posłowie próbowali powoływać się na odniesione ostatnio

zwycięstwa i żądać zwrotu Kamieńca, krzyknął z wściekłością:

- W dwóch słowach kończcie swą rzecz! Trzeciego słyszeć nie chcę! Te dwa

słowa: płacić haracz!

Wobec tego przyjęcia komisarze skłonili się w milczeniu i odeszli.

Natychmiast też zamierzali wracać do kraju. Już większa część poselskiego

taboru i służby ruszyła przodem, gdy rozważny wielki wezyr Achmed

Kiupriuli

jął przekładać komisarzom, by pozostali jeszcze na jakiś czas. Że trafili

nieszczęśliwie na zły humor sultana, spowodowany rozbiciem nad Dniestrem

kilku zagonów tatarskich, że za parę dni Władca Wiernych cofnie

niewątpliwie swe porywcze słowa, zawezwie ich do siebie i kto wie, czy nie raczy wysłuchać propozycji króla polskiego do końca. Mówiąc tak, wezyr był szczery, sam bowiem nie pragnął wojny.

Wysłanego wprzód taboru nie warto było wracać, komisarze przeto zostali tylko z kilkoma konnymi. Czekali. Lecz parę niedziel minęło, a sultan nie wzywał ich bynajmniej. Ze śmiechem miał się wyrazić, że czekają widno, aż ich osobiście odwiezie do Warszawy. Co gorsza, Achmed Kupriuli popadł na chwilową niełaskę i wyjechał do Konstantynopola. Z jego odjazdem znikły ostatecznie nadzieje układów. W Polsce ogół szlachecki utwierdzał się chętnie w przekonaniu, że Podhajce i Chocim napelniły Turków trwogą i odebrały chęć

do dalszych napaści, panowie komisarze mogli się teraz przekonać naocznie, że było wręcz przeciwnie. Poniesione a nieoczekiwane klęski rozpały w sultanie chęć zemsty. O pokoju nie było co marzyć, chyba na niecnym buczackich warunkach.

Znów tedy komisarze zwinęli toboły. Nie odjechali jednak. Straż stojąca przed ich namiotem, dotychczas tylko honorowa, sprzeciwiła się odjazdowi. Konie i pacholców odesłano na odległe pastwiska, zatrzymując posłów.

Wbrew

wszelkim prawom byli uwięzieni.

Pozostawiono im swobodę poruszania się w obrębie obozu i oddawano należne

posłom honory. Z sultańskiej kuchni niewolnicy przynosili codziennie pieprzne przysmaki na baranym łoju, bakalie i tęgie wino. Nie wolno im było

jednak zbliżyć się do którejkolwiek z bram. Towarzysząca im nieustannie straż, dziesięciu rosłych czauszów w barwistych kaftanach, zamykała natychmiast drogę, wyciągając szable ruchem niedwuznacznym.

I tak mijały dni. Pod stopami komisarzy paliła się ziemia. Tam, w Polsce ludzą się możliwością pokoju, sądzą, że skoro posłowie nie wracają, znak to, iż układy trwają, oni zaś nie mogą króla zawiadomić, przestrzec.

- Jeżeli pogany zwlekają do wiosny - mówił z rozpaczą strażnik Bidziński

- nikt w kraju nie będzie spodziewał się wojny. Granica zostanie ze wszystkim ogolona

- Jużci, że tak! Jużci, że tak! - potwierdzał generał Korycki.

Codziennie prawie domagali się posłuchania u Ibrahima Szyszmana, Kara Mustafy albo Kapłana z Aleppo, o ile jednak takowe otrzymali, odpowiedź była zawsze jedna i ta sama: "Władca Wiernych nie raczy zgadzać się na wyjazd panów komisarz". Powoływanie się na prawo międzynarodowe, na nietykalność poselską, nie odnosiło najmniejszego skutku.

Równie daremne okazały się próby przesłania jakiegokolwiek wiadomości do kraju. Turcy nie byli przekupni. Co prawda, komisarze nie rozporządzali znaczniejszym zasobem złota i mogli obiecywać hojną nagrodę dopiero w przyszłości, ta zaś bywa znacznie mniej nęcąca. Przeszkodę też stanowiła ich nieznajomość tureckiego języka. Porozumiewać się mogli z otoczeniem tylko przez tłumacza.

Urzędowym tłumaczem przy poselstwie był Tatar Morawski, w Polsce - dokąd

jeździł w charakterze tłumacza z posłami tureckimi - uważany za poturmaka,

a to ze względu na szlacheckie brzmienie nazwiska. W rzeczywistości poturmakiem nie był. Pochodził z Tatarów Lipków i urodził się jako muzułmanin. Był to siwy, niemłody mężczyzna, bardzo bystry, bardzo zdolny, lecz zdaniem komisarzy nie zasługujący na zaufanie.

Doprowadzeni do rozpaczki przymusową bezczynnością, posłowie z początku nie opuszczali namiotu. Uważali za ujmę dla Rzeczypospolitej przechadzanie się pieszo na równi z tłumem żołnierzy lub niewolników. Szlachcic może patrzeć na świat tylko z konia. Trudno jednak było wytrzymać w dusznym namiocie, przeto po pewnym czasie jęli wychodzić wieczorami. Widywali przeglądy dokonywane przez samego sułtana i głębokie szeregi świetnej piechoty stojącej równo, niby skamieniałej.

- Taką piechotę, taką piechotę nam dajcie - wzdychał wtedy generał

Korycki - a żaden nieprzyjaciel nie wyda się straszny...

- Miłościwy pan wie o tym dobrze i dlatego chłopów do wojska garnie...

- Król Stefan to samo robił, ale cóż, kiedy szlachta temu niezyczliwa...

- Dogrzeją nam te kartauny, dogrzeją - przerywał podczaszy sanocki

ukazując dłonią pobliską odlewnię. Opodał wielkich dziwacznych pieców ziemnych, pod dozorem inżynierów włoskich - niewolnicy kończyli polerować olbrzymie, połyskliwe cielsko świeżo ukończonej armaty.

- W otwartej bitwie do niczego one smoki, bo nie zwrotne...

- Ale przy oblężeniu twierdz...

- Nie ma już twierdz, przepadł Kamieniec!

- Nie bluźnij waść! A Lwów, a Trembowla, Brody?

- Wezmą je i bez tych armat...

Strażnik koronny Bidziński i generał Korycki spojrzeli surowo na towarzysza ganiąc jego upadek ducha. Nie rzekli nic, bo droga wyprowadziła ich właśnie przed pałac sultański. Na odgłos kroków kilka wron porwało się z głośnym krakaniem. Prócz warty nie było w pobliżu nikogo. Komisarze przystanęli z trudnym do opisanie uczuciem, patrząc na wielki, siedmiokonny buńczuk wojenny, zatknięty od wiosny po zachodniej stronie, polskiej stronie, i na rząd okropnych, martwych głów, z których odleciały wrony. Patrząc pomyśleli, że tak samo gniła na piece najczcigodniejsza głowa rycerza bez skazy, hetmana Żółkiewskiego, królewskiego dziada i że w każdej chwili zawisnąć mogą podobnie ich własne.

Gdy uprzytomnili sobie odwieczne zapasy Polski z tym Wschodem okrutnym, usiłującym wdrzeć się do Europy, wzbierała w nich gorzka duma niedocenionych obrońców, a zarazem poczucie obcości i nienawiści do wszystkiego, co ten Wschód azjatycki uosabiał, do zagłady, jaką niósł, a której nikt w Europie, kromia Polaków, Rzymu i Węgrów, nie rozumiał...

- Boże, Boże! - szepnął nagle strażnik Bidziński ruszając z miejsca - uciekajmy stąd, uchodźmy, róbmy coś, bo oszaleję...

- Na swoich nogach uciekać?

- A bodaj, bodaj! Skoro konno nie można, uciekajmy piechty...

- Racja - przyznał generał - do Dniestru niedaleko...

- Szalone pomysły chwytają się waszmościów - oburzył się podczasz - piechtą nim milę ujdziemy, już nas pościg dogna...

- Tu gęste dąbrowy są, skryjemy się...

- Nie możemy narażać na szwank godności Rzeczypospolitej, przez nas

reprezentowanej!

- Gorzej się przysłużymy milej Ojczyźnie, nie ostrzegając króla w porę...

- Zmiłujcie się, waszmościowie! Jakżeż Dniestr przejdziecie? Wpław?

Zresztą w Chocimiu załoga turecka, w Żwańcu też...

- Bóg jakoś dopomoże...

- Rób waszmość, jako chcesz, my uciekamy...

- Łacno to mówić - odparł podczaszy z goryczą. - Wiadomo przecież, że za

ucieczkę waściów głowę mi zdejmą, jak amen w pacierzu...

- Tedy uchodź z nami.

- Nic nie pomożemy, godność poselską zszargamy... - tłumaczył

rozpaczliwie pan podczaszy. - Pozwólcieź przynajmniej, nim się tej

ostatniej imprezy chwycimy, że zainterpeluję jeszcze raz Ibrahima, czy nam

odjechać nie zezwoli?

- Interpeluj waść, skutek z góry wiadomy...

- Jeśli odmówi, rzekniemy, że wobec gwałtu jawnie nam zadanego będziemy

usiłowali uczynić sobie wolę sami...

- Zakuje nas w dyby na to oznajmienie i wszystko przepadnie...

- A może nie zakuje? W każdym razie posłami jesteśmy, waszmościowie,

posłami i nie wolno nam uciekać bez wypowiedzenia, niby rzezimieszkom.

W głosie podczaszego drgało przekonanie. Był starszy od obu pozostałych.

Korycki i Bidzyński wiedzieli, że jego obiekcje pochodzą z nadmiaru

rozwagi, nie z braku męstwa. Przystali więc w końcu, acz mruczac

niechętnie.

Rozmowa z naczelnym wodzem odbyła się w parę dni później.

Wbrew obawom komisarzy Ibrahim Szyszman nie zakuł ich w dyby mimo wyraźnej zapowiedzi usiłowań ucieczki. Przeciwnie, coś na kształt dobrodusznego uśmiechu przemknęło po jego wielkiej, zalanej tłuszczem twarzy. - Na wypadek, gdyby szlachetni komisarze Lechistanu pragnęli uciekać dziś - dorzucił żartobliwie - wyjawię hasło, będzie nim: Mahomet. Pochylił nisko głowę, wielbiąc podwójnie święte imię władcy i Proroka.

Komisarze byli zaskoczeni.

- Kpi z nas! Kpi w żywe oczy! - zakrzyknął Bidziński, gdy wyszli z namiotu a tłumacz Morawski zawrócił do siebie.

- Uważa nasze gadanie za puste pogrożki...

- Sam ruszać się nie może od sadła, w lektyce go noszą i myśli, że każdy taki...

- Cóż wobec tego uczynimy, waszmościowie?

- Uciekajmy, jak to było postanowione...

- Kiedy?

- Dzisiaj oczywiście.

- Ale oni są jakoby powiadomieni!

- Właśnie dlatego nie posądzą nas o tyle rezolucji... Zresztą dziś znamy hasło... Jutro go znać nie będziem...

- Za wałem na pewno urzędzą zasadzkę!

- Szable jeszcze mamy w garści...

- To szaleństwo!

- Próżno nad nim dyskutować... Mości podczaszy! Zgodziliśmy się odłożyć wycieczkę do chwili zadeklarowania się Ibrahimowi. Uczyniliśmy to na wasze

prośby. Deklaracja zrobiona. Uchodzimy!

- ...Na rany Chrystusa, zabierzcie mnie z sobą! - zabrzmiał błagalny głos z boku.

Odskoczyli przerażeni. Tfu! Tfu! Duch czy mara!?

Ani duchem ani marą był nędzarz w niewolniczej opończy, wyciągający do nich rękę błagalnie. Gęsta, na pół siwa broda zasłaniała mu prawie całą twarz. Szeptał gorączkowo:

- Wilczek jestem z Sokolemy, herbu Poraj, od dziesięciu lat w niewoli...

Rzućcie grosz dla niepoznaki i pozwólcie uchodzić z wami...

Jeden z towarzyszących posłom czauszów już się zbliżał, aby odepchnąć żebraka brodacza. Pan Bidzyński zatrzymał go gestem, udając, że nie może odsupłać trzosa.

- Dziś, gdy się zupełnie ściemni, przy naszym namiocie - szepnął końcem warg, rzucając niby to wzgardliwie pieniądz.

Brodacz przyłożył po turecku ręce do piersi, do czoła, zapadł się w podziękowaniu. Posłowie kroczyli dalej, cali wstrząśnięci spotkaniem.

- Mamy zatem towarzysza i to jakiego, który zna pewno język pogański - zauważył generał wzruszony.

- Niebożę, gada, że dziesięć lat tu jest...

- Że to się wcześniej o nas nie dowiedział?

- Dłaboga, może szpieg? - zaniepokoił się podczasy. - Renegatów nie brak. Mogli którego na naszą zgubę podstawić?...

- Mniejsza z tym. Nie cofniemy się... Alea jacta est!

`pk.

Czausze, stróżyjący przed namiotem, czasem zasypiają rychło, jakby im odwaru z maku podsypano; czasem czuwają późno w noc, śpiewając półgłosem smętne, dziwaczne piosnki dalekiej Anatolii, skąd są rodem. Jak dzisiaj będzie? Czy zasną w ogóle? Czy nie kazano im pilnować namiotu ze zdwojoną uwagą? Czy się nie przebudzą na szelest kroków? Odziani do drogi komisarze siedzą w namiocie czekając. Serca im głośno kołaczą. Żaden z tych trzech rycerzy nie trwoży się przesadnie o swoje własne życie, ale od powodzenia wyprawy zależy, czy król będzie na czas powiadomiony, czy nie...

Za namiotem leży cisza. Nie słyhać równie śpiewu jak chrapania.

- Wyjrzę, co robią - postanawia strażnik koronny unosząc zasłonę. Miesiąc oświeca jasno placyk przed namiotem. Jest pusty. Straży nie ma. Nie ma wcale.

- Odeszli! Nie masz nikogo!

- Jeszcze jeden dowód więcej, że gotuje się zasadzka, w którą samoświadcząc wchodzimy jak lisy w sidła...

- O dlaboga! A to co?!

Szara postać podnosi się spod płótna namiotu. Brodacz, który zwał się Wilczkiem z Sokolem. Wchodzi zwolna.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków! Czolem, panie bracie! - mówią komisarze z powagą.

- Czolem waszmościowie! Czy zaraz uchodzimy?

- Zaraz.

- Nie przyjdzie łatwo. Bramy są pilnie strzeżone. Ej, gdybyśmy znali

hasło! Ale niewolnikom nigdy go nie dają...

- Znamy hasło: Mahomet! Powiedział nam je sam Ibrahim Szyszman, spodziewając się widno, że uciekniemy, i przygotowują zasadzkę... Straż zabrał...

- Pomimo to idziecie?

- Tak jest. Bo według wszelkich ludzkich rozumowań, widząc podobnie jawną zdradę, powinniśmy się cofnąć i nie wychodzić z namiotu. My przecie właśnie idziemy. Co Bóg da, to będzie.

- Słusznie. Chodźmy ku bramie wschodniej...

- Wschodniej? Oszalałeś waść!? Iść przez cały obóz? Zachodnią musimy wyjść, ku Dniestrowi...

- Jeżeli zasadzka czeka, to tylko przy zachodniej...

Spojrzeni po sobie, jak gdyby uderzeni tym prostym a trafnym rozumowaniem.

- Prawda! Kto wie, czy sam Ibrahim i nawet sultan nie wyjechali w tę stronę właśnie, niby na łowy, by się naszą konfuzją cieszyć... Prawda! Tam uderzymy, gdzie się nas najmniej spodziewają...

- Najświętsza Panno, Królowo Korony Polskiej, miej nas w swojej opiece!

Cienie padały, długie, czarne, ostre. Obóz był olbrzymi. Zdawał się nie mieć końca. Szli żwawym, pozornie pewnym krokiem, nie usiłując się kryć.

Wilczek podążał za nimi w kornej pozie niewolnika. Chwilami z mroku wysuwały się milcząco uzbrojone strażę. Komisarze wtedy rzucali niedbale hasło i wartownicy usuwali się w cień z pośpiechem.

- Ze dwie mile ma ten obóz - narzekał Korycki - nie przejdziemy go przed

świtem...

- Już niedaleko. Za parę pacierzy będziemy przy bramie.

Jakoż prędzej niż w dwa pacierze zaciemniała przed nimi brama ze spiętrzonych kobylic utworzona. Na dźwięk hasła żołnierze posłusznie otworzyli przejście. Obojętnie patrzyli na idących. Nie obchodziło ich, kto przechodzi, jeżeli obwołał się hasłem.

- Coś za łatwo idzie... - mruczał niechętnie podczaszy.

- Cicho, tu stoją Tatarzy. Wielu z nich zna mowę polską.

- Tatarzy! A tośmy wpadli, toć nas waćpan wyprowadził!

- Css... Nie wiedziałem, że tu są... Waszmościowie cichajcie. Powiodę.

Umilkli. Wilczek wysunął się naprzód i szedł szybko. O ile obóz turecki był utrzymany w porządku wzorowym, o tyle w tatarskim panowały brud i nieład. Tuż przy namiotach leżały kupy nawozu. Konie stały byle gdzie, często uwiązane wprost do kołków podtrzymujących namioty. Mierzwa i zdeptana słoma zalegały ziemię. Śmierdziało źle wyprawionymi kozuchami, końskim potem i końskim moczem. Od ognisk podnosiły się ku idącym nadto dobrze znane Polakom twarze śniade, o skośnych oczach i wywiniętych wargach, drapieżne i znieawidzone. Gadali coś do Wilczka, na co im odpowiadał. Komisarzy ogarniał coraz bystrzejszy niepokój.

- Jakoby w paszczę Lucypera leziem - wzdychał podczaszy.

- I wszystkim mimo woli przychodziła myśl, że może Wilczek jest nasłanym renegatem, który im zdradę gotuje.

- Co tam waść gadasz w ich psiej mowie? - dopytywał niespokojnie generał.

- Że jesteśmy wysłani przez sultana, a chcemy się widzieć z chanem. W

rzeczywistości chodzi mi o to, żeby spokojnie przejść obóz.

I znów wędrowali wytrwale, potykając się (bo miesiąc już zaszedł) o pęta wiklinowe, sznury, wiązki chrustu albo ciała śpiących. Konie chrupały głośno paszę lub kwiczały, gryząc się wzajemnie w karki. Choć mrok zgęstniał, niebo bladło, jak gdyby już czując świt.

- Do chana idziemy, do chana - powtarzał po tatarsku Wilczek.

- Macie szczęście - zauważył nagle jeden z koniuchów ziewając - bo chan właśnie idzie tutaj...

- Istotnie, naprzeciw posłom zdążyło kilku ludzi. Czarno-biały buńczuk kołysał się nad nimi.

Czterej uchodźcy stanęli jak wrycy. Przepadło zatem wszystko, przepadło!!

Nie przez zasadzkę, nie przez chytrą Ibrahima Szyszmana, lecz przez los, okrutny, ślepy traf, co sprawił, że będąc już blisko granicy obozu natykali się na chana we własnej osobie!

- Co mam rzec? - spytał zgnębionym głosem Wilczek.

Pan podczaszy podniósł głowę.

- Nie możemy się wyłgiwać - rzekł spokojnie. - Powiedz im waść co się stało: komisarze polscy, przemocą przez sultana zatrzymani, uchodzą z jego obozu.

- Powiem to.

- Rzeknij im też - dodał śpiesznie Korycki - żeśmy waści zniewolili, gardłem grożąc kazali, byś nas tędy prowadził...

- Bóg mi świadkiem, że tego nie powiem.

A tamci byli tuż. W otoczeniu kilku łuczników szedł chan ordy nohajskiej,

prawa ręka wielkiego Selim Giraja. Zwano go Safa Giraj. Jak większość

Tatarów, miał krótkie, pałakowate nogi, krępy tułów, wielką głowę osadzoną wprost na barach. Byстрыm, podejrzliwym spojrzeniem zmierzył stojących.

- Co to za ludzie? - spytał po tatarsku.

Wilczek wysunął się i jął tłumaczyć. Komisarze stali nieruchomo, dumni i wyniośli, jakby te sprawy zgoła ich nie dotyczyły.

- Pomnę - zauważył nagle, niby w przestrzeń strażnik Bidziński - że pan Tomasz Łużecki z Budzanowa, wzięty do niewoli i skazany na śmierć przez sultana, wyrwał strzegącemu go janczarowi kindżał z za pasa i śmierć sobie nim zadał, wołając: "Nie będzie mnie zabijał niewolnik!"

- Pamiętamy to również - rzekli pozostali skłaniając głowy na znak zrozumienia.

I znów czekali. Wilczek przestał mówić i stanął przy boku tamtych, jakby dając do pojęcia, że dzieli ich wspólny los. Chan stał nieporuszenie, patrzył w ziemię. Nikt nie byłby wyczytał myśli z jego mongolskiego oblicza. Nareszcie podniósł głowę i rozkazał krótko Wilczkowi, by wiódł komisarzy do jego kwatery.

- Sam nie rozumiem, co to znaczy - rzekł Wilczek przetłumaczywszy rozkaz.

- To jasne. Chce nas wydać sultanowi. W takim razie wolej nie czekać.

Lecz Safa Giraj nie zdawał się myśleć o sultanie. Gdy weszli, spuścił zasłonę z końskiej skóry. W namiocie znajdował się on sam i czterej zbiegowie. I znów milczał. W oknach już bielił się świt. Nareszcie chan podniósł głowę i chrapliwym, jakby znużonym głosem jął coś mówić. Wilczek słuchał uważnie, a twarz mu pogodniała.

- Bóg na nas łaskaw - rzekł w końcu, gdy chan zamilkł. - On ma syna. Syna w niewoli. Wziął go na arkan pod Chocimiem pan Samuel Chrzanowski, rotmistrz. On powiada, że puści was i do granicy odstawi, jeśli przysięgniecie, że mu za to odeśle syna...

- Pana Samuela Chrzanowskiego znam - rzekł strażnik koronny Bidzyński. - Nie odmówi nam jeńca, posłyszawszy, czego jest ceną.

- I ja go znalazłem. Niegdyś... Mogę tędy obiecać?

- Tak jest. Dajemy parol szlachecki.

Safa Giraj podniósł głowę i znów coś zakrakał.

- On powiada jeszcze, że sułtanowi nie jest nic powinien, że Turcy są wściekle psy i że syna miłuje jak źrenicę oczu, gdyż jego jednego posiada.

- Za dwa miesiące najdalej jego syn będzie z powrotem.

- Powiedz mu waść jeszcze - dorzucił Korycki - że w obozie już z pewnością spostrzeżono naszą ucieczkę i cały Dniestr będzie obstawiony.

- On mówi - relacjonował po chwili Wilczek - iż wie o tym dobrze, ale że nikt jeszcze nie znalazł tego, kogo Tatarzy chcą ukarać. Da nam osłonę i konie. W razie pościgu wdziejem tułuby i czapki tatarskie...

- Dla milej ojczyzny można wdziać i psi lupież - mruknął zezwalająco podczaszy sanocki. Urwał, bo w tejże chwili setnik tatarski wszedł do namiotu. Bijąc czołem przed chanem mówił z przejęciem, a Wilczek śpiesznym

szeptem tłumaczył towarzyszom każde słowo.

- ...Serdar dał znać, by ścigać komisarzy Lechistanu, którzy uszli potajemnie z obozu...

- Powiedz wysłańcom serdara - rzekł chan - że sam poprowadzę pościg.

Niech ludzie konie kulbaczą.

- ...Cudownie nam Bóg miłościwy pobłogosławił - stwierdzał w kilka dni później pan strażnik Bidziński radośnie.

- Wilczek nam dużo dopomógł. Bez niego byłby nas sułtan przychwycił pod zachodnią bramą - jak ryby w saku.

- Słusznie waść mówisz. Daj mu, Boże, zdrowie!

- Nie neguję zasług jejmości Wilczka - odezwał się milczący dotychczas podczaszy - ale że dziwaczny to człek, to dziwaczny! Tydzień przeszło, jak jedziem razem, a dotąd ani rusz wiedzieć, co za jeden...

- Powiedział przecież, jak się zwie i czym pieczętuje.

- A co dalej? Ani tej brody pogańskiej nie zgolił, ani o rodzinę nie zapytał, ani popędza, żebyśmy skorzej jechali...

- Popędzanie nic by nie pomogło, bo i tak śpieszymy, że konie ledwo nie padną...

- Ja też mówię figlarnie. Waść, panie Stefanie, rozumiesz, co chcę powiedzieć: Wilczek ma taką minę, jakby żałował, że wrócił do kraju, i tylko patrzył, czy nie da się dmuchnąć z powrotem...

- Krzywdzisz go waść podobnym posądzeniem! Sam nas przecie zatrzymał wówczas, w obozie...

- I życie nam przez to salwował. Pamiętam o tym. Niemniej spójrz na niego teraz, mości strażniku...

Pan Bidziński obejrzał się mimo woli. Pan Wilczek, dostatnio już odziany, z szablą przy boku, lecz po dawnemu brodaty, jechał o kilkanaście kroków z

tyłu, z głową zwieszoną na piersi, obojętny, zda się, na wszystko, co się działo wokół.

- Może kondemnaty jakie na nim ciężą - domyślał się strażnik - może wyroki sądowe sprzed lat?

- Bogać tam! Nie ma w naszej dobrotliwej Rzeczypospolitej takich przewin, żeby ich dziesięcioletnia sroga pokuta nie zgładziła. Infamisowi by nawet darowano, gdyby po takiej kaźni do konników się nie zwrócił, wykupem jeńców

zatrudnionych? Dziesięć lat chłop daje sobą poniewierać, nie starając się, by go swoi wybawili. Wilczkowie - zacny i możny ród, na pewno nie poskapiliby grosza na okup. Coś jest w tym podejrzanego...

- Może jeste, a może nie - wtrącił się do rozmowy Korycki. - Mniejsza z tym! Grunt, żeśmy wolni i w kraju, i ostrzeżem miłościwego pana...

- Ja już na postojach piszę foremny memoriał o wszystkim, cośmy widzieli, i o sile sułtanowej. Ilość ciężkich dział podałem na kopę i ćwierć, bo tak mi się na oko zdało... Jak myślisz, waszmość, czy ich nie ująłem?

General i podczaszy zagłębili się w obliczaniu potęgi tureckiej, zaś pan Bidzyński wstrzymał konia, aż zrównał się z Wilczkiem. Polubił szczerze brodacza, czuł dlań żywą wdzięczność i bolały go podejrzenia podczaszego. Otwartym, serdecznym człowiekiem będąc, pragnął zapytać się wprost.

- Jutro pod wieczór zobaczymy Lwów - odezwał się swobodnie - nie zgolisz tej brody przed wjazdem do grodu? Balwierza znajdziem w byle miasteczku. Toć nie miło żyda czy poganina udawać?...

- Ślubowałem, że z tą brodą ostanę do śmierci - odparł krótko były

jeniec.

- Przeciw ślubowi nie można nic rzec. A listy do rodziny już posłałeś?

- Nie posiadam żadnej rodziny.

Jechali chwilę w milczeniu. Nagle Wilczek podjął pierwszy:

- Czy nie wiadomo, gdzie jest obecnie rotmistrz Chrzanowski?

- We Lwowie nam to niechybnie powiedzą. Pewnikiem mianowano go

komendantem któregoś z zamczków, bo sztukę fortyfikacji zna i artylerzystą jest przednim.

- Zaraz ze Lwowa pojedę go szukać, by Tatara co rychlej odstawić.

- Nie chcesz waść przedtem obaczyć miłościwego pana?! - wykrzyknął strażnik ze zdumieniem.

- Jeśli Bóg da, może go zobaczę, kiedy indziej. Ninie uważam, za najpilniejsze Tatara znaleźć i odwieźć.

- Nie będziesz go przecież waszmość sam odwoził! Wystarczy my glejt pana Chrzanowskiego, koń i parę talarów na drogę!

Wilczek nic nie odpowiedział i pan Bidzyński pomyślał z przykrością, że trudno odmówić słuszności ostrożnemu podczaszemu.

- Toś waść dziesięć lat w niewoli przebył? - zagadnął znowu.

- Tak jest. Wzięli mnie w malej, granicznej potyczce (bo całe wojsko koronne biło się wtedy, jak waść pomnisz, między sobą - regaliści z lubomirszczakami), wojny z Turcją wcale nie było. Zwykle graniczne harce.

Ale koń się ze mną stoczył do jasyru i całkiem ogłuszył. Ocknąłem się już w pętach.

- Sroga rzecz niewola - zauważył strażnik.

Wilczkowi twarz się skurczyła pod gęstym zarostem.

- Piekło - warknął - piekło, piekło...

- A jak się stało, żeś się waść nie starał wykupić za pośrednictwem braci zakonnych, którzy się miłosiernie temu dziełu oddali?

- Siedem lat przebyłem w Azji Mniejszej, za Niceą, w głuszy, dokąd żaden zakonnik nigdy nie zachodził. Dopiero trzy lata temu poprzedni mój właściciel sprzedał mnie kupcowi, który się przeniósł do Europy...

- Przez te trzy lata za to musiała nieraz zdarzyć się okazja?

- Może i była - mruknął Wilczek - ale ja wracać nie mogłem...

Znów chwilę jechali w milczeniu. Wyschnięta ziemia stuknęła pod kopytami końskimi jak skała. Czoło Wilczka, jedyna jasna płaszczyzna pokrytej zarostem twarzy, sfaldowało się w szczególnym, bolesnym napięciu.

- Nie mogłem wrócić! - wybuchnął nagle - i teraz nie powinienem był wracać! Nie powinienem był mówić wam, że się nazywam Wilczek! Ja się wcale

nie nazywam Wilczek! Znałem tylko Wilczka z Sokolemy, niegdyś... On nie żyje... Zabił się przy mnie... Ja nie pamiętam, jak się nazywam... Ja sobie powoli przypomnę... Ja nie powinienem był wrócić!

`tc

ÓRozdział VIII:

Kiedy Amor

`tc

Gdy pan Filip Słotyło podjeżdżał do Lwowa, miasto pełne było odgłosów grożącej nawały. Przed kilku dniami komisarze królewscy, przebywający u

sultana, wpadli do grodu samotrzeć, nie widzieli się z nikim prócz z komendantem, panem Eliaszem Łackim, zmienili konie i pognalki dalej do króla. Ci, co ich widzieli, mówili, że opaleni jak Murzyni. ...Już też z nie dobrą wieścią pędzili w ten sposób - domyślali się rozważniejsi. - Turek na granicy widno następuje... Dalby Bóg, żeby król przybył jak najprędzej...

Tak mówiono na ulicach przepelnionych tłumem. Miasto samo przez się było ludne, a więcej niż dwa razy tyle ludzi przybyło w ostatnich tygodniach.

Jedni cofali się od granicy wschodniej i południowej, uciekając przed nieprzyjacielem; inni, znacznie niestety mniej liczni, przybyli owszem z zachodu, by bronić rubieży. Tych komendant Łacki odsyłał do wojska stojącego pod miastem. Niewiele go było: parę chorągwi pancernych, trzy gradońskie i tyleż kozackich. Wszystkiego razem z piechtą węgierską, niecałe cztery tysiące ludzi. A o Turkach powiadano, że ich idzie paręste tysięcy!...

W gospodach i zajazdach panowało przepelnienie. Żywność podrożała wielokrotnie. W nabitych ludźmi kościołach odprawiały się nieustannie nabożeństwa o odwrócenie klęski. Wspominając, jak przed laty błogosławiony Jan z Dukli wstrzymał cudownie straszliwą kozacką nawalę, błagano Boga, by znów okazał miłosierdzie nad grodem. Mieszkańcy licznych i bogatych przedmieść lwowskich przenosili się z całym dobytkiem do miasta za osłonę murów, a że w mieście za żadne pieniądze nie znalazłbyś już wolnej kwatery, koczowali wprost na ulicy, zatarasowując przejście stłoczoną żywiną.

Przemysłni grodcy złodziejaskowie usiłowali wykraść świnie lub gęsi i

wieczorną ciszę przerywał raz po raz wrzask poszkodowanego, gęgoty ptasie lub kwiczenie trzody. Strażnicy grodzcy lecieli w kierunku wrzawy, tupiąc buciami, a ludzie przerażeni zrywali się ze snu, pewni, że to już podchodzą Tatarzy. Otwierali okna, darli się na trwogę, szerząc dalsze zamieszanie. Na wałach czuwały ustawicznie czaty, wiedząc z doświadczenia, że Tatarzy umieją podchodzić cicho jak wilcy, a od czasu do czasu na rozkaz komendanta walono w powietrze z armat na Wysokim Zamku, by w razie zbliżania się ordy dać jej do poznania, że jest dostrzeżona. W mieście nie wiadano, czy strzał jest dany tak sobie, czy też do rzeczywistego nieprzyjaciela; toteż za każdym razem wybuchały lamenty i trwoga.

Niezależnie od tego zamieszania każdy, kto mógł, ścigał do miasta zapasy paszy dla swojego bydła. Te nagromadzone wszędzie kupy słomy i siana stanowiły wielkie niebezpieczeństwo pożaru. Toteż władze miejskie ze zdwojoną surowością przestrzegały rozkładania ognia na wietrze. Woźni grodzcy, bijący w bębny, odczytywali stare, przeważnie zapomniane przepisy dotyczące pożarów i zachowania się społeczności w razie ognia. Na każdym rogu ulicy wisiały po dawnemu haki i osęki, stały beczki z wodą, której nie wolno było wyczerpać.

Ten ostatni rozkaz bywał najdotkliwszy. Wody w mieście nie brakło wprawdzie, ale studnie były oblężone i trudno się było do nich precisnąć. Nosiwody sprzedawali wiadro po straszliwej cenie ćwierć grosza! Już teraz. Co dopiero będzie później?!

Osęki, haki i beczki chroniły nieco od możliwości pożaru, trudniej jednak było ustrzec gród przed niebacznymi iskrami paniki, oblędnej trwogi,

spadającej nagle na stłoczony tłum. Ktoś komuś powiedział, że Turków widziano tuż, tuż, i rumor szedł przez miasto, ludzie deptali się wzajemnie, pędząc bezradnie od jednej bramy do drugiej. Albo nocą ktoś posłyszał okrzyki: "Alla! Alla!" i dalejże do kościoła bić w dzwony na trwogę. Komendant sierdził się i zapowiadał, że za szerzenie lęku wieszac będzie, nic to jednak nie pomagało.

Najgorzej, że nikt nic naprawdę nie wiedział. Przed paru tygodniami jadącego do Lublina pana Slotylę dręczyły podawane nieustannie sprzeczne nowiny, niczym to jednak było w porównaniu z zamieszaniem obecnym. Jedni uparczywie powtarzali, że wojny nie będzie, bo Francja zabiega o to u sultana; inni zaręczali, że Ibrahim Szyszman już przeszedł Dniestr i ciągnie pod Zbaraż. Ino patrzeć jak go weźmie. Święty patronie, Janie z Dukli, ratuj!

Szczupły taborek drażgowski wjechał w ten rozgardiasz i zatonął w nim jak mucha w śmietanie. Pan Filip Slotyło spoglądał z trwogą na to, co się działo wokół. Nie było gdzie się podziać, gdzie zajechać, gdzie popaść znużonych koni. Na ulicy zatrzymać się straż nie pozwalała, gdyż były i tak zatłoczone nad pojęcie. Przebijali się z trudem przez tłum, darmo wypatrując miejsca, gdzieby można stanąć. Przed kaplicą

Domagalewiczowską

przy katedrze jaśniało światło, klęczały szeregi ludzi, słuchając uroczystej wotywy. Pan Filip zdjął czapkę i zeskoczył z bryki. Jeszcze nie zdążył odmówić pacierza, gdy niedaleko posłyszał znajome rzenie. Starościna odpowiedziała na nie natychmiast. Obejrzał się i w najbliższej uliczce

zobaczył znikającego zad konia. Ten koń!...

- Widziałeś? - zakrzyknął gorączkowo do woźnicy.

- A jużci. Pana Jaroszowy źrebiec...

- I Starościna zarżała!... Gońmyż za nim! Czego stoisz?!

Łatwo było powiedzieć: "Goń!" - trudno wykonać. Klęczący ludzie zamykali drogę. Pan Filip znowu zlazł z bryczki i jął przeciskać się pieszo. Nim

dotarł do rogu ulicy, znajomego konia nie było już ani znaku.

Przepachał się aż do końca, skręcił w prawo, na lewo. Jarosz! Jarosz!

Jarosz, brat nieszczęsny, jest tu we Lwowie... Odnaleźć go za wszelką

cenę!... Ale jak?... darmo chodził tam i sam. Gdy nareszcie zawieszony

zawrócił, nie mógł trafić do własnej bryczki. Minęli się gdzieś w tłumie, w

plątaniu nieznanych, ciasnych uliczek. Zmęczony, przerażony nie na żarty,

pan Filip dreptał bezradnie, aż go wreszcie odnalazł Olek.

- Kostek poszedł w jedną stronę, ja w drugą szukać jegomości dobrodzieja

- mówił chłopiec. - Konie już postawiliśmy przy bryce. Znalezliśmy miejsce

przy samym murze. Wóz też udało się tyłem wepchać. Dyszel musimy

odczepić. Spać będziem pod wozem, a dla jegomości dobrodzieja już

Grzegorz

ładuje posłanie na bryce...

- Można na bryce, można i pod bryką - mrucał pan Słotyło stroskany. -

Boże, mój Boże, Zbawicielu świata! Jeszcze Turka nie ma, a człek już w

takich opalach! Cóż będzie dopiero, gdy nadejdzie... A jego nie

widzieliście?

- Kogo, jegomościu dobrodzieju?

- Jarosza, Jarosza, mojego nieszczęsnego brata... Przecieżem za nim

pobiegł, konia poznawszy... Bo przysięgnę, że to jego koń, Smok... Takiego zadu nie ma żaden inny koń... Dlatego go Smokiem nazwał... I Starościna poznała...

- Może kto inny na koniu jechał?

- Myślisz, że go Jarosz sprzedał albo zamienił? Na pewno nie. Prędzej uwierzę, że nieszczęsny w niepohamowanej pasji znów kogo ubił, niż żeby się tego konia pozbył... On tu jest, jeno jak go odnaleźć?!

Rozmawiając doszli do miejsca, gdzie stał tabor, w pobliżu bramy

Halickiej. Miejsce było niedogone, ciasne i złowonne, bo już obok leżały

kupy miejskich śmieci, cóż jednak począć, skoro nie było lepszego? Ognia

nie pozwolono rozkładać, przeto i wieczerzy nie było jak uwarzyć. Jedząc

chleb z wędzoną szperką, Grzegorz zły i skwaszony narzekał:

- Na psa takie porządki. Jeszczem w życiu nie słyszał, żeby za wodę

placono! Przyjechaliśmy tych łyków bronić, a one się na nas bogacą!

- Cichajcie, bo zda się właśnie, że łyki ku nam idą! - trącił go Kostek.

Jakoż z za węgla wyszło kilku ludzi. Sam burmistrz, znaczny z daleka

złotym łańcuchem, z rajcami Anczewskim i Minasowiczem. Kilku pacholków

towarzyszyło panom, trzymając pochodnie przygotowane na wypadek, gdyby

wieczór zaskoczył dostojników w czasie obchodu.

...Senatorów udają... - pomyślał pan Filip z niechęcią.

Jakoż idący mieli wygląd senatorski. Szli z powagą wolną od napuszoneści,

powagą, która jest wyrazem odpowiedzialności. Twarze mieli mądre,

spokojne,

rozważne, a ubiór wspaniały. Mieszczanstwa lwowskiego nie dotykały ograniczenia ubioru ciążące na tym stanie. Wolno im było używać najdroższych materyj, nosić szablę przy boku i pieczętować swe skrypta czerwonym lakiem. Mieszczanin lwowski był właściwie zrównany z szlachcicem.

Pan Słotyło nie wiedział o tych aż nadto zresztą zasłużonych przywilejach i zgorszył go dostojny wygląd "łyków". Obrócił się do nich plecami i głośno przytwierdził poprzednim słowom Grzegorza:

- Za wodę każą sobie płacić! My przyjechaliśwa ich bronić, a one z nas skórę łupią jak pogany!...

Zdziwił się, bo spokojny, uprzejmy głos rzekł za nim:

- Nie dla łupienia skóry bierzemy cenę za wodę, jeno że w razie oblężenia może jej zabraknąć, jak już raz było za najazdu Chmielnickiego...

Pan Słotyło obrócił się.

- Nie macieź w grodzie studzien pod dostatkiem?!

- A nie - objaśnił burmistrz. - Rurami wodę zza miasta ciągniem. Rury są dobrze ukryte, ale zawsze może się znaleźć zmiennik, który je nieprzyjacielowi zdradzi. Tak się wówczas stało... Tym zapasem, co w cysternach jest, i studniami trzeba sobie było wystarczać...

- Nie wiem, zali co pomoże pobieranie teraz za wodę opłaty - zauważył kwaśno pan Słotyło - nieprzyjaciela jeszcze nie masz i rury nieuszkodzone...

- Ludzie przywykają oszczędniej obchodzić się z wodą, skoro za nią płacą.

A sumy stąd pochodzące nie idą do kieszeni niczyjej, jeno są obracane na

obronę miasta.

Sklonił głową i odszedł bez pośpiechu. Pan Filip poglądał za nim

zdziwiony. Mieszczanin, a gada jak urodzony, patrzajcie!

**I znów mimo woli przemknęło mu przez głowę, że gdyby wszystkie miasta
wyglądały jak Zamość, a mieszczanie byli wszędzie tacy jak we Lwowie, nie
byłoby to bez korzyści dla Rzeczypospolitej.**

Zaraz jednak zaprzątnęły go z powrotem zwykłe sprawy.

- Gdzież to Wicek się zawieruszył? - zapytał.

**- Poleciał patrzeć na wojsko i przepytać się, co trzeba mieć, żeby do
jazdy przyjęli... Powinien zaraz wrócić, bo ino patrzeć, kiedy bramy
zamkną!...**

**Jakoż na chwilę przed zamknięciem bram, właśnie gdy strażnicy dawali
sygnał trąbami, Wicek przeleciał, zadyszany, rozgorzały, mowniejszy niż
zwyczaj. Aż dygotał z pragnienia zapisania się do chorągwi, ale jakiej? O
husarskiej nie mógł marzyć, bodajby do petyhorskiej... także przednia broń.
Jeno, że rząd, jeno zboraj... Wypadnie iść do dragońskiej.**

Aż mu lzy stawały w oczach z żalu, że nie do pancernych.

**- Poczekaj jeszcze parę dni, zobaczę, pogadam, obliczę, może pomogę -
obiecował pan Slotyło, któremu żal było chłopca. - Jeno wy, smarkacze -
huknął nagle groźnie do bliźniaków - żebyście mi gdzie tymczasem nie
smyknęli bez pozwolenia! Zapowiadam! A tymczasem serdecznie was proszę,
pomóżcie mi znaleźć Jarosza, bo wytrzymać z niepokoju i żalu nie mogę!...**

**Obiecali solennie, że jeszcze parę dni nie będą myśleć o niczym innym,
jak o szukaniu młodszego Slotyły. Po czym Wicek jął namawiać, by się**

przenieść z grodu na przedmieście, gdzie milej i poręczniej obozować.

**- Wracając z obozu widziałem budynki i ogrody całkiem pustką stojące,
kiedy tu taka ciasnota i smród...**

- Głupiś, tu jest osłona murów, a tam nieprzyjaciel od razu naskoczy...

**- Przecież wojsko też stoi tam, a nie za murami... Z wojskiem zawsze
zdążymy się cofnąć...**

- Albo nie zdążymy.

**- O dlaboga! Jegomościu dobrodzieju! A toć przyjechaliśmy się bić, a nie
w grodzie siedzieć!**

**Oba woźnice popierali zdanie Wicka i zaraz nazajutrz rano taborek
wyjechał z miasta. Obrali sobie miejsca w pobliżu gościńca gliniańskiego,
opodal kościoła św. Antoniego (dziś cmentarz Łyczakowski). Stał tam
folwarczek, którego mieszkańcy schronili się widno z dobytkiem do miasta,
bo budynki stały puste. Dookoła ciągnął się starannie utrzymany ogród,
sadek pełen dojrzewających wiśni i grzędy ogórków. Nad zwartymi głowami
kapusty polatywały białe motyle. W porównaniu z przepelnionym,
strwożonym
miastem było tu cicho i pięknie jak w raju.**

**- Mój Boże - pomyślał pan Słotyło - zali możliwe, by to wszystko poganin
w perzynę obrócił?!**

**Grzegorz zadowolony spętał konie i puścił na przydrożną łączkę. Pan Filip
z chłopcami wybierał się szukać brata, gdy Mateusz wskazał palcem dwie
nadchodzące niewiasty.**

- Widzi mi się, wasza miłość, że one tu idą.

Jedna była starsza, zażywna, w białej podwiece i sutym haftowanym czepcu, druga młódka, cieniutka jak łątka, ze spuszczonej kosami. Obie niosły na rękę przerzucone płachty, widocznie szły po warzywa. Odziane były dostatnio, choć po domowemu.

Na widok ludzi przed domem przystanąły, jakby się nad czymś naradzając, po czym starsza zdecydowanym krokiem posunęła naprzód, młoda szła ostrożnie z tyłu.

- Waszmościowie tu się rozkwaterowali? - zagadnęła matrona obcesowo.

- Jak jejmość widzisz - przytwierdził pan Filip.

- To nasz chuterek.

- Bardzo grzeczny - przychwalił szlachcic ze znawstwem.

- Czemuście go zajęli?!

- Bo był pusty.

- Zali puste to już znaczy niczyje?

Pan Filip poczuł ogarniające go zniecierpliwienie.

- Ej, jejmość - sarknął - dość tego gadania! Trzeba było, opuszczając sadybę, tablicę wywiesić, że tylko pogańcowi wstęp tu wolny, a prawemu chrześcijanowi, szlachciwowi, nie! Wiera, nie spodziewaliśmy się takiego przyjęcia! Zza Lublina, zza Puław jedziem, by z Turkiem walczyć, szkapy w pustej stajni postawili i o to pretensje!? Tfu! Niech tu sobie Turek kwateruje... Mateusz, zabieraj konie! Skoro! Obejdziem się...

- Ale ja wcale nie... Ale ostań waszmość - rejterowała jejmość zmieszana.

- Nie ostaniem. Mateusz! Słyszaleś, co mówiłem! Zabieraj konie, a

prędko!...

- Dlaboga, jam nie tak myślała... Jam rada, że nie byle kto tu mieszka...

Sercem proszę, ostań waszmość... Zimorowiczowa jestem... Mój mąż jest bratem burmistrza...

- Ostatecznie, może ostaniem - zgodził się pan Filip i spojrzał, co się dzieje z drugą. Młódka, nie dbając o spór, zzuła trepy i wybierała z grzędy ogórki. Jej wąskie, małe stopy, nie opalone słońcem, białały między listowiem. Gdy się schylała, spuszczone kosy dotykały ziemi. Wicek stał z otwartą gębą patrząc na nią i na grzędę tak ciekawie, jak gdyby nigdy nie widział ogórków. Bliźniaki nie troszczyli się o przybyłe. Spoglądali łakomie na wiśnie.

Jejmość Zimorowiczowa poszła za ich wzrokiem.

- Możecie sobie nieco uszczknąć tych wisienek - przystała łaskawie - jeno gałązek nie połamcie. I hultajstwu żadnemu nie pozwólcie się tu wałęsać...

- W takim razie - obruszył się pan Filip - szukaj sobie jejmość kogo innego na stróża, bo my nie do tego... Mateusz!...

- Nie, nie! Ja przecież nic nie chcę! Ja bardzo rada jestem... bardzo rada... Ostańcie z Bogiem, waszmościowie... Jagniś, zabieraj ogórki.

Idziemy!

Panna wsunęła pośpiesznie trepy na nogi i zebrała rogi plachtą.

- Ja poniosę - zaofiarował się skwapliwie Wicek.

- Gdzie zaś! - odparła sploniona - zadaj mi je waćpan na plecy.

Podniósł plachtę i ostrożnie, z przykrością obarczył nią ramiona

dziewczyny. Była silna, choć wiotka, nie ugięła się wcale. Schwyciwszy

mocno dwa końce płachty, związała je pod brodą.

- Jak imię waćpanny? - zapytał półgłosem.

Pokraśniała z zadowolenia, że szlachcic urodzony odzywa się do niej jak do równej.

- Agnieszka...

- Chodźże, Jagniś - niecierpliwiła się matka.

- Idę, idę!... A tych kwiatków mi aby nie zdepczcie... - rzuciła w tył prosząco, wskazując ręką dwie grzędy złocistych nogietków.

- Nie zdepczemy na pewno - zaręczył Wicek z przejęciem.

Odeszły. Pan Filip spoglądał za nimi.

- Ale to hic mulier, herod-baba musi być - stwierdził bezstronnie. - Ta mała za to niczego.

- Hmmm... - wydał nieokreślony pogłos Wicek.

Spoglądał również, lecz wzrokiem dalekim od bezstronności.

Twarz miał tak rozradowaną, że nie rozumiejący przyczyny tego zadowolenia Kostek szturchnął go w bok.

- Co się gapisz? Można już na wiśnie leżeć... Nie obaczają... Zresztą stara pozwoliła...

Wicek zmierzył brata wzgardliwie zimnym spojrzeniem.

- Smarkaczu! Ostaw mnie... Ostaw mnie - powtórzył, stwierdzając jakby ze zdumieniem przepaści, która go nagle oddzieliła od braci. Smarkacze! Niech sobie sami leżą na wiśnie, jeśli chcą.

Ale pan Filip nawoływał, by iść szukać Jarosza. Ruszyli tedy do grodu pieszo, bo w tłoku łatwiej się było pieszemu przeciskać. Po drodze baczniej

oglądali się za każdym napotkanym koniem. Przetrasali uważnie całą dzielnicę przyległą do bramy Halickiej, nigdzie jednak nie dojrzelili ani wywołańca, ani jego konia.

- Pewnikiem już wyjechał z grodu! Nie obaczę go! - lamentował pan Słotyło.

- A może to w ogóle nie był on?

- O nie! Ja bym się nie mógł pomylić. I Starościna poznała. Słyszeliście wszyscy, że zarżała... To był Smok. A gdzie był Smok, musiał być i Jarosz...

Wrócili do Zimorowiczego folwarku zmęczeni, zniechęceni jałowym szukaniem. Wicek wyciągnął spod szopy jakieś kolki i zaczął je strugać pilnie.

- Co to będzie? - dopytywali się ciekawie bracia.

- Nic - odparł - odczepcie się.

Poniechali go. Rano, gdy wyszli na majdan, w koło grządek z nogietkami, rozmarynem i rutą sterczał niezbyt piękny, lecz mocny i dobrze zabezpieczający płotek.

- Laboga! - krzyknęli bliźniacy. - Toś ty zrobił?!

- Ja - przyznał się hardo Wicek.

- Po co?! Na co?!

- Bo jeśli jako szlachcic obiecałem, że tych grządek nie zdepczemy, to muszę dbać, żeby moje słowo nie okazało się dymem - objaśnił wyniośle.

Spojrzelili zdumieni. Ho, ho, odmienił się Wicek! Gorzej, że jał pędzić braci od wiśni i ogórków. To ich okropnie zgniewało.

- Dla kogo mamy oszczędzać! - wołali - dla Turków?!

- To nie nasze i tknąć nie dam.

- A czyjeż to?

- Nie wiecie? Panny Agnieszki...

- Panny Agnieszki! Panny Agnieszki! - przedrzeźniały ze złością - wielka mi pani! Łyka córka... Może rakarza!

- Ej, cichajcie lepiej - groził. Nie zmiłkli, więc rzucił się na Kostka, który stał bliżej, obalił na ziemię i począł prać. Olek skoczył w sukurs bratu. Tarzali się we trzech po ziemi, aż Grzegorz, Mateusz i obaj pacholcy trzymali się za brzuchy ze śmiechu. Pan Filip był oburzony.

- Wody każę lać jak na psy! - krzyknął. - Co wam się stało?! Bies opętał, giez ukąsił, szalejuście zjedli?! Wicek! nie wstyd ci młodszych braci bić!

Wstawajcie natychmiast!

- Niech mnie nie zaczepiają więcej - mruknął Wicek, wstając zmierzwiony, podrapanym utyłany w kurzu. Otrzepał się trochę i odszedł gwizdząc przez zęby.

- Coście mu powiedzieli/ - dopytywał się Slotyło bliźniaków.

- Sprawiedliwie, jegomościu, niceśmy nie powiedzieli. Ani słowa. To on nam nie daje nic w ogrodzie tknąć...

- Więc Wicek zaczął?

- Myśmy tylko o tej dziewczynie powiedzieli, że może to córka rakarza - zauważył Olek od niechcienia, lecz uczciwie.

- O jakiej znowu dziewczynie?

- Co tu przychodziła z matką...

- Aha... - pan Filip spojrział przeciągle na plotek. - Aha... No, więc

**lepiej o niej nie mówcie. Przyzwyczajiliście się jeździć po Wicku jak po
łysej kobyle, ale widzi mi się, że to się już kończy...**

- To prawda - przyznali. - Co mu się stało?

**- Pewnikiem to, że do wojska idzie - objaśnił pan Filip i poszedł do izby
podjąć z powrotem przerwana przez bójkę drzemkę. Nie mógł jednak zasnąć,
muchy dokuczały, no i ten nowy kłopot! Ten Wicek! - Zadurzył się w
Zimorowiczównie, to jasne. Od pierwszego wejrzenia, od pierwszego słowa.**

(O

ile w ogóle zamienili jakie słowo?)...

Zamyślił się pan Słotyło nad dziwnym stanem ducha, który ludzie nazywają miłością. Tak się składało, że dożył starokawalerskiego stanu, nie zaznawszy tego uczucia ani razu. Nie kochał się dotąd nigdy. Może dlatego, że był zawsze zbyt nieśmiały, zbyt mało o sobie tuszący, a może po prostu, nie natrafił na swoją. Nigdy w związku z żadną kobietą nie buchnął w nim impet, który kazał powolnemu Wickowi rzucić się z pięściami na braci.

Widywał ludzi zakochanych, wysłuchiwał nieraz ich zwierzeń (nikt tak jak pan Filip nie nadawał się do zwierzeń), ale sam tych śmiesznych uniesień nie dzielił. Nie zakocha się też oczywiście już nigdy. Jest stary.

Dziwna, dziwna sprawa... Taki Wicek. Nieraz podwiki widywał i pomimo to ślamazarny i rozlazły zostawał. Aż tu jedna młódka przemienia go w oka mgnieniu w ognistego kawalera. Dziw! Dziw!...

`tc

ŃRozdział IX:

Dobry człowiek

`tc

Poszukiwania śladów Jaroszy Słotyły zdawały się beznadziejne, gdy pewnego dnia w pobliżu katedry pan Filip natknął się na brata oko w oko.

- Jarosz! - zakrzyknął serdecznie i wyciągnął ramiona.

Brat przystanął zaskoczony, spojrzął spode łba i skręcił w bok niby do ucieczki. Pan Filip zdążył go schwycić za połę.

- Jarosz! Braciszku! Przecież to ja!

- Widzę, że ty - mruknął wywołaniec. - Skąd się tu wzięłeś, Filipie?

- Wyjechałem z Drażkowa ze wszystkim...

- Reta! Uciekać musiałeś? Pomsty na tobie za mnie szukali?

- Nie, nie. Nikt pomsty nie szukał, jeno sam zdzierzeć nie mogłem.

Ludziom było nijako w oczy spojrzeć i serce bolało, że się gdzieś po świecie poniewierasz, gdy ja doma siedzę... Wolej niech się poniewieramy obaj...

- Chodź, pogadamy - rzekł młodszy zmienionym głosem. Powiódł brata do znajdującej się w piwnicy gospody o wejściu skrytym tak dobrze, że człowiek nie obznajomiony nigdy by go nie odnalazł. Pan Filip nie zauważył, jakie nad drzwiami był godło. Snadnie jednak mogło brzmieć "Pod Wywołańcem" lub

"Pod Zbójem", taki był wygląd ludzi zapelniających gospodę. O każdym nasuwało się przypuszczenie, że skorzystał z roztargnienia mistrza katowskiego, by przyjść tu jeszcze na szklanicę wina. Gęby zbójckie lub desperackie, miny groźne albo na wszystko obojętne, nadmiar broni, chrapliwe głosy, wyzwiska, pijackie pośmiechy. Rzekłbyś, nierejestrowana kompania nieboszczyka Diabła Stadnickiego z Łańcuta.

- Co tu robisz? W takim locum? - szepnął pan Filip wzdrygając się z odrazą?

- Similis simili gaudet, podobny podobnemu rad. Taką muszę sobie teraz dobierać kompanię, gdzieby mi nikt niesławą oczu wytykać nie mógł...

- Przepadniesz wśród takich ludzi! Zmarnujesz się do reszty!

- A gdzie się indziej podzieję?

Usiedli na ławie za stołem. Siedzący obok brodacz, o posępnej, zgasłej twarzy odsunął się nieco, czyniąc im miejsce.

- Gdzie się indziej podzieję? - powtórzył Jarosz. - Do Klasztoru nie pójdę, bo cały dzień odmawiać pacierzy nie potrafię. Do Ziemi Świętej poszedłbym, jak niegdyś chodzono bronić Grobu Chrystusa Pana; och, poszedłbym z radością. Ale już dziś nikt nie chodzi. Do puszczy zbiec i tam dzikować z dala od ludzkich oczu - na tom za stary. Więc co mam począć? Mierzi mnie samego ze zbrojami siedzieć, ale innego wyboru nie mam.

- Cokolwiek będziesz robił, nie rozstawajmy się, trzymajmy się razem... - prosił pan Filip.

- A cóż byś ty, nieboraku czynił w moim towarzystwie?! Nie, nie, nie tyle sumienia jeszcze mam... Luto mi, żeś dom opuścił... Myślałem nieraz: ja tu się gryzę i wiję jak wąż, ale przynajmniej pocziwe Filipisko siedzi spokojnie doma...

A ot i ty... Przeze mnie... Jeszcze jedna cyrkumstancja nieprzewidziana... Hej, żeby człowiek mógł zawsze wiedzieć, co z jego poczyńnięć wyniknie, nic by nie zrobił z tego, co wyrabia!

Zamyślił się, patrząc chmurnie w nierówną, chropowatą powierzchnię stołu.

- Ciężko bardzo tak żyć?... - domyślił się cicho Filip.

- Ciężej, niż można wypowiedzieć - odparł brat nie odrywając oczu od stołu. - A najgorsze to, że się jest poza prawem... Zawsze kpiłem sobie z prawa. Wiele ludzi u nas mało co sobie z niego robi... Ja też... zresztą, co ono znaczy, masz dowód na mnie... Nikt mnie jeszcze nie zaczepił, ani

szukał, ani prześladował... Wyrok sobie, a człek sobie... Można z niego urągać bezkarnie... Właściwie to dla mnie pocieszenie i lepiej... A jednakże my wszyscy przywykliśmy do prawa i do jego potrzeby, choćby się tę potrzebę ciągle omijało... Zrodziliśmy się w nim... I kiedy cię za prawem postawią, jest ciężko... Jakobyś do społeczności przestał należeć. Sam się dziwuję, że mi podobne dumki przychodzą do głowy, lecz nieraz myślę, że wyroki sądowe winny być szanowane i mieć swoją moc... A znów nie daj Bóg, żeby ją miały, bo biada mnie wtedy! Infamis... Pierwszy powinienem zginąć... Tak się tym dręcę... Czy ty to rozumiesz?...

- Usiłuję zrozumieć - odparł pan Filip marszcząc z natężeniem czoło. Co innego rozumiał, czego nie powiedział: że popędliwy, hałaśliwy Jarosz nigdy dawniej tak wnikliwie i ludzko nie gadał...

I ponownie zapewnił brata, że się nie rozstaną, jakakolwiek by ich czekała dola.

- Nigdy na to nie zezwolę - odparł szorstko Jarosz. - Sam zawiniłem, sam niech pokutuję... Ty wracaj jak najprędzej do Drażgowa. Tam twoje miejsce, nie tu...

- Braciszku, za nic nie wrócę bez ciebie!...

Jarosz Słotyło parsknął przykrym śmiechem.

- Beze mnie!? Jakże ja wrócę? Nawet zmarłego mają prawo nie pochować na cmentarzu przy ojca, jeno jak ścierwo w dół cisnąć! Więc i martwy nie powrócę... Nie!

- Bywali tacy, co się oczyścili z infamii... - szepnął pan Filip ostrożnie.

- Ja się oczyścić nie zdołam. Mówiliśmy o zmarłych... Powiedz szczerze:

Dydyński nie wraca, nie straszy u nas, nie szuka mnie?...

Oczy pana Filipa zaokrągliły się z przerażenia.

- Póki ja byłem, nikt go nie widział... Nic się nisamowitego nie

działo...

- Bogu dzięki. Bom nieraz myślał, że może jeszcze ducha napuścił na ten dom rodzony...

- Dydyński był dobry człowiek, choć zawzięty, i na pewno umierając

przebaczył... A skąd ci duchy przyszły na myśl?...

- Bom był niedawno w Podhajcach (gdzie ja nie byłem!) i tam mi pokazywano

lochy, w których wojewodzina Zofia Golska straszy... Siła ludzi ją

widziało... Dawno umarła, a chodzi co noc...

- O reta! Nie wiadomo, z jakiej przyczyny?

- Wiadomo. Roksolana, hospodara córka, co za Tymoszkę Chmielnickiego

miała iść, powierzyła jej swoje klejnoty... Cały skarbiec... Skarbiec

Mohylanki... Głośno było o tym pono w całej Rzeczypospolitej. I te klejnoty

przepadły... Nie wiadomo, kiedy, gdzie... Wszyscy posądzali Golskich, że je

sobie wzięli, ale głośno nikt nie śmiał mówić, bo to senatorski ród i

możny, i żadnych dowodów nie było... Wojewodzina tak się gryzła

posądzeniem, że umarła. I teraz straszy... Chodzi po lochach, gdzie były

ukryte skrzynie Mohylanki, i szuka. Jedni powiadają, że isto wzięła i

pokutuje za chciwość, inni, że niewinnie była posądzona i chce klejnoty

odnaleźć, żeby uczciwości dowieść... Jakby kto miał odwagę po

chrześcijańsku widma zapytać, może by odpowiedziała...

- Kto by się na tyle odwagi zdobył? Br... br... br... A tyś ją widział?

- Nie. Nie chodziłem tam nocą. Jedno gdym słuchał o tym, przyszedł mi Dydński na myśl... Potem też mi się zdawało, że ujrzałem ducha, kiedym ciebie tu z nagła obaczył...

- Ja podobnie, gdym przed tygodniem Smoka dojrzałem... Zarzą i Starościna mu odpowiedziała.

- Tak? Nie spostrzegłem. Byłbym umknął zawczasu. A po co w ogóle przybyłeś do Lwowa? Że nie mogłeś w domu wytrzymać, już wiem. Przecie trza

było jechać do Warszawy czy do Krakowa, w spokojne strony, nie tu pod tę burzę...

- Kiedyż właśnie... Ja przyjechałem walczyć...

- Z kim?

- No z Turkiem... Ojczyzny milej chcę bronić...

- Ty będziesz się bił! Ty! - Jarosz wybuchnął prawdziwie wesołym śmiechem. - Dla tej jednej sprawy warto żyć, żeby ciebie walczącego obaczyć!...

Pan Filip zaczerwienił się i spuścił oczy zmieszany.

- Wiem, żem niedołęga i tchórze - przyznał otwarcie - sam boję się, że z pola pierchnę, wstydu sobie przyczyniając... Jednak jak widzisz...

Urwał zakłopotany. Nie wiedział jak wyrazić, brata nie urażając, że na uczciwym rodzie Słotyłów ciąży hańba, którą trzeba zmyć. Czymże zmyjesz, jeśli nie ofiarą, daniną krwi? Skoro jednak jeden Słotyło chwalebnie legnie, ludzie o winie drugiego zapomną...

Choć pan Filip nic z tego nie powiedział, Jarosz musiał się sam domyślić.

Patrzył długo na brata, nareszcie rzekł:

- Już też lepszego człowieka od ciebie nie było chyba na świecie. Za wszystkich byś się ofiarował... Bóg ci zapłaci. Może jednak ja też...

Milczeli chwilę. Jarosz odezwał się już zwykłym głosem:

- Więc przyjechałeś? Samo jeden? Z Grzegorzem?

- Są Grzegorz i Mateusz, i mam ze sobą trzech Kościuszczyków. Miało jechać tylko dwóch, ale i drugi bliźniak cichcem wymknął się z domu...

Dobre chłopaki. Pomagały mi cię szukać...

Jarosz podskoczył na ławie.

- Powiedziałeś im, żeś mnie widział?

- Powiedziałem.

- Szalony, szalony! Stare dziecko! Coś ty zrobił! Przecie mnie nie wolno tu być! Przecie ja infamis! Jeżeli to rozgadają, jeżeli straż grodzka posłysz, gotowa mnie zamknąć do lochu! A bodaj cię! Rozumu nie masz!!

- Oni nikomu nie rozpowiedzą - zapewniał płaczliwie pan Filip, strwożony tym, co zrobił.

- Ze złej woli nie, ale z głupoty...

- Natychmiast pójdę do nich i ostrzegę... Nie gniewaj się, braciszku...

Nie powiedzą na pewno. Czy będziesz tu czekał na mnie?

- Dziś nie. Jutro możesz przyjść o tej samej porze.

Rozstali się. Pan Filip śpieszył do swoich. Nim jednak doszedł do bramy, utknął w zwartym tłumie zwiększającym się z każdą chwilą. W przeciwnieństwie

do ostatnich dni, tłum był radosny. Z dala drżały okrzyki: "Król jedzie!

Król jedzie!"

Ze zręcznością, której by nigdy u siebie nie podejrzewał, pan Filip podciągnął się na załom muru, skąd mógł spojrzeć ponad stłoczonymi głowami.

Jedną nogą opierając się na wykruszonej cegle, oburącz trzymając kurczowo niewielki kamienny występ, stał, a raczej wisiał, niedbały o niewygodę.

Na razie widział tylko zбитy plaster głów. Ludzie tłoczyli się zewsząd, tratując wzajemnie i pchając. Patrząc na rozradowane, uniesione twarze, słysząc grzmot nieustających okrzyków, można było sądzić, że dotychczasowe

"trwogi" rozwiały się jak zły sen, że Turka nie masz bynajmniej, że nieprzyjaciel nie grozi. Samo nazwisko Sobieski wystarczało, by natchnąć każdego pewnością, bezpieczeństwem, otuchą. Kochaliż go tu, kochali!

Wierzyliż mu, wierzyli! To był ich najwłaśniejszy, umiłowany człowiek.

Koroniarze uważali go za kiepskiego polityka i podwikarza, sułtan za nienawistną przeszkodę - dla lwowian, dla całego Podola i Rusi był dobrym geniuszem, obrońcą, opiekunem, tarczą... Wierzyli, że nawet nieobecny

potrafi ich obronić. Pamiętali dobrze, jak trzy lata temu w dni najstraszniejsze, gdy się zbliżała turecka nawała, gdy zdawało się, że nic nie uratuje miasta, Sobieski wpadł na parę godzin, zboczywszy ze szlaku

tylko po to, by przerażonym dać radę, w serca wlać otuchę. Zbiegali się

wtedy do niego, "jak do dobroczynnej gwiazdy". I tak ich natchnął słowami, taką w nich wzbudził odwagę,, tak obiecał przyjść w porę z odsieczą, że się

bronili! I obronili! Wroga odparli! Choć przedtem już myśleli o

kapitulacji... Wierzyli niezłomnie, że przyjdzie z pomocą, skoro obiecał. I dotrwali!

A dwa lata temu, gdy poprzedzany tłumem odbitego jasyru, zdobycznymi działami, taborem, jeńcami, wjeżdżano do grodu chocimskiej pamiętnej wiktorii, chciano mu triumf zgotować i łuki wznieść. Nie przystanął. Zagroził, że ominie Lwów, jeżeli nie posłuchają. "Bo Bóg sam jeden zwyciężył - powiedział - i Bogu tylko należy się chwała"... Więc nie zrobili triumfu, nie wystawili bram, jeno cały Lwów wyległ na ulicę, a burmistrz Zimorowicz ze wzruszenia zapomniał pięknej łacińskiej przemowy.

I

w przejęciu po polsku, tak, po polsku, krzyknął tylko: "Żyj! Działaj!

Panuj! Ty niezwyciężony!"

Toteż po elekcji mówili wszyscy, że to Lwów Sobieskiemu koronę przepowiedział.

Pan Filip wisiał, drętwiał, ale patrzył.

Chorągwie, przybyłe z królem, zostały poza miastem, a Jan III wjeżdżał sam z nieliczną asystą. Towarzyszyli mu niedawny komisarz, generał Korycki, Aleksander Polanowski, rotmistrz Lenkiewicz i pułkownik Atanazy Miączyński.

Na murach grzmiały działa. Ludzie krzyczeli głośniejsze od dział. Kiwając się od niechcienia w kulbace, król uśmiechał się przyjacielsko do tłumu całą swą uczciwą szlachecką twarzą. Ach, on też kochał tych ludzi, ten Lwów zawsze mężny i wierny, zawsze narażony, zawsze "w paszczę pogańskiej" przebywający! Nigdzie nie czuł się tak dobrze i swojo jak tutaj, na Rusi.

Nie tylko dlatego, że się tu urodził i wychował, że tu jego dziady i pradziady żyły. Wielka miłość, jaką rycerstwo polskie czuło do tych ziem, miała swe głębsze, acz nieświadome podłoże. To była ich ukochana ojczyzna z wyboru, ziemia, która wszystko im zawdzięczała, którą tylko dzięki ich zbrojnemu ramieniu mogła żyć i rozwijać się. Gdy pierwsze szeregi rycerzy zwanych granicznikami przyszły tu za Kazimierza Wielkiego, z dawnej świetnej przeszłości ruskiej nie było już ani śladu. Wspaniałe rozwój, wyprzedzający inne słowiańskie plemiona, wielkość Włodzimierza, stosunki z

Bizancjum, sztuka i pieśń - zginęły, i dopiero po wiekach miano odszukać ich ślady. Nieudolność własnych skarłałych dynastyj, kolejne najazdy Mongołów i Wielkorusów pogrzebały przeszłość ruską. Na wyludnionych pustaciach nie było nic prócz ruin, a ludność z przyrodzenia rolnicza żyła życiem koczowników - ze strachu.

Błogosławieństwem wtenczas stał się napływ polskiego rycerstwa, co wzięło w opiekę wyludnioną ziemię. Wzniosło strażnice i zamki graniczne. Wokół strażnic kupili się zrazu rodowcy i towarzysze, tworząc razem wspólną siłę, a dopiero ku tej sile ściągnęła miejscowa ludność poszukująca obrony.

Powstawać jęły znowu osady i wsie. I gdy w innych dzielnicach różne czynniki kształtowały oblicze kraju - tu na Podolu wszystko było wyłącznym dziełem szlachty polskiej. Ona stworzyła, cokolwiek tu z dzieł rąk ludzkich zostało stworzone. Ona ponosiła odpowiedzialność za dobro, równie jak za zło. Na otwartej białej karcie pisała, co chciała. Lud ruski nic jeszcze o sobie samym nie wiedział. Gdy w zdolniejszych swych jednostkach osiągał samowiedzę, polonizował się, nobilitował, przechodził duszą i sercem do obozu szlacheckiego, stawał się jednym z rycerstwem, składał najwyższe dowody męstwa, ofiarności i szczerzej miłości ku wspólnej matce,

Rzeczypospolitej. Bo narodowość wciąż mniejsze miała znaczenie niż stan.

Więc dlatego może szlachta tak miłowała te strony, że one wszystko jej zawdzięczały, były jej tworem, dziełem, jej odbiciem, od niej zależały.

Gdyby rycerstwo tutejsze opuściło swe stanicę bodaj na parę miesięcy - kraj powróciłby natychmiast do stanu pustki przedkazimierzowskiej, spustoszony przez Tatarów, Beskidników i wszelakie zbójcekie żywioły gnieżdżące się w

stepach podolskich lub górach karpackich.

Co prawda, obecność rycerstwa, wystarczająca dawniej jako opieka, przestała nią być teraz. Jak słusznie przeor trembowelski objaśnił pana Słotyłę, w pięćdziesiąt lat naliczono [przeszło trzydzieści najazdów tatarskich. Nie podolskie rycerstwo jednak było temu winne, lecz bezwład Rzeczypospolitej i brak poparcia z jej strony.

Król przejechał w takim ścisku, iż zdawało się, że potężny jego jabłkowity wałach, Pałasz, unoszony jest w powietrzu przez ludzkie ramiona.

Tłum odpłynął powoli w stronę Wysokiego Zamku. Pan Filip zeskoczył z niewygodnego posterunku i rozcierając zeszywniałe członki poszedł do swoich. Zmęczył się wisząc na murze, ale rad był, że króla widział...

Chciałby, spotkać teraz tego mądralę Ładę - myślał z gniewem - powiedziałbym mu... Ale bym mu powiedział!

Mądrego Łady o umyśle statysty nie było, za to w obozie trwała nadal utarczka między Kościńszczakami młodszym i starszym. Wicek zupełnie zwariował nawet wiśnie poogradzał, kolki wszędzie ponabijał, sznury przeciągał...

- Przecież ta jejmość pozwoliła wiśnie rwać - wziął w obronę bliźniaków pan Filip.

- Owszem, z warunkiem, że gałęzi łamać nie będą. A o, niech jegomość spojrzy, już jedna gałąź złamana. Toteż powiedziałem, że beze mnie do sadu nie wejdą!

- Poczekajcie, niech jeno odsapnę, a rozważę i rozsądzę tę sprawę - obiecał Słotyło siadając z ulgą na przyzbie. Ach, jak było cicho, jak

spokojnie, jak złościście i różano zachodziło słońce!

Czyż jest coś piękniejszego niż pogodny letni wieczór, czy istnieje coś okropniejszego nad wojnę? Pomyśleć, że lada chwila to wszystko może zostać bezmyślnie zniszczone! ...Żebym sto lat żył, wojakiem nie będę - stwierdził na koniec w myśli z przykrością.

- ...Więc jegomość dobrodziej powiedzą Wickowi? - nalegali chłopcy.

- Powiem, powiem, zaraz powiem, ale co?...

Zanim pan Filip zdobył się na sąd, który musiałby być co najmniej salomonowym, sprawa wiśni poszła w odwłokę, gdyż na dziedzińcyk wszedł nieznanemu człowiek pytając o pana Filipa.

Odziany dostatnio, twarz miał gęsto zarosłą, brodatą. Znad zarostu połyskiwały smutne, poważne oczy.

...Gdzieś go widziałem... jeno nie pamiętam, gdzie... - myślał pan Słotyło.

- Chciałbym z waszmość panem mówić samodwa - oznajmił przybyły, przeto pan Filip zabrał go do izby. Wchodząc przypomniał sobie, gdzie widział brodacza: dziś po południu w gospodzie. Siedział na ławie i usunął się,, by dać miejsce Jaroszowi.

- Czy to mój brat waści przysłał? - zapytał niespokojnie.

- Częściowo tak, ale on zamierzał list pisać. Sam się ofiarowałem, że przyjdę z ustnym zleceniem, gdyż mam personalną prośbę do waszmości...

- Co mój brat chciał mi rzec?

- Że odjeżdża dzisiaj jeszcze, więc żebyś go waść nie szukał. I nie starał się odnaleźć. Że sam o nim posłyszysz, jeśli Bóg pozwoli. I że życie

chętnie położy w staraniu, byś waść mógł uczciwie wrócić do swego

Drażgowa...- Wolę utracić ojcowiznę niż brata!

- Nic na to nie poradzisz, bo ninie już go w grodzie nie ma.

- Dokąd pojechał?!

- Tego nie wiem, a choćbym wiedział, to bym wyjawić nie mógł. Ale

sprawiedliwie mówię, że nie wiem.

- O dlaboga! - jęknął pan Filip żałośnie. Zmartwiła go głęboko ta nowina.

Ledwo brata odnalazł, już stracił...

Siedzieli chwilę w milczeniu.

- A jaka była personalna sprawa waści? - przypomniał sobie pan Słotyło.

- Moja sprawa jest taka, że trzeba nie lada odwagi i desperacji, by się z

nią do kogokolwiek zwrócić... Jeżeli waść mnie wyśmiejesz i każesz iść

precz, nie zdziwię się zgoła. Pójdę... Ale wprzód na wszelki wypadek

posłuchaj...

- Będę słuchał całą duszą.

- Przede wszystkim, powiem nazwisko, którym dotychczas zataił. Cudzego

używać nie chcę, a swego przy ludziach wyjawiać nie mogę...

...Wywołaniec jak Jarosz nieborak - pomyślał pan Filip ze współczuciem -

zrazu widziałem, że w onej gospodzie wszyscy na wywołańca patrzyli.

- Jestem Wilczek z Sokolemy, herbu Poraj... To, co powiem, wymaga

największego zaufania... Ja waszmości wcale nie znam, ale zaufanie mam...

Nie podsłuchiwałem, broń Boże, waszej rozmowy, ale od czasu do czasu

niechcący coś w ucho wpadło... Słyszałem więc, jak brat mówił, że waść

jesteś najlepszym człowiekiem na świecie, gotowym za każdego się

ofiarować...

- Ech, machnął ręką pan Filip zmieszany - cóż znaczy takie braterskie gadanie...

- Właśnie najrzadziej brat o bracie podobną rzecz powie... Zresztą rozmawiałem o tym później z Jaroszem... Wiem... Jeno do spełnienia mojej prośby trzeba nie tylko zacnego serca, ale i wielkiej odwagi.

Wykoncypowałem łatwo, że waść ją posiadasz...

- Ja? - zdziwił się pan Słotyło.

- Waść. Jeżeli starszy człek, warunkami pieniężnymi do służby żołnierskiej nie zmuszony, jedzie dobrowolnie na Podole, prosto pod wroga, i takiego wroga, musi mu nie zbywać na odwadze...

- Niestety - zapewnił pan Filip z przekonaniem - całkiem się waść omyliłeś. Może to tak wygląda, rzeczywistość jest jednak inna. Wstyd mi to, szlachcicem będąc wyjawiać, ale mam zajęcze serce. Nie znoszę widoku krwi. Nie mogę patrzeć, jak cielę wiodą do rzeźnika... Nie bilem się nigdy w życiu... Przyjechałem tu pod wroga to prawda, i bić się nie będę, bo tak się złożyło, że muszę, ale boję się, że w pierwszej potyczce nie zdzierzę, i tył dam ku wiecznemu memu wstydowni... Taka jest moja odwaga.

- Każdy tchórz o swoim męstwie rozpowiada, przeto waść żadną miarą tchórzem nie jesteś. Zresztą mniejsza z tym... Słuchaj waść dalej... Jeno że nim dojdę do właściwej sprawy, muszę opowiedzieć całe swoje dzieje...

- Słucham z uwagą - zapewnił pan Filip.

- Miałem wieś dziedziczną nieopodal Trembowli, żonę prawdziwie od Boga daną, dziątek dwoje... Jak to na kresach bywa, w wiecznym się żyło

niepokoję. Czy jest wojna, czy jej nie ma, my zawdy w ogniu. Dziesięć lat temu z okładem, w czasie jednej z takich potyczek koń się ze mną obślizgnął, do jaru zleciał i tak przygniótł, że za nieżywego byłem przez towarzyszy uznany. Nie mogli po moje ciało zejść od razu, oganiając się od pogan. Kiedy po kilku godzinach wrócili, już mnie Tatarzy zabrali. Myśleli nasi, że trupa tylko powlekli, żeby z odzienia ograbić, ale ja byłem żywy i w jasyr wzięty...

Odetchnął głęboko i ciągnął:

- Moja żona niebo i ziemię poruszyła, żeby czy ciało moje odnaleźć, czy wiadomość o mnie dostać. Wielkie sumyłożyła na to nieboga, jak się później dowiedziałem. Wszystko na próżno. Taki los. Zwykle o jeńcach łatwo się dowiedzieć, sami Tatarzy starają się o powiadomienie rodziny, żeby okup wziąć. Mnie wszelako sprzedano od razu kupcom z Azji mniejszej, którzy mnie zabrali aż do Nicei. Nigdy tam nikt nie zachodził z Europy, ani sposobu było przesłać wiadomości... I tak trwało osiem lat...

Przymknął oczy, opierając twarz na złożonych dłoniach.

- ...Po ośmiu latach sprzedano mnie innemu kupcowi, który często jeździł do Konstantynopola i do Adrianopola. Ja z nimi jako woźnica. Mogłem nareszcie zetknąć się z zakonnikami i prosić, by się dowiedzieli, co słyhać z moją rodziną. Nie minęło kilka miesięcy, a miałem przez nich wiadomość. Moja żona po bezowocnych szukaniach uwierzyła, że m zmarł, i za miecznika Bilińskiego wyszła...

Znów przerwał, oddychając głęboko.

**-...Nie winię jej biednej... nie! Ustąpiła leganiom rodziny, swojej i
mojej... Wciąż jej pono przedstawiano, że substancja niszczy, że pana w
domu nie ma, że chłopaki podrastają i potrzebują ojcowskiej opieki, że w
razie grozy dom jest bez obrony... A o mojej śmierci z dawna byli wszyscy
przekonani... Póty radzili, aż się dała przekonać i poszła... Ninie już
dzieciątka ma...**

**...Małom nie oszalał posłyszawszy o tym. Bo się czułem jak wolny i tylko
liczyłem dni, rychło do swoich powrócę... Aż tu taka wiadomość... Prosiłem
ojców Jałmużników, by nic nie robili, nigdzie znać nie dawali, i
pozostałem... Ofiarowałem się, że w niewoli do śmierci zostanę... Bo jakóż
było wracać? Taką rozterkę na moją niebogę ścigać... A cóż ona winna?..
Każdy by na jej miejscu uwierzył, że zmarł... Osiem lat!... Może bym
wrócił, gdyby nie miała dzieciątka... Może bym wrócił, ale tak?... Jakie
wyjście? Cóż byśmy poczęli wszyscy troje?...**

Zaszlochał krótko, wstydliwie.

...I zostałem, zostałem... zostałem...

**...I powinienem był zostać do śmierci... Już zrezygnowałem. Prosiłem
tylko Boga o prędką zgon. Aż tu w obozie tureckim słyszę kiedyś polską
mowę. Panowie komisarze królewscy przechodzą koło mnie. Mówią o tym, że
uciekać chcą z obozu, żeby króla w porę przestrzec... Nie wytrzymałem,
zagadałem do nich... Uciekliśmy razem... Przybyłem tutaj... I teraz nie
wiem, co począć... Kryję się jak zbój, bojąc się ciągle, że mnie kto pozna
i żonie doniesie, iż mnie widział... Czekam niecierpliwie nadejścia
nieprzyjaciela, spodziewając się, że Bóg pozwoli uczciwie legnąć na polu. W**

razie gdybym ocalał, zaraz po wojnie pójde do klasztoru... Innego dla mnie wyjścia nie ma...

Umilkł zmęczony. Pan Filip ocierał oczy, ale nie rozumiał, co by on w tej sprawie mógł poradzić.

- Zaraz to waści wyjaśnię... Na Boga, nie śmiej się ze mnie... Ja z tęsknoty mało nie oszaleję... Być tak niedaleko od nich i nic nie wiedzieć! Jak żyją, jak wyglądają... Bo nic nie wiem... Tyle, co mi wtedy donieśli zakonnicy... Boję się pytać... Boję się komukolwiek zwierzyć... Jeśli wyznam prawdę krewniakowi, tajemnica się nie utrzyma. Rozniosą. Znam ludzi... Ale ja chcę wiedzieć! Chcę wiedzieć, czy Biliński dla niej i dla moich synów dobry... Nie znam go... Rodzina z dawna w Trembowelskiem mieszka, ale on przybył dopiero po moim zniknięciu... Chcę wiedzieć, jako moje chłopaki wyglądają, jacy z nich ludzie rosna... Ja rozum tracę ze wszystkim, jeśli tego wszystkiego nie dowiem!

- I waść byś chciał, żeby... - domyślił się pan Filip z niepokojem.

- Już powiedziałem, że swojakowi zwierzyć się nie mogę... Bo nie wytrzyma. Choćby nie wiem jak chciał, nie wytrzyma. Nadto go to samego będzie obchodzić. Domyślą się z jego lica, że coś wie, czego nie gada... I wydobędą... Inaczej z człowiekiem obcym... Obcy... Przyjechał, obaczył, odjechał...

Odetchnął znowu głęboko i dokończył opowiadanie prawie szeptem:

- ...Wrócił i mnie opowiedział...

Pan Filip siedział zaskoczony, oniemiałym.

- Ale dlaczego ja?... - wybąkał.

- No jużci, dlaczego waszmość? Już powiedziałem, że możesz mnie wygnąć, wyśmiać... Masz prawo. Rozumiem to doskonale... Jeno, że już wytrzymać nie mogę... nie mogę...

Zaskowyczał prawie z bólu.

- Coś o nich przed śmiercią wiedzieć!... Posłyszeć... Bo pomyśleć waść: ja tu schnę z tęsknicy, bojąc się, by jej szczęścia nie burzyć, a może ten mąż to tyran, może dręczy ją i dzieci? Może należałoby ptakiem tam lecieć i ją od niego uwolnić?! Zrozumie waść moją mękę! A czemu się do ciebie zwrócił? To już powiedziałem na początku: bo brat waści mówił, żeś dobrym człowiekiem...

- Jechać do Trembowli - powtarzał pan Filip z osłupieniem - teraz, kiedy wojna idzie? Już tu we Lwowie jest straszno, a cóż dopiero w Trembowli...

- Wszystko jedno, tu czy tam... Możesz zresztą waść zdążyć pojechać i wrócić, nim nieprzyjaciel nadciągnie...

- Ja mam chłopców na mojej opiece!... I jakież do obcych ludzic pojedę!?
Co im powiem?! Jaki znajdę pretekst!?

Urwał, bo przypomniał sobie nagle, że go przeor trembowelski zaprosił do siebie, a u Bilińskich kto wie, może tych samych właśnie, jest jakaś ciotka, która by stolniczków odnalazła... Licho nadało! - pomyślał - ot los! Więc nawet wymówki nie ma.

Wilczek wpatrywał się w niego z taką udręką i niepokojem, że pan Filip nie śmiał odpowiedzieć: "nie". Próbował sprawę odłożyć.

- Do jutra daj mi waść czas do namysłu...

- To już lepiej - rzekł cicho Wilczek - powiedz waść od razu, że nie

chcesz...

- Ja nie mówię, że nie chcę! - krzyknął z nagłą pasją pan Filip - ja pewnie pojedę, czuję, że pojedę, ale dajże mi odetchnąć!... Do jutra, do jutra!

- Słuszna. Wybacz waszmość moją natarczywość... Przyjdę się jutro dowiedzieć.

Wyszedł bez słowa. Pan Filip za nim. Wnet obskoczyli go chłopcy.

- Więc, jegomościu, jak będzie z tymi wiśniami?...

- A do stu tysięcy diabłów, dajcie mi spokój z waszymi wiśniami! - ryknął pan Słotyło i wrócił do izby. Przed domem zaległa cisza. Mateusz, Grzegorz, pacholcy, Wicek, bliźniacy spoglądali po sobie ze zdumieniem.

- Oj, coś się widno gotuje, skoro jegomość pan Słotyło taki rozdrażniony.

I kłął! Jak mi Bóg miły - mówił Grzegorz - pierwszy raz słyszę, że kłął!...

`tc

ŃRozdział X:

Król

`tc

Wilczka jeszcze nie było. Słotyło siedział na przyzbie czekając. Już się namyślił. Oczywiście, pojedzie, pojedzie... Jest wściekły, ale pojedzie.

Jakże takiemu biedakowi odmówić?... Co za położenie? Im pan Słotyło więcej nad sprawą Wilczka rozmyślał (a czynił to całą bezsenną noc), tym większe odczuwał współczucie. Nieszczęśliwy człowiek. Obyż go można pocieszyć!...

- Jacyś konni jadą ku nam - odezwał się Grzegorz.

- A prawda.

- Coś opatrują.

- Widocznie.

I dalej myślał p czekającej go przymusowej podróży. Brać ze sobą chłopców (bliźniaków), czy nie brać?

- Wasza miłość - (znów Grzegorz) - ludzie na wałach gęsto stoją i na tych, co jada, patrzą...

Pan Słotyło obejrzał się. Rzeczywiście na murach czerniał liczny tłum.

Głowy były odkryte, twarze śledziły konnych jadących w stronę folwarczku.

Pan Filip spojrział uważnie na tych ostatnich i przetarł oczy. Nagłym ruchem ściągnął czapkę z oczu. Czy go oślepiło, czy go zamroczyło, że nie poznał od razu? Tęgi, jabłkowity wałach, rosły mężczyzna... Król!

- To miłościwy pan jedzie ku nam! - wrzasnął.

- Gdzie? Laboga! Gdzie!?! Król?!

- Dyć korony nie ma, ani nic, odziany jak zwykły człowiek... -

powątpiewał Grzegorz.

- Ja wam mówię, król, miłościwy pan... Wczoraj go widziałem... k'nam jedzie!...

Jezdni znów przystanęli. General Korycki trzymał rozłożony papier. Król pochylał się nad nim badawczo, to odrywał wzrok i rozglądał się po okolicy, ręką zataczał krąg, ukazywał jakieś punkta, by znowu wrócić oczami do kartki.

- To jest mapa - zauważył Kostek - Niderlandczyk van Janssen miał taką samą, także się w trąbkę zwijała...

I obaj z Olkiem pożałowali, że swego czasu nie chcieli bliżej obznajmić

się z tym przedmiotem, choć im to Niderlandczyk proponował. Widno mapa

jest

rzeczą godną uwagi, skoro król miłościwy pan tak pilnie na nią spogląda.

- Całkiem po żołniersku ubrany, nawet buławy w garści nie ma... -

powtarzał Grzegorz zawiedziony.

- Cichaj. I tak widno, że król... Nie baczysz?

- Dyć baczę. Większy od innych... W sobie tęższy...

- E, nie tylko to...

Umilkli, bo jeźdźcy ruszyli stępą wprost ku nim. Nadjechali tuż. Jan

Sobieski rzekł:

- Czolem waszmościom. Wasze to obejście?

- Nie, miłościwy panie - odparł Filip czerwieniąc się i jękając ze

wzruszenia. - My wolnotariusze, przybyli na uniwersał... Tymczasem tu stoimy, miejsca sposobniejszego nie mając...

- A czyjeż ono?

- Zda mi się, że burmistrzowego brata. Niechali to, uchodząc do grodu.

- Dobrze, że przynajmniej uchodząc zabezpieczyli jako tako te grządki, ten sadek. Gdzie indziej wszystko rozgrodzone i już zniszczone, aż żal patrzeć...

- Po prawdzie, to nie oni dali te płotki, jeno jeden z naszych wczoraj ogrodził...

- O - ucieszył się król - któryż to z waściów?...

Mówiąc zszedł z konia, ciężko, aż ziemia stęknęła, i przeciągnął kości.

- Żeby była jaka ława, to byśmy usiedli... Od świtania męczę szkapę...

Już Kościńscy biegli z ławą, pan Filip zdmuchiwał ją nabożnie, przecierał rękawem. Sobieski usiadł i rozglądał się.

- Więc któryż to o drzewka zadbał?

Pan Filip pchnął Wicka naprzód.

- Ten szczupak? Udałeś mi się, synu. Ja nawidzę drzewka, szczególnie sady, i krew się we mnie zapieka, gdy je niszczą... Sam, gdzie mogę, drzewa sadzę... Więcej mnie serce boli nad drzewem zrąbanym niż nad domem spalonym, bo dom w parę lat można postawić i jeszcze grzeczniejszy, niż był, ześ piękne drzewo sto roków czekać nie za wiele... Udałeś mi się...

Waszmość - wskazał na Filipa - ojciec?

- Opiekun jestem tych młodziaków - pośpieszył pan Filip. - Słotyło herbu Sas, do kornych usług miłościwego pana. Te chłopaki to pana Hieronima Kościńskiego z Kościna pod Gołębiem synowie, herbu Trzy Trąby...

- Aż spod gołębia jedziecie? Na uniwersał? Bodaj takich więcej było!

Bodaj! Myślałem już, że nikt nie zjechał, bo ochoty w kraju nie masz...

Jedni za Wisłę, a inni pono aż za Gdańsk uciekają... Im kto się ma lepiej w tej ojczyźnie, tym mniej dla niej czyni. Nikt o publice nie myśli, jeno o własnej prywatnie... Litwa dotąd śpi, i Pacowska, i Radziwiłłowska!

Wyrzucal te słowa z goryczą, zapomniawszy o obecnych. Do siebie samego mówił, do swojej tajonej zgryzoty. Wprędce jednak opanował się i rzekł na pozór pogodnie:

- Tym cenniejsi, milsi ci, co przyjechali... Zapisaleś się już synu? Do której chorągwi?

Wicek znany był z tego, że nawet w domu, gdy ojciec zagabnął, potrafił

oczy wytrzeszczyć i nie nie odpowiedzieć. Ale to był inny Wicek. Obecny

padł królowi do nóg i wołał:

- Miłościwy panie! Do pancernych bym chciał, do pancernych! Ale jeno konia mam, szablę i odzież, co na sobie!...

- Zbroi nie masz?...

- Nie mam... Ale... o Boże... tak bym strasznie chciał!

- Cóż, trzeba ci będzie pomóc... Za to, że drzewa szanujesz... Do pana pułkownika Miączyńskiego, tu obecnego, zgłoś się dziś po południu...

Dostaniesz, co trzeba... Bóg ci pomagaj, towarzyszu... No, dobrze już, dobrze...

Śmiejąc się odsuwał chłopca z kolan, które Wicek z uniesieniem, z płaczem całował. O, żebyż to matka, zawsze zafrasowana, widziała! Sam król Wicka chwali... Sam król do niego mówi: "towarzyszu", jakby już do rycerza, husarza...

A bliźniaki stoją opodal, w palce strzelają, wiercą się, płoną, na pana

Słotylę błagalnie patrzą, niechże ich królowi wskaże... Zazdrość ich sroga zalewa. Brat i jego plotki! Plotki wokół wiśni... Kto by się tego

spodziewał! Stoją męcząc się. Ruszyć obaj do nóg królewskich nie śmia, bo jeden obdarty, rozłączyć się nie chcą. Nie wiedzą, co począć. I jakże płaczą, ale z desperacji.

Tymczasem król odprawił Wicka przyjacielskim ruchem ręki, głową skłonił panu Słotyle i do swoich się zwrócił, dając do poznania, że już dość rozmowy, że wraca do własnych, wojskowych, najważniejszych spraw.

Pan Filip pojął to natychmiast, usuwając się z chłopcami na drugi koniec

majdanu. General Korycki znów rozłożył mapę przytrzymując ją na ławie. Jan

III mówił:

- Reduty będziemy sypali z tej strony. Ogrody i pola, przez które one pójdą, raczcie waszmościowie oszacować, bo za zniszczenie musimy zapłacić.

A ceńcie sprawiedliwie, żeby i właścicielom krzywda nie była i żeby ja nadmiernego uszczerbku nie poniósł, bo przyjdzie mi to z własnej szkatuły pokryć...

- Zbytńia wspaniałość, miłościwy panie! Za co płacić? Zniszczymy ogrody, to prawda, ależ w obronie tych samych ludzi...

- Nie lubię skwerku biedoty. Ceńcie, jak rzekłem. Sprawiedliwie! Mości rotmistrzu, kaźcie mi namiot tu rozbić. Obieram to miejsce na swoją kwaterę...

- Wasza królewska mość nie zamieszka w Zamku?

- Widziałżeś kiedy, bym był z dala od żołnierzy? Zresztą wolę tu niż w grodzie. Pokaż no waść jeszcze kartę... Zaległszy obozem dobrze obwarowanym, będziemy zeń niby z trojańskiego konia, tamquam de equo Trojano zameczkom posiłki dawać, sultana szarpać, a także może się uda zasłonić viscera regni, wnętrzości królestwa... Byle w zameczkach ducha nie tracono trzymając nieprzyjacielowi czoło jak najdłużej!

- Zda mi się, miłościwy panie, że wszystkie prezydja dobrze są dobrane: ksiązę Wiśniowiecki w Brodach, hetman Jabłonowski obsadził Złoczów, hetman

Sieniawski... To z najważniejszych. W Zbarażu Francuz Desotel, księcia Wiśniowieckiego człek...

- Znam go dobrze - wtrącił Korycki - przytomny i dobry wojak...
 - W Załóżcach Hryniewicz, w Wiśniowcu Jerzy Borkowski, w Mikulińcach Orchyjowski...
 - Orchyjowskiego posłałem z listami do Warszawy!
 - Już wrócił, miłościwy panie, i zaraz komendę objął... W Zawałowie Makowiecki, w Sidorowie Chrzanowski...
 - Z pułku kasztelana bełskiego? Znam go! Zacięty żołnierz... Wolalbym go widzieć na ważniejszym punkcie niż Sidorów, gdzie ani chleba, ani wody nie ma, a defenzacja bardzo licha... Takich szkoda obsadzać, uszczuplając obronę gdzie ondiej...
 - W Podhajcach pan Posadowski, major z pułku wojewody Lubomirskiego...
 - Widziałem go pod Chocimiem. Zdał mi się miękki, a Podhajce ważna pozycja... Dalej?
 - W Husiatynie pan Krzysztof Mellin.
 - Dobry. W Trembowli?
 - Pan Tomasz Kozłowski.
 - Nic o nim dotąd nie słyszałem. Służył człowiek?
 - Z dragonów pana Karczewskiego. Więcej nie wiem.
- Król zmarszczył wyraziste brwi.
- Nikt nie wie. Na najważniejszą twierdzę dają człowieka, który może jest najlepszy, a może całkiem mdły!... Na nic taka sprawa... Po Kamieńcu ze znaczniejszych fortec Trembowla jedna została... Broń Boże, by miała w ręce nieprzyjaciela wpaść...
 - Sądzę, że pan pułkownik Karczewski...

- Dowiem się, co zacz Kozłowski, i odpowiedni rozkaz wydam... Podjazdy

spod Złoczowa nie wróciły?

- Dopiero wczoraj wyszły, miłościwy panie...

- Miały wyjść przedwczoraj! Kiedym sam rządził wojskiem, lepiej bywało, bo rozkazy były wykonywane... Teraz wszystko na opak mi czynią...

- Miłościwy panie!

- Nie do was mówię ... Sami wiecie... O Litwinach nic nie słyhać?

- Powiadają, że pan podskarbi Sapieha ciągnie...

- Dalby Bóg... Ze dwa tysiące ludzi powinien mieć... Na hetmana

litewskiego już zgoła nie liczę. Spodziewam się za to, że nadejdą pułki

panów Potockich i Feliksa i Jana... I nowo podniesione, wcale niezgorsze

chorągwie kasztelana bełskiego i starosty Cetnera...

- To byśmy się dobrze wzmogli...

- Musimy się wzmóc, panie rotmistrzu! Z tą garsteczką niewiele

zdziałamy... Bóg co dzień cudów nie robi... Niby dla śmiechu

Rzeczypospolita czeka z taką armią na całą potęgę sultana!

Rotmistrz Polanowski westchnął. Pozostali milczeli. Król ciągnął z

rosnącym rozdrażnieniem:

- Niechby tu się zawiązała konfederacja, niechby huczek poszedł, że

jakieś uchwały stanowimy, dopierożby się przeciw nam zebrała siła!

W miesiąc stanęłoby i trzysta tysięcy! Szyję za to daję!... Trzysta

tysięcy! Na pogana, na salwowanie ojczyzny nikogo nie ma... Nikogo! Tych

szlachciców spod Gołębia należałoby ozłocić, w ramy obsadzić i obnosić z

podpisem: są jeszcze uczciwe serca w Koronie!

- Trochę ochotników zgłasza się co dzień - szepnął pocieszająco generał

Korycki.

- Pozwalam wam ozłocić wszystkich na mój koszt... Nie zrujnuje mnie ten ekspens... Czas jechać, moi panowie! Obejrzymy tamtą stronę...

`pk.

- Więc?... - szepnął Wilczek i umilkł wyczekująco.

- No, cóż - odparł mrukliwie, nie po swoim Słotyło - jadę, jadę... Co

robisz waść! - zakrzyknął i odskoczył, bo Wilczek chylił się, jakby mu

chciał do nóg paść - jadę, bo przypomniałem sobie, że mam tam do

załatwienia pewną osobistą sprawę... Nie masz tedy za co dziękować... Gdzie

waści znajdę, gdy wrócę?...

- Nie zdurniałem do tyła w niewoli, by uwierzyć w one osobiste sprawy,

nagle od wczoraj wyłonione. Niech Bóg błogosławi waści i wszystkie jego

poczynania i wszystko, co mu drogie... Nigdy się nie wywdzięczę, choćbym

sto żywotów do oddania miał...

- Ot, nie gadałbyś waszmość! Kiedyż mówię, że dla siebie jadę... Gdzie

was zastanę, gdy wrócę?...

- Chcę nie miszkając jechać do Sidorowa. Tam pan Samuel Chrzanowski nad

zameczkiem komendę trzyma... Bo wiedz waszmość, że uciekliśmy z niewoli z

panami komisarzami dzięki współnictwu chana nogajskiego, którego syn jest

w

niewoli właśnie u pana Samuela Chrzanowskiego. Obiecaliśmy chanowi

puścić

jeńca. Pan strażnik koronny Bidzyński natychmiast ze Lwowa gońca do

Sidorowa pchnął, donosząc, co i jak, i prosząc, by Tatara zaraz odesłano, a

ja wolę jeszcze osobiście się upewnić, że nie zaszła żadna pomyłka i

chańczuk pojechał. Tam już zostanę, przy obronie pomagając. Nikt mnie z tą

brodą nie pozna, nawet Chrzanowski, bo widzieliśmy się ostatni raz z

piętnaście lat temu... Mogą mnie nawet wziąć za poturmaka, co niechta!

- A gdzie ów Sidorów?

- Nad Zbruczem, w pobliżu Husiatyna... Niedaleko od Trembowli...

Zbawicielu miłosierny! Jakże też będę nowin od waszmości wyczekiwał!

- Abym ich tylko mógł udzielić! Wojna idzie, czego waść zdajesz się nie

brać pod uwagę... Zali nas przedtem wszystkich Turki nie ogarną?...

- Może się to zdarzyć - przyznał Wilczek - wiesz waszmość jednak, że

jednakie niebezpieczeństwo i ryzyko, i możliwość ogarnięcia, tu czy tam...

Zdarza się, że nieprzyjaciel ciągnąc od granicy, każdy, bodaj najmniejszy

zameczek zdobywa po drodze, nie zostawiając na tyłach ni jednego...

Częściej jednak idzie prosto wielkim pochodem w głąb kraju, gdzie

znaczniejsze siły stoją, nie dbając o to, że stacje za nim nietknięte

zostają. Bo wie, że jeśli zwycięży, one i tak same mu przypadną, a nie

traci tyle czasu...

- Chętnie temu wierzę, ufając doświadczeniu, którego mi brak... A no, co

Bóg da, to będzie...

- Kiedy waszmość myślisz jechać? - zapytał Wilczek nieśmiało.

- Jak najprędzej. Jeżeli koni nie trzeba przekuć, choćby jutro. Tu i tak

nie możemy zostać, bo reduty już sypią wokół. Sam król miłościwy będzie na

tym miejscu kwaterował...

- Dobrodzieju mój! Jutro...

- A żebyś waść do żadnej wdzięczności się nie poczuwał, ja z kolei poproszę o przysługę... Też personalną i dość zawikłaną...

Tu pan Filip długo i szeroko jął opowiadać o sprawie bliźniaków, Kostka i Olka, o tym, jak z domu fortelem wyjechali, jak dotąd jednym koniem i jednym przyodziewkiem się obywają, jak niby jest jeden, choć w rzeczywistości jest dwóch.

- ...Dobre z kośćmi chłopaczyny - ciągnął - i rad bym im drugiego konia sprawić, ale Bóg mi świadkiem, że pieniędzy nie mam... Szablę dla jednego kupilem, na konia się nie zdobędę... Życie tak podrożało, że jeno trzosa w garści zaciskam, a patrzę, co będzie dalej. Konia zaś teraz nie kupisz tanio. Na wojnę koń idzie w górę. Owoż, pókiśmy komunikiem jechali przez nieznaną okolicę, mogli jak Kastor i Pollukus jednym się lejbikiem odziewać. Inaczej, gdy przyjedziemy do dworu, gdzie wypadnie pozostać jakiś czas... Jakoż ich tam wprowadzę? Jeden ze mną, drugi ze służbą? Jeden od matki, drugi od macochy? Nie oddalali się dotąd nigdy od siebie, ale tym razem na parę niedziel muszą się rozłączyć. I oto moja prośba: weź waszmość jednego ze sobą do Sidorowa, zaopiekuj się nim jak ojciec, dopóki ja nie przyjadę...

- Z duszy, serca to uczynię - zapewnił Wilczek z radością - możesz mi go waść powierzyć spokojnie. Od złej przygody (o ile to będzie w mocy ludzkiej) go ustrzegę, konia mu zdobędę rychło... Grosza na kupno też wprawdzie nie mam, ale niech się pierwsze spotkanie nadarzy... Arkanem zawsze nieźle rzucałem, a u Turków jeszcze się wprawilem... I nie obowiązek

to poczytuję, ale za nową przysługę, bo mi lżej będzie mając tę młodość przy sobie.

- Tedy zwołajmy ich, niech sami rozsądzą, który z którym z nas pojedzie...

`pk.

Otwarte wejście namiotu ukazywało grzędy ruty i nogietków, zeszelej niedzieli ogrodzonych starannie przez Wicka. Król siedział na przewróconej skrzyni przed stołem polowym i pisał list do żony znajdującej się z dziećmi w Jarosławiu:

...Najmilsza duszy i serca pociecho, najśliczniejsza moja Marysieńko!

...W namiocie siedzę ogród kapuściany dla przechadzki mając, a od zgryzoty mało mi głowa nie pęknie... Sułtan z wielką siłą już jest pod Zbarażem, gdy nasze wojska dopiero się schodzą... Niektórzy, ledwo przyjechawszy, już chcą wyjeżdżać, czekając tylko na skończenie ćwierci, która się pojutrze kończy. Między chorągwiami i tu i u wojewody ruskiego wielkie zamieszanie. Sam nie wiem, co się dzieje, boć dla Boga, przodkowie nasi wojnę turecką sądnym dniem zwali, a nam się teraz zda, że to jakaś igraszka i nikt o nic nie dba, tylko o swych, w domu siedzących, myśli prywatnych... Nie możeć to już być gorzej na świecie! A w kupie tak wielkie wojska! Bo jakom żyję, tak jest sześćdziesiąt tysięcy tureckiego, a sto tatarskiego!...

Odłożył pióro i zamyślił się nad podanymi liczbami. Tak, tak, sześćdziesiąt tysięcy tureckiego i sto tatarskiego! Prawda, że Tatary nie warte tyle, co połowa Turków, ależ on przeciw tej całej nawale z trudem

zbierze niecałe dziesięć tysięcy! Zawsze to samo, kilkunastu na jednego!

Zawsze te zwycięstwa rozpaczliwe, odnoszone jakoby cudem, wyblagane, wyrwane Bogu, nieprawdopodobne, niepojęte! Ciągłe stawianie na jedną kartę

całego bytu królewskiego, niewyzyskiwanie najświętszego zwycięstwa, bo wysilek, z jakim zostało osiągnięte, nie dopuszczał do dalszego

działania... Ciągłe zebranie o ludzi, o wojsko - w kraju, w którym połowa mężczyzn chodziła z szablą! Boże, Boże, czyż to się nigdy nie zmieni?

Sobieski cierpiał nad tym, gdy był hetmanem, cierpiał stokroć więcej teraz, gdy był królem. A poradzić nic nie mógł.

...Jeżeli - pisał znowu - da Bóg, wyjdę cało z tych opresji, a wroga od

Rzeczypospolitej odgonię - nie spocznę, aż nasz porządek wojskowy ze wszystkim przerobię. Bo już nie chciałbym podobnych obaw przeżywać, co

teraz, że nieprzyjaciel tuż, a ja kaczkę lecącą na niebie rachuję: jeśli do pary, to już na nie nie licz. Moja nieszczęśliwa głowa więcej temu nie

wydoła... Inne państwa silne są stałym wojskiem, a przede wszystkim piechotą, która u nas w pogardzie jest trzymana. Cierpimy tę trochę

najemnej, węgierskiej czy niemieckiej, drogo płaconej, jakby to były

Murzyny sprowadzane z antypodów. A czy to swojego ludu w Polsce nie mamy dostatku? Umyśliłem sobie, i da Bóg, na pierwszym sejmie podniosę, żeby

każde 28 dymów wystawiało jednego piechura, wybranego chłopca,

opatrzonego w

muszkiet, amunicję i w barwę wojewódzką przyodzianego. Bez uciemnienia

poddanych utworzyłoby się z tego pełen sto tysięcy wojska, z czego 80

niechby dostarczała Korona, a 20 Litwa, bo biedniejsza i mniej ludna.

Wielka by stąd była korzyść nie tylko dla kraju i powszechności, ale dla stanu chłopskiego, który by do większego znaczenia dzięki temu przyszedł...

Włościanom rad bym życie poprawić. Wątroba mnie nieraz boli, widząc jak się

niektórzy nasi pankowie z poddanymi swoimi obchodzą...

...Jeszcze o jednej reformie myślę, duszo moja, która nie wiem, jak

będzie przyjęta przez panów posłów i panów senatorów: żeby hetmani na trzy

albo pięć lat byli mianowani, nie na całe życie. Jakbyśmy to uchwalili, nie

byłoby tych trosk, co mam teraz z jegomościem hetmanem litewskim, od

których mi włosy siwieją. Bo jakby wiedział, że go za niecnotliwy postępek

odsunę, to by się lepiej sprawował. Dziś, miasto go pod sąd dać, jeszcze mu

czapkować muszę i miodem smarować, żeby się nie obraził i z wojskiem nie

odszedł, co już trzy razy niegodziwie zrobił, zawsze w najgorętszej chwili,

kiedy się krzychało: rata!

...Nie wiem jeno, zali senat będzie ku temu przychylny...

...Rozpisuję się, droga duszyczko, przyjacielu najśliczniejszy, bo krzyneę

czasu wolnego mam, a w koło całe jest spokojnie i błogo. Przed namiotem

grzędy kwitną, w sadzie jakiś husarz z panienką rozmawia, pszczoły w lipach

aż huczają. Jeżeli nam wojna pasieki w Jaworowie nie zniszczy, winno być siła

miodu tego roku, bo tutejsze ule pełne. Lubo byłoby pożyć sobie spokojnie,

o troskach zapomnieć, ale nie lza, bo trwoga już idzie. W Bogu nadzieja, że

Zbaraż sultana dłużej zatrzyma, a my się tymczasem wzmocnim i Litwa może

nadejdzie...

`pk.

Husarzem był Wicek Kościński, zmieniony do niepoznania, a panienką - Agnieszka Zimorowiczówna. Przyszła z pacholkiem rzekomo ogórków narwać, w

rzeczywistości, by na króla miłościwego chociaż z daleka popatrzeć, a po prawdzie, by przy okazji młodego wojaka zobaczyć.

- ...Jejej - mówiła - czy się kiedy spodziewałam, żeby sam król w naszym ogrodzie mieszkał!? Jeszcze bym piękniejszych kwiatów nasadziła!

- Przez te kwiatki waćpanny ja zbroję dostałem, więc taki jestem wdzięczny, że nie wiem...

- Przez moje kwiatki?

- Ogrodziłem je i miłościwemu panu to się spodobało...

- Że ogrodzone?

- Właśnie. Prawił, że lubi, gdy o drzewa i o inne rośliny dbać...

- Więc waść już jest husarzem!?

- Na podjazd nawet onegdaj jeździłem!

- Onegdaj! To dlatego waćpana nie było! - zawołała szczerze i splonęła zmieszana własną otwartością. Wicek nie zrozumiał przyczyny rumieńca, ale patrzył na nią z jednakim zachwytem.

- Mój stryj - podjęła ona - nie żyjący już, rymy śliczne układał...

Możesz waćpan o nim słyszał? Szymon Zimorowicz?

Nie, Wicek nigdy nie słyszał.

- A poezje, rymy waćpan lubisz?

- Ja!? Nie cierpię poezyj i wierszów...

- Nie podobna! Dlaczegoż to ?!

Wicek machinalnie potarł kark i zafalował grzbietem, jak gdyby poczuł na skórze wszystkie plagi otrzymane w szkole.

- Dlaczegoż to? - powtórzyła z żalem.

- Ani słowa z nich nie rozumiałem.

- A ja strasznie lubię wiersze. Wszystkie rymy stryjca umiem na pamięć.

Naprawdę, nie zrozumiałbyś waćpan?

...A ciebie nie było, ani cię zaoczyło@ oko moje smutne,@ Aniś listkiem cisnął, aniś słówkiem pisnął,@ o serce okrutne!

Znów szcerwieniła jak wiśnia. Wicek przechylił głowę na bok i słuchał z przejęciem.

- Takie rymy to bym lubił - rzekł - nawet nie wiedziałem, że podobne są.

- A jakieś waćpan znał?

- Łacińskie, Horacjuszowe... Bardzo trudne... - znów kark potarł - racz, waćpanno najśliczniejsza, jeszcze coś powiedzić...

- Chyba jutro? Trza iść. Chciałabym, żeby król miłościwy wyszedł z namiotu, co bym mu się przyjrzała, ale pisze, pisze i wcale nie wstaje...

- Od godziny blisko skrybuje, to pewnikiem rychło skończy. Oj, nie. Gońca prowadzą. Nowiny musiał przynieść. I panowie pułkownicy idą. Widno będzie rada.

`pk.

Nowina przyniesiona przez gońca była zła. Zbaraż poddał się sultanowi.

Król odłożył niedokończony list. Nie czekając na wezwanie pułkownicy i rotmistrzowie już wchodzili do namiotu. Radzić trzeba było śpiesznie.

- Opowiadaj waść, jak było - rzucił Sobieski gońcowi. Był nim szlachcic z pułku generała Kąckiego.

- Z rozkazu księcia Dymitra Wiśniowieckiego - zaczął mówić tenże treściwie, służbowo - zamknęło się w zamku ludzi służących dwieście z pełna, a chłopstwa moc wielka, prawie wszystka tamta część kraju wołyńskiego. Do miasta też wiele się luda schroniło. Miasto lichym wałem otoczone, do obrony niezdatne, wprędce je orda swoim uczyniła i podpaliwszy ją gospodarzyć po swojemu. Gdy to ci chłopci, co na zamku byli obaczyli, tak się wylękli, że białą chorągiew wywieszać zaczęli, załogę buntując i krzycząc, że Turcy ich oszczędzą, jeśli się poddadzą. Co widząc komendant Desotel, Francuz, Pikard, który tam był komenderowany, z sześćdziesięciu dragonami węgierskimi i trochę towarzystwa stanął, nie pozwalając białej chorągwi wywiesić i do obrony pędząc. Na co inni całkiem stumanieni od trwogi, a w sile będąc, rzucili się na komendanta i na nas, posiekli, związali, a zamek otworzyli, choć dział w nim było trzydzieści i amunicja, i można się było bronić... Na co tatarzy wcale ich nie respektując, wszystkich wyścinali, zamek zaś prochami wysadzili.

Kilkaset ludzi ocalało co wyborniejszej płci białej i młodzieży, to w jasyr pognali. Nam kilku udało się zbiec z Bożą łaskawą pomocą... Milczeli wszyscy przez chwilę.

- Przekłęte chamstwo! - syknął z nienawiścią rotmistrz Polanowski.

- Po co było hołotę wpuszczać do zamku!? - dorzucił Miączyński. - Niechby ich Turcy wyrznęli, co i tak się stało!...

Król spojrział krzywo na obu.

- Pewnie ich spędzono jak bydło, rozumnego słowa nie dając... Żeby byli przód żołnierzami uczynieni, a po ludzku objaśnieni, to by tego nie zrobili...

- Cham zawsze chamem zostanie - burknął niechętnie Miączyński - każdego chłopą chętnie bym na gałęzi widział.

Sobieskiemu błysnęły oczy.

- Nic mi waściowie na plebs nie gadajcie. Sami go takim czynicie, jak jest. Ja z chłopów miałbym najlepszych żołnierzy... Ja z chłopami miałbym potęgę!

Pociemnieli wszyscy na licu, biorąc te słowa za obelgę, lecz Sobieski, którego gniew równie szybko opadał, jak wzbierał, wyciągnął dłoń przyjacielsko.

- Ostawmy te jałowe spory, waszmościowie. Nieszczęście już się stało, nie odstanie. Myślmy, co czynić. Czas nagli. Zbaraż wzięty. Ibrahim lada dzień może być pod Lwowem.

`tc

Rozdział Xi:

Łuna

`tc

Choć pojęcia, jakie jejmościanka Kunegunda, leciwa siostra miecznika, miała o swojej osobie, było zawsze dość wysokie, od czasu przyjazdu pana Filipa Słotyły wzrosło ono w dwójnasób. Umyślny przyjazd dalekiego krewniaka, zwracającego się do niej niby do wyroczni w sprawie odnalezienia rodziny, napelniał ją słuszną dumą, stwarzał zasłużoną glorię. Gdyby

ktokolwiek teraz wątpił o nieomylności wiedzy heraldyczno-koligacyjnej panny Kunegundy, zamknie mu usta powyższe zdanie. Poważny szlachcic, nie żaden gołowąs, przyjechał spod Gołębia! Do Dokołemy (gdzie Gołąb, gdzie Sokolema?!), by u niej języka o krewnych zasięgnąć.

Że wojna groziła że Turcy lada dzień mogli się zwalić, że - co w jej mniemaniu gorsze spośród wieluset znajomych Sasów o tych właśnie stolniczkowiczach nic pewnego powiedzieć nie umiała, zdawało się drobiazgiem bez znaczenia. Panna Kunegunda była szczęśliwa.

Dwór leżał na ludnym szlaku i rzadko minął miesiąc, by ktoś obcy nie zajechał. A zajechawszy nie wykorzystał wiadomości panny Kunegundy hojnie i

chętnie przez nią udzielanych. Ale nikt dotąd nie przyjechał osobiwie dlatego! Dotychczasowi goście byli to przeważnie ludzie wojenni, rotmistrzowie upoważnieni do czynienia zaciągów lub zbierający własnym kosztem oddziałek, szumnie zwany chorągwią. Parci żądzą przygód i wypróbowania własnego męstwa, sprawiali ochotniczą straż na wiecznie zagrożonym Podolu.

W ostatnich miesiącach jednak nie widziałeś już zagończyków, rotmistrzów, ni ochotniczych dowódców chorągwi znaku własnego. Kto żyw z tego niespokojnego żołnierskiego luda skupił się przy królu lub siedział w poszczególnych zameczkach gotów do obrony. Trembowla i jej okolice leżały na razie jakoby poza linią boju, zostawione na boku przez sultana. Wilczek miał słuszność mówiąc, że kto wie, czy pod Lwowem nie będzie goręcej. Po prawdzie Turcy byli tu już przed miesiącem. Nie zdążyli zaskoczyć grodu

niespodzianie, i wszystko, co żyło w powiecie, schroniło się do zamku. Czy zamek zdołałby się obronić, nie wiadomo; na szczęście nie potrzebował, gdyż przemyślny pan Bogusz ze Strusowa odciągał pogan rozpuszczając fałszywą pogłoskę, że król z wielką siłą następuje od Buczacza. Na tę wiadomość Ibrahim, nie pragnący jeszcze stanowczej bitwy, odwołał i zwinął swoje lewe skrzydło, ogarniające Trembowłę.

Po kilku dniach spędzonych w twierdzy Bilińscy wrócili do siebie. Gotowi byli jednak każdej chwili schronić się tam z powrotem. Wszelkie cenności, klejnoty i szaty, srebro i kobierce pozostawiono ukryte w sklepach zamkowych. Dwór wyglądał pusto i wojennie ze ścianami obdartymi z osłaniających je zwykle opon. Przed domem na wysokim drzewie zbita była z desek strażnica, na której nieustannie ktoś czuwał opatrując okolicę. Cały dom żył niby na wsiadanych. Przeżyta trwoga mogła lada dzień wrócić. Pomimo to pani miecznikowa Bilińska, prio voto Wilczkowa, słynąca z gospodarności, troskała się jak zwyczajnie o zimowe zapasy, posyłała dziewczęta do lasu po jagody i zioła. "Niebezpieczeństwo niebezpieczeństwem, wojna wojną - mawiała - a w domu wszystko powinno iść tak, jak zwykle. W Bogu nadzieja, że nic się nie zdarzy."

Słuchając jednym uchem zawitych a nie kończących się wywodów panny Kunegundy (skoro już przyjechała, musiał słuchać!) Słotyło przyglądał się uważnie miecznikowej. Była spokojna, małomówna małomównością, która wydaje się raczej przyrodzonym skupieniem niż smutkiem. Ogołocony z lepszych

rzeczy dom utrzymywała ze wzorowym ochędóstwem. W apteczce i lamusiku stały leki i przysmaki. Pierniki, nalewki, larendogra lawendowa i rozmarynowa, mięta, melisa, korzeń fiołkowy, cytrynowa skórka moczona w winie (przeciw nudnościom i czkawce). Tylko najcenniejszy lek, prawdziwą driakiew wenecką, wywieziono wraz ze skarbczykiem do zamku.

O ile nie krzątała się pośród tych skarbów, pani miecznikowa zajęta była dzieckiem. Roczny Pawłuś, ulubieniec, zaczynał już raczkować i niby mały żuczek sunął żywo przez pokoje po czystej lipowej podłodze. Najwięcej lubił psy, wielkie legawce i z piskiem radości chwytal ich kudły, gdy one poważnie lizaly go po konopiastej głowinie.

Prócz gospodarstwa i dziecka miecznikowa miała jeszcze jedno ulubione zajęcie: raptularzyk, do którego zapisywała wszelkie zdarzenia i każdy wydatek. Nosila go zawsze przy sobie i codziennie przed wieczornymi pacierzami wciągała doń starannie wszystko, co tego dnia było godne zapisania.

O ile miecznikowa była milcząca, o tyle mąż, jej lubil mówić. Nie był bynajmniej tyranem, jak się tego obawial Wilczek, owszem, pogodny człek, nie lubiący frasować się niczym. Przepadał za krotochwilami, żartami i znał moc przysłów, które cytował przy każdej okazji. Poza tym dobry sąsiad, dobry kompan, dobry mąż, dobry opiekun pasierbów.

Młode Wilczki trudniejsze były do rozeznania, jako że rzadko widziały ich w domu. Opaleni, o gołych łydkach podrapanych cierniami i chmielem,

siedzieli całe dni bądź na strażnicy, bądź w okolicach i jarach, polując na zwierzynę i wypatrując Tatarów. Gdy zmęczeni, zgłodniali jak prawdziwe wilczki, wracali o zmroku do domu, miecznik pytał ich przyjacielsko przy wieczerzy o to, co widzieli. Opowiadali wesoło, usta mając zapchane jadłem. Poczem mrugnawszy porozumiewawczo okiem w stronę Kostka, zabierali go na wspólne spanie do stodoły.

Poza grozą wojny, co wisiała nad domem równie jak nad całym krajem, nie czuło się tu żadnego innego napięcia. Rodzina zdawała się szczęśliwa, widmami przeszłości nie niepokojona. Słotyło, którego dotychczas skrupuły Wolczka zdawały się przesadzone, zaczynał je zwolna rozumieć. Straszno istotnie byłoby wrócić z tamtego już świata, niby upiór zwalić się nam dom i zburzyć odbudowane ognisko!

Po prawdzie pan Filip mógłby już teraz wyjechać, zahaczyć o Sidorów, zdać relację ze swej misji Wilczkowie, czym prędzej pomykać do Lwowa, gdzie pod boki króla jegomości, przy głównej sile zawsze poręczniej i bezpieczniej. Wahał się jednak, czy może to zrobić? Przebywał tu od kilku dni, spał pod tym dachem i jadł z tą rodziną. Przyjęty najserdeczniej, poznał już całe obejście, nazwy koni i psów, porządek dnia. Jednakże nie czuł się w prawie powiedzieć, że zadanie swoje spełnił. O prawdziwych bowiem uczuciach i myślach małżonków Bilińskich nic a nic nadal nie wiedział. Wiadomości, jakich udzieli choremu z tęsknoty wygnańcowi, będą tak szczupłe, tak powierzchowne, że byle dziad proszalny, ugoszczony we dworze, mógłby podobnych dostarczyć. Nie zadowolnią one nieszczęśliwca, nie zaspokoją jego

dusznego głodu. Będzie pytał gorączkowo: "I co?! I co?!" ...A no, nic.

Wszystko dobrze. Jak zwyczajnie... Urodzaje mają dobre. Miecznik najchętniej gada przysłowiami"...

...Dla równie mizernego efektu - rozmyślał pan Filip - nie warto było tyle drogi robić, pod Turka się pchać... Gdybym mógł z nią bodaj raz porozmawiać, o dawnych sprawach, o pierwszym mężu, wiedzieć, czy go wspomina... Ale, jak naprowadzić na taką rozmowę?

Kobieta drepcze, suszy, smaży, zapisuje, dziaciaka niańczy, ani do niej z dyskursem podejść. Trafu by na to trzeba, a traf rzadko służy człowiekowi i prawie nigdy nie zjawia się, gdy potrzebny... Więc może szkoda dłużej ryzyko ponosić i lepiej wyjeżdżać póki czas?...

W tym momencie jednak stawała okoniem panna Kunegunda. Gdy wspomniał

kiedyś o wyjeździe, skoczyła, aż się zachwiało wysokie rusztowanie z włosów, pakulów i czepca umieszczone na jej głowie.

- Mowy nie ma - krzyknęła - byś waszmość wyjeżdżał, zanim odnajdę stolnikowiczów! Brat dobrodziej koła od bryki starym zwyczajem odejmie, bramę zamknie, ale zacnego gościa nie wypuści ...A ja już poszlaki mam...

Maluczko, a trafię... Już wiem, że w roku Pańskim 1628 panowie Piotr i Jan

Słotyło herbu Sas, stolnikowicze, przybywszy na Ruś pojęli za żony: Piotr

Barbarę z Rogalów herbu własnego, córkę Szymona i Zofii z Ustrzyckich

herbu

Przestrzał, Jan, młodszy, Małgorzatę Masłowską herbu Samson, córkę

Andrzeja

i Marty z Bilińskich. Ale nie z Bilińskich Sasów, jeno Bilińskich Lubiczów,

bo są i tacy. Są i Lubicz Slotyłowie, o czym nie wiem, czy słyszałeś waść?

Owóz Piotr z żoną Barbarą jakiś czas mieszkał u teściów w Rogalach, ale

niedługo. bo w trzy lata potem szła za mąż młodsza siostra Barbary

Piotrowej, Urszula Rogalanka... Na weselisku była teściowa mojego

stryjecznego wójca, opowiadała o nim, staruszką będąc, krewniaczce swojej

Tefili, która za Masłowskiego poszła, ale Piotrze nic nie wspominała.

Musiało go tam nie być, bo trzeciego dnia wesela była wielka bijatyka, w

której pan młody tego w leb szablą dostał. Owóz, gdyby Piotr stolnikowicz

był przy tym obecny, niechybnie wziąłby świeżego dziewierza w obronę,

zwłaszcza że słynął jako wielki siłacz. Skoro nie wziął udziału w onej

zamieszce, widno, że się już wcześniej z żoną na własną posadę przenieśli,

i to snadź daleko, skoro na ślub żoninej siostry nie przyjechał. Chyba żeby

się z teściami poróżnił, co bywa i w najzacniejszych rodach... Zaś Jan,

który pojął Małgorzatę Masłowską...

- Chwileczkę... - poprosił pan Filip, gdyż wymienione jednym tchem

nazwiska i imiona pokielbały mu się w głowie ze szczętem.

- Nie przerywaj waść! Wątek przez to tracę... Już straciłam... W

najważniejszej chwili, gdy już, już byłabym sobie wszystko przypomniała,

niewczesna przeszkoda...

- Kręci baba, kręci, choć nie ma w pamięci - zaśmiał się miecznik

wchodząc do komnaty. Dłonie zaciśnięte w pięści wysunął przed siebie. -

Nowinę przynoszę siostruni dobrodziejce i waszmości milemu gościowi.

Zgaduj

zgadula, w której ręce kula?... Jeśli w prawej - dobra, jeśli w lewej - zła.

- Pogany podchodzą?! - pisnęła z przerażeniem panna Kunegunda.

- Tfu! Tfu! Śmierci żaden się nie wywierci, ale nie utonie, co ma wisieć, nie z każdego żaka ksiądz, nie z każdego Turka najazd. Wprawdzie zła przygoda nie po drzewie łazi, lecz po ludziach, przecie myślę, że się latoś od Turków wykręcim... Gościa zwiastuję dobrego: jegomość Ożga jedzie ku nam, za chwilę tu będzie. Już jego pacholek przyjechał.

- O to pociesznie! - uradowała się heraldyczka. - Sam ci jedzie?

- Nie pytałem, pewnikiem jednak z papugą... Może i z krewniaczką też?

Strzec niewiasty - to samo co nalewać wodę w piasty, więc chyba jej nie zostawi? Taki dumam, że chorążunio do Trembowli już pomyka i po drodze do

nas na popas zajeżdża. Rusza się dalsza zwierzyna, niedługo i nam szarakom pogonić przyjdzie...

- Brat dobrodziej sądzisz, że chorąży o Turku słyszał? - zaniepokoiła się panna Kunegunda.

- Sądzę - odparł niefrasobliwie miecznik, zapominając, że przed chwilą wyrażał nadzieję, iż Turka latoś nie będzie.

Pan Filipa zaciekawiała wzmianka o papudze i jął pytać, kto zacz gość oczekiwany.

- Siostrunia dobrodziejka objaśni waszmości... Ja tylę rzekę: Strój anielski, głos diabelski, a mięso baranie... U pawia! pawia! - dorzucił ode drzwi w odpowiedzi na zgorszone spojrzenie panny Kunegundy.

- Brat dobrodziej nigdy nic rzeczy nie powie. Pan chorąży jest synem pana Piotra Ożgi z Ossy, referendarza, trembowelskiego starosty, któren słynął jako najrozumniejszy człowiek na Podolu... Ożeniony był ci referendarz z Aleksandrą Gorayską, córką Michała i...

- Bóg z nią, waćpanno dobrodziejko łaskawa, cóż ów pan chorąży?

- Pan chorąży? Nic! To ojciec, referendarz, słynął jako wielka głowa. Syn nie. Przez to brat dobrodziej tak ucieszenie o nim dogadywał. Ów Piotr, ojciec, światły był... W Turcji na posłowaniu będąc, z sultanem po turecku rozmawiał, z królem, ze szlachtą, z żydami, z każdym potrafi się dogadać, każdego ujednał i na to przyprowadził, co chciał. Znany był jako mediator. A dla rozrywki papugi uczone sobie chował. Pono ucieszenie było przyjść, a słuchać, jak te ptaszyska gadały. Dawno zmarł, świeć Panie nad jego duszą, i papug już nie ma, tylko jedna, ostatnia została. Pan chorąży bardzo o nią stoi i ludzie powiadają, że się jej radzi, kiedy nie wie, jak postąpić.

Stąd zowią ją Konsyliarzem. Zasię krewniaczka, o której brat dobrodziej wspominał, jego synowicą jest, wdową po trzech mężach... Pierwszy raz była za Kackim...

Ale pana Filipa nie ciekawiła bynajmniej krewniaczka chorążego, wdowa po trzech mężach, przeto skierował rozmowę na inne koleje. Przyszło mu na myśl, że panna Kunegunda musi wiedzieć wiele o wewnętrznych sprawach domu.

Wilczka wprawdzie znać nie mogła. Jest siostrą miecznika, któren niedawno w okolicę zajechał, nie wadzi jednak spróbować...

Skorzystał, że była mowa o wdowie, i rzekł:

- Wielkie to szczęście dla białogłowy, jeśli dotknięta żalobą, od Stwórcy miłościwego otrzyma pociechę w osobie nowego uczciwego opiekuna i towarzysza...

Panna Kunegunda nic nie odparła, przeciwnie, zacisnęła usta i spuściła głowę niżej nad krosiennikami.

...Oj, źle! - pomyślał pan Filip. - Trafilem jak kulą w plot. A toż ona nieboga ani jednego męża nie uzyskała, więc gdzie jej prawić o takich, co repetują?

I zaraz dodał:

- Ale dziwno mi, gdy która chce z tego szczęścia skorzystać. Komu raz srogie wyroki towarzysza odebrały, nie powinien im się sprzeciwiać...

Panna Kunegunda podniosła wzrok łaskawszy.

- Słusznie prawisz waszmość. Nie powinna wdowa drugi raz za mąż iść, szczególnie...

Urwała nitkę, zawahała się chwilę, dorzuciła:

- ...szczególnie, jeśli na pogrzebie pierwszego męża nie była...

Słotylę aż poderwało. Czyżby tu już coś wiedziano?!

- Co waćpanna dobrodziejka chcesz przez to powiedzieć? - zapytał możliwie obojętnym głosem.

Lecz nim panna Kunegunda zdążyła odpowiedzieć, przed domem rozległ się turkot i palenie z bata. Pan chorąży zjeżdżał, dostatnio, i szumnie.

Przypuszczenia miecznika, że wyjeżdża, by schronić się do Trembowli, były słuszne, za kolaską bowiem wjechał na dziedziniec cały tabor. Panna

Kunegunda pośpieszyła do okna, a w chwilę później gospodarz wprowadził do komnaty gościa. Był wysoki, bardzo wystrojony, każdym ruchem zdradzający wielkie zadufanie w sobie. Przystanął we drzwiach, certując się ceremonialnie i przesadnie z gospodarzem.

- A gdzie to ptaszek kochany, że go nie widzę? Gdzie papużka? - dopytywał miecznik.

- Zdechła - oznajmił z szczerym żalem pan Ożga. - Imaginuj sobie waszmość, zdechła! Jestem tym całę poruszony.

- Wierzę - rzekł znacząco gospodarz. - Ha, młody może umrzeć, a stary musi... Niemłoda już była...

- Liczono, że miała ponad siedemdziesiąt lat. - Szacowny wiek! Całym sercem współczuję, rozumiejąc, jako trudno będzie się waści bez niej obejść... Dlatego diabeł mądry, że stary... To dobre, co stare, zwłaszcza, jeśli jare...

- Waszmość, panie mieczniku, zachowujesz zawsze bystry dowcip, nawet w najcięższych aktualnych terminach. Pozazdrościć tego można...

- Termina jeszcze za górą...

- Z której się rychło potoczą ku nam... O dla Boga! Stałem w przejściu, zapominając o mojej synowicy... Pójdźże, pójdź...

Usunął laskawie na bok swą dostojną postać, za którą ukazała się niewielka, zakłopotana kobietka w czepcu wdowim wiązany pod brodą.

- Powitali ją wszyscy jak dobrą znajomą. Panna Kunegunda szepnęła Slotyle w ucho:

- To ta, co miała trzech mężów...

- Trzech? - powtórzył pan Filip ze zdumieniem. Snadziej by uwierzył, że nie miała żadnego, tak młodo wyglądała.

- Pierwszy był Brochowicz Kącki, drugi Dołęga, a trzeci Niesoba...

Wszystko ogniste kawalery... Rychło im jakoś się zmarło. Teraz już czwartego nie znajdzie, boją się jej, że nieszczęście przynosi...

Weszła pani domu. Tuż przed drzwiami oddała widocznie niańce małego

Pawłucia, gdyż słyhać było jak dziecko drze się: "Do mamy! do mamy!" Za gospodynią dziewczęta wniosły tace z poczęstunkiem. Miód dobry, wystawy, śliwki z anyżkiem i pierniki według toruńskiego sekretu.

- Przedni miód - chwalił chorąży - szkoda, żeby go wypili pogany.

- Ja go też trzy beczki jeszcze przódzi do zamku odwiozłem, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Zda się, że rychło i my tam podążym. Zbaraż wzięty, jak już pewno sąsiad dobrodziej wiesz. Turki stoją pod Wiśniowcem, Załzcami i Brodami.

- Aha, tamtędy na Lwów zachodzą, nas jakby umyślnie okrążając?... Choć doma najlepiej, lepszy słomiany żywot niż jedwabna śmierć. Ładuję jurto rodzinę na wozy i z waszmość panem podążym. Jegomość Slotyło z nami.

Jegomość Slotyło, człek wielkiego animuszu, spod Gołębia przybył tutaj dla uciechy walki...

- Nie może być? - szepnęła młoda potrójna wdowa.

Spojrzała na Slotylę z wyrazem, który równie dobrze mógł być podziwem i

uznaniem, jak zdumieniem, że ktokolwiek mając spokojny ką, daleki od

wojny, porzuca go bez przymusu. Pan Filip zrozumiał spojrzenie jako podziw

i zmieszal się, co czynił zwykle, gdy sądził, że ludzie mają o nim lepsze

pojęcie, niż na nie zasługuje. Chciał też zaraz wyjaśnić, wytłumaczyć, ale przy pierwszych słowach ugryzł się w język i zamilkł. Tłumaczyć się, to znaczy opowiedzieć najpierw o nieszczęściu Jarosza, a potem Wilczka. Bo wszakże te dwa powody, a nie odwaga, sprowadziły go aż tutaj.

Ale mówić o nich nie można. Na razie musi udawać bohatera. Bohatera!

Roześmiał się sam z siebie.

- Z czego waszmość się śmiejesz? - zapytała Niesobina, czekająca cierpliwie na zapowiedziane wyjaśnienie.

Pan Filip nie zdążył odpowiedzieć, bo starszy Wilczek skoczył przez okno do izby.

- Gore gdzieś daleko! Gore! - zawołał.

- A Słowo stało się Ciałem!

Wybiegli wszyscy przed dom. Mrok już zapadł i na ciemnobłękitnym, przejrzystym tle nieba odcinała się jaskrawo złowroga różowość luny.

Drżała, zataczała szerokie półkole, wynosiła się wysoko. Musiało się na nią złożyć wiele strzech, wiele stodół, brogów i chat...

- O wilku mowa a wilk przed chałupą - westchnął miecznik. - To orda. Pod Mikulińce widno już podeszli...

`tc

Rozdział Xii:

Przyszła kreska...

`tc

Miasto Trembowla, starożytne i niegdyś zamożne, nie podźwignęło się dotąd po kilkakrotnym zniszczeniu, jakiego doznało w czasie rebelii kozackiej.

Zniszczenie owo było tak wielkie, że według lustracji z 1664 roku, w nowym mieście z poprzedniej liczby 136 domów ocalało zdalnych do użytku siedemnaście, a starym mieście z 268 - siedem. Trochę tę ruinę podniesiono, żydzi nieco klitek nastawiali, ale nie bardzo, bo czasy nie sprzyjały odbudowie. Pośród wypalonych uliczek, placów niegdyś zabudowanych, obecnie zarosły trawą, wznosił się jedynie obronny kamienny klasztor ojców Karmelitów, który już niejedyn raz najazd zwycięsko wytrzymał dając schronienie miejscowej ludności. Tureckie i kozackie kule gęsto tkwiły w jego murach. Ojcowie nie wyluskiwali ich. Niech zostają na pamiątkę. Równie jak klasztoru, zniszczenie nie dotknęło zamku panującego wysoko nad okolicą. Stawiany niegdyś, niegdyś, za Bolesława Śmiałego przez książąt ruskich Rościszawiczów, potem zrujnowany, został odbudowany i powiększony przez Kazimierza Wielkiego. Król Ludwik osadził w nim węgierską załogę, która po jego śmierci poddać się Jagielle nie chciała. Trzeba ją było z niemalym trudem wypierać. Już wtedy okazały się zalety obronne tej twierdzy. W ciągu następnych wieków nieraz były wypróbowywane i powszechnie mawiano, że Trembowla jednemu Kamieńcowi pokłonić się może. Oceniając to znaczenie królowie dbali o dobre podtrzymanie Trembowli, o zabezpieczenie murów. W 1672 roku starosta, pan Rafał Makowiecki, włożył znaczny majątek w

odnowienie gmachu i sprawienie nowych dział.

Samo położenie twierdzy było szczęśliwie wybrane. Zamek zajmował

wysokie,

strome urwisko, z jednej tylko, północnej strony przechodzące w

płaszczyznę. Z zachodniej omywał urwisko potok zwany Peczenija, tuż pod

zamkiem wpadający do rzeczki Gniezny, uchodzącej o ćwierć mili dalej do

Seretu. Potrójny węzeł wód, bystrych, gwałtownie po deszczach wzbierający,

wyżłobił głęboką dolinę i utworzył urwisko, na którym twierdza rozpięta

się bezpiecznie. Nagie stoki góry ukazywały szarą, miejscami czerwoną

skalę, lupiącą się w równe płyty. Jedna dostępna strona wzgórza była

umocniona podwójnym murem i rondlem. Za osłoną rondla znajdowała się

brama

potężna ze skarbczykiem, w którym przechowywano w razie

niebezpieczeństwa

akta grodzkie i księgi ziemi trembowelskiej. Na narożnikach wznosiły się

baszty. Ta strona zamku była najszersza. W przeciwnym końcu, na ostrodze

skąły, pięcioboczny nieregularny kształt twierdzy zamykał krągły, podłużny

bastion o niewiarygodnie grubych murach. Zwieńczona blankami ściana,

biegnąca od bastionu do baszt i bramy, posiadała trzy rzędy strzelnic tak

umieszczonych, że w każdej można było krzyżowym ogniem razić

przeciwnika,

samemu nie będąc na strzał wystawionym. Wewnątrz dziedzińca potrójne

ganki

obiegały mury, dając dostęp do strzelnic i ciasnych izdebek mieszkalnych

przeznaczonych dla załogi. Dział było piętnaście, wszystkie w dobrym stanie, w tym trzy wielkiego kalibru.

Po lewej stronie bramy wznosił się budynek mieszkalny z ciosowego kamienia, kryty gontem. Zabieглиwość hojnego starosty Makowieckiego zaopatrzyła go w porządne kominki i drzwi stolarskiej roboty. Pod gmachem znajdowały się głębokie, kute w skale piwnice. Od jednej z nich biegł wąski, tajny korytarz, zagłębiał się w ziemię i prowadził nie wiedzieć dokąd. W najniższym miejscu zabierała się w nim woda utrudniając zbadanie dalszego jego biegu. Pośrodku dziedzińca, pod daszkiem gontowym stał najcenniejszy skarb twierdzy: studnia bogata w doskonałą wodę źródlaną. Studnia, bodaj że za czasów Rościsławiczów żłobiona w skale, była niezmiernie głęboka i długo należało odwijać kołowrót z łańcuchem, nim wiadro w odległej głębi plusnęło o wodę. Dzięki tej studni łatwiej przychodziło znosić każde oblężenie. Większość bowiem innych zamków doprowadzała wodę bądź to rurami, bądź posiadała zbiorniki na deszczówkę, co groziło zawsze przecięciem lub wyczerpaniem wody.

Załogę Trembowli stanowił regiment pieszych dragonów pułkownika Karczewskiego, oboźnego brata podczaszego sanockiego, Komendę sprawował podstarości trembowelski, pan Tomasz Kozłowski.

Gdy miecznik Biliński z rodziną, chorąży Ożga z synowicą, pan Słotyło z Kostkiem i swymi ludźmi przybyli do Trembowli, zamek był już wypełniony uchodźcami. Szlachta okoliczna, mieszczenie, żydzi, chłopci, zakonnicy.

Dziedziniec zawalony był betami i tobołami. Ludzie obozowali na gankach w

poblizu strzelnic. Od babskiego gwaru i dziecięcego pisku aż gielczało.

Liczne te rzesze przesiadywały na murach, wyzierały przez nie zamkniętą jeszcze furtę, biegały do miasta lub do sąsiednich wsi po resztę rzeczy i czekały nieprzyjaciela.

Nieprzyjaciela wciąż jeszcze nie było. Wprawdzie co noc niebo różowiło się to bliższym, to dalszym odblaskiem pożarów, lecz ranny świt ukazywał wolne od najeźdźców pola, a dzwonek w klasztorze ojców Karmelitów wzywał na

Mszę jak co rana. Rzeźwy ten dźwięk dodawał otuchy, ploszył strachy i zwidy nocne, budził nadzieję, że na obawie się skończy.

Korzystając z panującego spokoju pan Filip udał się w odwiedzinę do poznanego w Zamościu przeora Karmelitów, ojca Januarego Raczkowskiego.

Zakonnik przyjął go serdecznie, wydał się jednak Słotyło niespokojnym i przygnębionym.

- Nieraz już nasz klasztor opierał się nieprzyjacielowi - mówił ukazując tkwiące w ścianach kule - teraz jednak, gdy nieprzyjaciel podejdzie, przejdziemy do zamku. Żal ostawiać kościół na zniszczenie, ale wszystkie świętości ukryjem lub zabierzem, a widzi mi się, że moja obecność w twierdzy może być pomocą...

Pan Słotyło trochę się zdziwił, lecz nie śmiał zapytać, na co.

- Dużo podobno ludzi w zamku? - pytał przeor.

- O, bardzo dużo. Przez dziedziniec przejść niesposób...

- Otóż to, otóż to - westchnął przeor. - Pan Kozłowski zacny człek, ale nigdy z Turkami nie wojował... Zdaje mu się, że Turcy to samo, co orda,

przed którą wystarczy bramy zamknąć i z dział kilka razy grzmotnąć...

Tak był tą sprawą zajęty, że nie zwracał uwagi na wykrętne pytania pana Filipa dotyczące zaginionego przed dziesięciu laty Wilczka. Czy go znalazł? Oczywiście, że znalazł. Dzielny był rycerz, szkoda, że zginął. On by się nadawał na komendanta!...

I nów wracał do obrony. Pytał, wzdychał i zapowiadał, że niedługo do zamku się przeniesie.

- Może wtedy zdołam co od niego wyciągnąć - pocieszał się pan Filip. O wyjeździe już nie myślał. Odcinające zewsząd drogę łuny w nocy a w dzień dymy nie zachęcały do wyjazdu. Zresztą w nim samym zaszła w tym czasie nieoczekiwana przemiana: Zamiast jak dotąd szukać powodów do najrychlejszego wyjazdu, poczynął śledzić przyczyny, które by ten wyjazd utrudniały. Ciasny, zatłoczony zamek, ziejący wilgocią murów, zaczął się zdawać rozkosznym miejscem pobytu. Szczególnie, jeśli się stało na murach obok pewnej młodej osoby we wdowim czepcu, dowiadując się od niej nazw widnych z dala miejscowości. Ruch ramienia, którym ukazywała kolejno dalekie przysiółki i wsie, zasługiwał na uwagę baczniejszą niż wszystko inne. Miła krągłość widnego spod skrzydeł czepca policzka nasuwała ochotę pozostania tutaj jak najdłużej.

Te nieoczekiwane wrażenia pan Filip przypisywał wyłącznie życzliwości i współczuciu, jakie w nim budziła młoda wdowa. W jej wieku tak ciężkie przejścia! Trzy pogrzeby, trzy żałoby! Biedactwo! Ludzie patrzą na nią niby na złowróbnego ptaka, jak gdyby ona była temu winna. O ludzka sprawiedliwości! Pierwszy jej mąż, Brochowicz Kąski, zginął w pojedynku

wywołanym sporem o to, kto ustrzelił ściganego przez ogary jelenia. Dołącę

krwę zalała przy uczcie, przy której założył się, że wszystkich przepije.

Zakład wygrał, ale sam na tamten świat się przeniósł. Niesobia miał

najuczciwszą śmierć: zginął pod Chocimiem. Tym wszystkim trzem

przedwczesnym zgonom cóż nieboga była winna?

**- Oho, strzeż się waść tego pierścionka, bo zginiesz - dogadywał wesoło
miecznik, zawsze pogodny.**

**- Powiadają - ciągnął sentencjonalnie miecznik - że po nieśmiałym jeźdźcu
konia, a po śmiałym mężu wdowy szkoda brać... Do waszmości przeca to się
nie stosuje, bo odwagę masz wielką, więc wal!**

- Nie pojmuje zgoła, nie pojmuje - bąkał Słotyło, czerwony jak burak.

**- Jagna też nie rozumiała, aż gdy przy ołtarzu stała... Baczym wszyscy,
co się święci... Rezolut jesteście waść, że się nie boisz... ale niewiasta jak
złoto i substancyjka niczego... Chorąży pęknie ze złości...**

- Na Boga, czemu miałby pękać?

**- Nie udawaj, lisie, barana... Póki Kasiénka w szacie wdowiej chodzi,
póki majątkiem opiekuje się chorąży... Oj, gorliwy to opiekun. Per fas et
nefas, byle było u nas... Przed kim było klucze kryć, temu w ręce dano...**

**Niewiele tam ona Kachna swoich dostatków obaczy... Zaś gdyby znów za mąż
poszła, opiekunem byłby mąż... Tedy chorąży najgłośniej odstrasza, że ona
nieszczęście przynosi...**

W panu Filipie wezbrał gniew.

- Uwierzyć trudno, że pan chorąży podobnie niecnotliwie postępował!

- Pierwsza miłość od siebie... A koszula bliższa ciała niżli synowica...

Żeń się waszmość, żeń! Wprawdzie gadają, że kto się ożeni, ten się odmieni, ale nie odmieniaj się raczej, boś dobry jakiś jest.

- Gdzie mnie o żeniaczce myśleć... Żarty sobie waszmość dobrodziej raczysz stroić!... Starym... Nigdy o niewiastach nie myślałem...

- To bardzo źle. Kto się w porę sam nie ożeni, tego wyswatuje diabeł...

- Nie pora mi już na żadne swaty, chyba z Kostuchą...

- Kiedyż stara rozpustnica właśnie woli młodych...

- Jeśli suponujesz waść, że nawet Kostucha mnie nie zechce, jakżeby jejmość pani Niesobina zechciała?...

- Bo uważałem, że mile na waści spogląda. Ona lubi rezolutnych, śmiałych kawalerów...

...Rezolutnych... śmiałych... w sercu pana Filipa wzbierał żaloszny

szloch. Jeżeli rzeczywiście, jak twierdzi miecznik, pani Kachna spogląda na niego bez wstrętu, to tylko dzięki temu, że ma go za bohatera.

Dowiedziawszy się, jakim jest tchórzem, aniby się odezwała!...

...Rezolutnych lubi... śmiałych... ognistych pojedyńkowiczów...

zadziębionych wojaków, pierwszych do szklanicy i do szabli... Gdzież tu on? Nieśmiały domator, którego największą radością cicho na swojej wsi siedzieć i patrzeć, jak dni się snują, równe niby ziarnka różańca...

...Po nieśmiałym jeźdźcu konia, a po śmiałym mężu wdowy... Oj, słusznie powiedział miecznik! Mądre są przysłowia... Nie dla Filipa Slotyły Kasia Niesobina... Nie on ją obroni przed chciwością chorążego...

Te myśli i rozważania ogarnęły pana Slotylę do tyła, że sprawa Wilczkowa nieco w jego myśli zbladła. Nie zapomniał o niej, ale nie troszczył się

równie żywo jak przedtem. Nie szukał sposobności rozmowy z miecznikową, choć obozowanie w ciasnocie i ogólna przymusowa bezczynność stwarzały częste okazje. Stolnikowicze również byliby mu całkiem wyszli z pamięci, gdyby nie wytrwałość panny Kunegundy, która mu o nich zapomnieć nie pozwalała.

-...Przerwał mi waszmość, gdy zaczęła mówić o młodszym Janie ożenionym

z Masłowską herbu Samson, córką Andrzeja i Marty Bilińskich... - prawila wyluskawszy pana Filipa z cichego załomu muru, gdzie skryty w chłodzie rozmyślał o tym, jak się niedawno sam dziwił Wickowi, jak dufał, że wiek chroni go należycie przed niewczesnymi zapalami - ...ale nie Bilińskich Sasów, naszych krewnych, jeno Lubicz Bilińskich, także niepośledniejszych, choć wiadomo, że Sas przedniejszy jest klejnot... Otóż słyszałam, co mi teraz jasno przypomniało, że Jan miał dwóch synów, z których jeden był mańkutom... Oj, nie urażaj się tym waść - zawołała żywo, opacznie zrozumiawszy machnięcie ręką pana Filipa, w rzeczywistości oznaczające, że ostatnią jego troską jest odnalezienie potomstwa stolnika... - nie urażaj się, gdyż bywali mańkuci słynący przed innymi ze sprawności bojowej, na przykład, pan starosta przemyski Paprzyca, któren rodził się z Burakowskiej, z tych Burakowskich, co się pieczętują Pękosławem... Ów starosta, także mańkut, znany był, że każdego szablą siegnął... Powiadano o nim, że idąc do boju (bo nie chciał zdradliwie nikogo ranić) powtarzał niby przyśpiewkę: "Mańkut jestem! mańkut jestem!"... Syn Jana Stolnikowicza (zda mi się, że na chrzcie świętym nazwano go Hipolitem) nie wiem, zali się

podobnie o swoim defekcie deklarował, ale cnoty był ogromnej. Skoro macierz jego miała w klejnocie Samsona, nie mógł jużci zostać ułomkiem...

Pono cztery razy stawał na kobiercu... Wnet przypomnę sobie, z kim...

Wzmianka o czterokrotnych zaślubinach ożwyiała pana Filipa, przypominając mu ulubiony obecnie przedmiot myśli. Panna Kunegunda mówiła

dalej, mówiła, deklarowała się własną wiedzą i pamięcią, ani przypuszczając, że skarby te idą na marne, miotane niby w wodę i niedoceniane. Słuchacz żeglował myślami daleko, nie słysząc nic z jej wywodów.

Katarzyna Ożdżanka, primo voto Brochowiczowa, secundo voto Dołężyna, tertio voto Niesobina, była w tym czasie równie roztargniona. Rozmyślała o swoim życiu dotychczasowym i o tym, co ono jej jeszcze przyniesie w przyszłości. Nie miała dotąd szczęścia nieboga, nie miała. Jeszcze z żadnym z kolejnych panów mężów nie zdążyła się oswoić, jeszcze nie wiedziała, jak do niego zagadać, czym go ujednać, a czym można rozzłościć, jeszcze się spłoszona i niepewna plątała po mężowskim dworze, gdy mąż umierał, a ona po

przykrych i kłopotliwych uroczystościach pogrzebowych wracała do domu.

Nieznośna stara papuga witała ją skrzekiem: "Kahsieńka!!...Kahsieńka!!", a stryj chorąży niemniej skrzekliwym głosem powiadał: "Ot i wróciłaś... zaraz

mówilem, że z tego sakramentu nic nie będzie", jak gdyby przewidział, że

Dołęga się zapije, Brochowicz z sąsiadem pokłóci, jakby to była jej, synowicy, wina!...

Nielekkie było życie ze stryjem, nielekkie, a pono już u niego zostanie do końca.

Czasem z niejakim zdziwieniem stwierdzała, że z niedawno poznanym panem

Slotylą z Drażgowa (gdzie ów Drażgów? bardzo podobno daleko) szersza jest i śmielsza jest niż z którymkolwiek z mężów, których nazwisko nosiła. Tak się przy nim bezpiecznie, spokojnie. ...Szkoda tylko - myślała - że taki ryzykant. Dom rzucił, żeby w chwili kiedy grozi wojna, jakichś zapomnianych krewniaków szukać! To nie dowodzi statku. Szkoda, szkoda... Och, ona miała dość ryzykantów, wielkiego animuszu kawalerów, ognistych rębaczy z prochu i

siarki, pierwszych do bitki i wypitki. Zazwyczaj niewiasty lubują się w takich właśnie rycerzach i nie chcą słyszeć o innych. Pani Niesobina przeto nie śmiała nigdy przyznać nikomu, że wręcz przeciwnie, marzyłaby o mężu spokojnym, łagodnym, co by do walki się nie rwał, z nikim zaczepki nie szukał, przy którym życie płynęłoby równo i cicho... Cisza... Spokojność... Marzenie, marzenie, które się nigdy nie ziści...

`pk.

Żniwa minęły, minęła połowa sierpnia, a nieprzyjaciela nadal nie było.

Tylko wieści nadchodziły coraz groźniejsze i bliższe. Któregoś dnia przeor Raczkowski przyszedł do zamku, jak to zapowiedział.

Z nietajoną troską spoglądał na wszystko wokół, nic nie mówiąc. Głową kiwał. Pan Filip zamierzał wypytywać o przyczynę frasunku, gdy przy bramie powstał ruch. Dobijali się jacyś jezdni. Na przodzie niewiasta, rosła,

prosta jak świeca, niemłoda. Wjechała przez furtę, zeskoczyła z konia i rozejrzała się bystro.

- Odpust to, czy jarmark? - zapytała gniewnie Słotylę, bo był najbliżej.

Nie rozumiał, czego chce, i uklonił się niepewnie.

- Waść tu dowódcą?

- Broń Boże! - zaprzeczył. - Dowódcą jest pan podstarości Kozłowski...

- Ślijcie. Niech zaraz przychodzi... No, prędziej!

Mógł posłać pan Filip pacholka albo wartownika, ale przerażony

rozkazującym tonem białogłowy, kopnął się sam. Podstarości siedział z miecznikiem w wieży, gdzie było najchłodniej, i opowiadali sobie ucieszne gadki. Zaciekawiony, kto by mógł przyjechać, zeszedł szybko za Słotylą.

Niewiasta stała na dziedzińcu i prętem uderzała się niecierpliwie po sukni.

- Waść dowodzisz tą babską załogą? - spytała obcesowo podstarościego.

- Jejmość dobrodziejka wybaczy, ale nie wiem, z kim mam zaszczyt...

- Komendantowa Chrzanowska jestem. Anna Dorota z rodu de Frezen.

- Kozłowski do usług. A czym godny małżonek komenderuje?

- Tą oto twierdzą. Zaraz nadejdzie. Pokaż waść kwaterę, żeby pacholcy mogli rzeczy złożyć...

- To wariatka - szepnął Kozłowski do ucha Słotyle. - Lecę po przeora.

Niech ją zmytyguje albo wyegzorcymuje...

Pobiegł. Pan Filip stał niepewnie. Nad wszystko bał się wariatów.

Niewiasta rozglądała się badawczo wokół.

- Jak wy się ruszacie! - krzyknęła do strażnika. - Czy tak warta stoi?!

Żołnierz wyprostował się śpiesznie i ujął przepisowo halabardę. Ona

patrzyła już w przeciwną stronę.

**- Do tych dział nie ma wcale dostępu. Przez ganek nikt się nie
przećśnie!**

Właśnie nadchodzili przeor z Kozłowskim i miecznikiem.

**- Trzeba tu w mig zrobić porządki - zwróciła się do nich. - Tak nie może
zostać ani godziny! Co za szczęście, że przybyłam!**

- Nie demencja? - spytał podstarośći półgłosem.

**- Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie - westchnął miecznik ze
współczuciem.**

Przeor wysunął się przed nich.

- Witajcie, jejmość dobrodziejko czcigodna! - Skąd droga?

**- Od Lwowa prosto jadę - odparła krewka niewiasta chyląc się obyczajnie
do ręki zakonnika.**

**- Od Lwowa? Przecież pani, jakie nowiny? Nic nie wiemy, co się dzieje na
świecie...**

**- Nowiny hiobowe, hiobowe - odparła swobodnie. - Takie, że już gorsze być
nie mogą. Wiśniowiec padł i Podhajce też...**

- Jezusie Królu! Maryjo Królowo! Kiedy, jakim sposobem?!

**- Wiśniowiec żydzi zdradą wydali... Myśleli, że tym się ocala, ale na złe
im poszło, bo Turcy nikogo z załogi nie żywili, z ludności też... Żydowinów
szczególnie wyrznęli, bo powiadają, że w jasyr nie warto żydów brać. Ceny
na nich nie ma, a do pracy słabi...**

- Zbaraż i Wiśniowiec! To już koniec z nami!?

- I Podhajce...

- Jejmość dobrodziejka jesteś pewna?... Nie mylisz się?...

Wzruszyła pogardliwie ramionami.

- Właśnie wskutek tych klęsk miłościwy pan mego męża komendantem

Trembowli naznaczył, lękając się słusznie, że mógłby ją podobny los

spotkać. Waćpanowie sami rozumiecie, że byłoby to ostateczną klęską

Rzeczypospolitej. Mąż mój zaraz nadejdzie. Posłano po niego do Sidorowa,

gdy ja prosto ze Lwowa przyjechałam...

Spoglądali po sobie wszyscy trzej osłupieni.

- Tylko patrzeć, jak nadejdzie - powtórzyła z naciskiem. - Tymczasem

trzeba tu co ducha ład zaprowadzić... Szczęście, że pośpieszałam...

- Wybaczy jejmość - przerwał podstarośći błady z gniewu - ale na razie ja

tu jestem komendantem i ja jeden mam prawo rządzić... Dopóki rozkazu

miłościwego pana nie obaczę...

- Waść tu głosu nie zabieraj! - wrzasnęła ostro - komendantem nie jesteś,

niczym nie jesteś, bo wystarczy spojrzeć, co tu się dzieje! Tu władzy

żadnej nie ma! Który komendant pozwoli zawalić dziedziniec w ten sposób!

Zatkać betami strzelnice! To ma być twierdza!?! Co ci ludzie robią tutaj!?!

- Schronili się w poszukiwaniu obrony...

- Niech się chronią gdzie indziej!

- Jejmość dobrodziejka - zaczął Kozłowski głosem nabrzmiałym goryczą -

jejmość dobrodziejka chciałabyś, abym wypędził tę biedotę, co z zaufaniem

pod osłonę wojsk miłościwego pana się garnie? Abym ją wydał na śmierć?...

- A na co ją wydasz, jeśli nie na śmierć?! Co ich tu lepszego czeka?!

Zresztą to nie przytulisko dla niedołęgów, tylko twierdza! Tu śmiać być tylko żołnierze! Waść nie wojski! Waści wolno myśleć o jednym, jak wytrzymać szturmy!

Podstarości obejrzał się na przeora, szukając poparcia. Ku jego niepomiernemu zdumieniu karmelita rzekł:

- Twarde to są słowa, ale słuszne.

- Każde moje słowo jest słuszne! - zagrzmiała jejmość. - Dlatego pan

Psadowski zdał Podhajce, że podobnie do waści postąpił. A Turcy, tyle ludzi

co żołnierzy, przysłali parlamentariuszy obiecując, że serdar całą ludność

puści wolno, jeżeli się zaraz poddadzą. Że szlachtę wyprowadzi pod Brzeżany

a chłopów i żydów pod Kamieniec, dla jednych i dla drugich nowe osady

zakładając... I uwierzyli! Groźbą i płaczem przymusili pana Posadowskiego,

że bramy otworzył, choć zamek dobrze był zaopatrzony.

- Ibrahim słowa nie dotrzymał? - domyślił się przeor.

- Nigdy takiej obietnicy Turek nie dotrzyma! Nigdy! Wyprowadzili

wszystkich za miasto i dopieroż starszych ścinać, młodszych w jasyr...

Miasto spalono, zrujnowano przedtem tak, że nawet groby Tatarzy

poobalali... Jak to posłyszano w Zawałowie, gdzie bronił się z dobrą armatą

pan Piotr Makowiecki, taki go strach zdjął, że się także zdał, łaski u

Ibrahama prosząc. Dostał łaskę. Z całą rodziną w niewolę poszedł...

- Boże, bądź im nieszczęsnym miłościw!

- I tu będzie to samo, mając tę całą hałastrę na głowie!

- Przecież ich nie wygonię - mruknął wściekle pan Kozłowski.

- Po coś puszczał? Teraz niech się wynoszą lub poddadzą rozkazom!... Kto

pożyteczny w obronie, zostanie na murach i musi wiedzieć, co ma robić; kto

niezdalny, w piwnicy niech siedzi z dziećmi, miejsca tu nie zabierając!...

- Przecie jeszcze nieprzyjaciela nie ma!

- To rozporządzenie wydałbyś dopiero wtedy, kiedy już nadejdzie? Rychły czas!

- Biada temu domowi, gdzie dowodzie krowa wołowi - zauważył oderwanie miecznik.

Pan Kozłowski spoglądał istotnie jak wół. Sapał. Zebrał się w sobie i zaczął:

- Niesłychaną jest cierpliwość, z jaką pozwalam jejmości język

niewstrzeźliwy rozpuszczać. Dość już tego. Jejmość dobrodziejka nie masz

tu nic do gadania...

Tupnęła gniewnie nogą.

- A kto ma do gadania, jeśli nie ja? Komendantową jestem!

- Nie widziałem rozkazu.

- Obaczysz waść go rychlej, niż przypuszczasz... Oto już jadą! - dodała radośnie, ukazując wspinających się pod górę po stromej drodze jeźdźców. -

Oto mój mąż! Prezentuj broń! - krzyknęła gromko do straży. Sama wysunęła się naprzód, jak gdyby była dowódcą.

- Ależ baba! - mruknął miecznik.

- Daj Boże, aby mąż jej był równy w energii - westchnął przeor.

- Ojczye wielebny! Nie uchowałby się przy niej! Zatlukłoby jedno drugiego!

Wbrew tym obawom miecznika,, pułkownik Jan Samuel Chrzanowski,

wjeżdżający właśnie w bramę, nie okazywał braku energii. Twarz miał smagłą,

że brano go nieraz za Wołocha lub Ormianina, suchą, zawziętą, spokojną.

Zeskoczył zręcznie z dzianeta, rzucił wodze pacholkowi i donośnym głosem

zapytał:

- Z rozkazu miłościwego pana: kto tu jest dowódcą?

- Ja - rzekł gniewnie pan Kozłowski.

- Czolem! Ze względu na srogie terminy w najbliższej przyszłości grożące

Miłościwy pan przysłał mnie do pomocy waszmości...

- Ładna pomoc! - parsknął jejmość - władzę masz objąć i koniec...

- Tuszę - mówił nie zwracając na nią uwagi Chrzanowski - że o

kompetencje nie będziemy się spierać...

Jakiż spór o kompetencję mógłby zajść między pułkownikiem a

podstarościm? Powiedzenie było czystą retoryką. Niemniej dworna

uprzejmość

pana Chrzanowskiego sprawiła szczerą ulgę podstaroścemu. Gorycz i gniew,

przepelniające jego serce, cokolwiek zelżały.

Nie zelżała jednak uraza do pułkownikowej. Załatwiwszy sprawę służbową

pan Chrzanowski teraz dopiero sunął ku żonie, witając się z nią z atencją,

potem z przeorem i obecnymi panami.

- Poniektóre dyspozycje już wydałam - oznajmiła mu pani. - Spójrz, co tu

się dzieje! Byłoby gorzej niż w Podhajcach.

Pułkownik spojrział za jej ruchem i nagle ze zdziwieniem zatrzymał wzrok

na stojącym opodal Kostku.

- A ty, mały, jakim sposobem mnie wyprzedziłeś? - zapytał.

Zdumiał się Kostek. Zdumieli się pozostali.

- Toż ten chłopaczyna - rzekł miecznik - od początku tu z nami jest...

**- Jak to, tu, kiedy ja go zostawiłem w Sidorowie, z tym opiekunem
brodaczem, co od Turków zbiegł?...**

Kostek roześmiał się wesoło.

- Jegomościu pułkowniku, to nie ja, tylko mój brat.

- Brat, takiż podobny? Przysięgłbym, żeś to ty był...

Pan Filip zmieszał się i zaczerwienił jak dziewczyna. Na szczęście, nikt

na niego nie zwracał uwagi. Pułkownik prosił podstarościego, by mu twierdzą

pokazał. Z namarszczoną brwią, ze skupionym spojrzeniem obchodził

komory z

prochem, ganki, lochy i izby mieszkalne. Próbował każdego działą, sprawdzał

każdy zawór. Mówił mało. Skąpe uwagi, jakie rzucal, były tak słuszne i

ścisle, że towarzyszącemu im przeorowi serce rosło i dziękował w duszy Bogu

za zmianę.

Pan Kozłowski usiłował iść tuż za pułkownikiem, uważając, że to miejsce

mu się słusznie należy. Pani Anna Dorota jednak usunęła go spokojnie i sama

szła przy mężu. Przeor obok. Wypchnięty na sam koniec podstarości,

dotychczasowy dowódca, dreptał koło mieznika, chorążego (który nadszedł

w

międzyczasie) oraz Słotyły, zwierając się półgłosem ze swego słusznego

rankoru.

- Podobny despekt jeszcze nigdy nikogo nie spotkał... Słyszeliście, jak

na mnie napadła?... Niby na pacholka? A ja uczciwą nominację przez pana

Karczewskiego podpisaną mam... No, ładne się tu zaczął rządzą! Pułkownik

wygląda na spokojnego człowieka, ale ona nim trzęsie pewnikiem.

- Gdzie donica rządzi, tam wiercimak błądzi - przypominał sobie miecznik.

- Obaczycie, co tu będzie, obaczycie.

Lustracja była niezmiernie szczegółowa, trwała nieomal do zmroku. O

zmroku pułkownik zabrał podstarościego, przeora i paru starszych

szlachciców na radę. Żony nie potrzebował zabierać. Poszła sama. Wołano i

pana Filipa, ale podziękował. Czym mógłbym pomóc na radzie? Ani się na

wojennym rzemiośle nie znam, ani śmiały głos zabierać. Poszedł do

ulubionego kącika na murze, w załomie baszty.

Siedział tam, myśląc leniwo, gdy tuż za nim rozległy się lekkie

niewieście kroki. Wyraźnie ktoś szedł ku niemu. Na myśl, że to może pani

Niesobina, zrobiło mu się gorąco. Odwrócił nieśmiało głowę. I zdumiał. Tuż

za nim stała miecznikowa Bilińska z małym Pawłusiem na rękach.

Podskoczył by ją powitać.

- Zali mógłbym być w czym pomocny jejmość dobrodziejce?

Potrząsnęła głową przecząco i usiadła obok niego. Nieśmiałość walczyła w

niej z chęcią rozpoczęcia rozmowy. Ukazując w dali stronę, gdzie leżała

Sokołema, mówiła:

- Dnie mijają, Turka nie ma, a my tu po próżnicy siedzimy... W domu

wszystko niszczy... I ziół już minie pora zbierania i owoców suszenia...

- Tak, rzeczywiście tak - przytwierdził.

Chciał ją zapytać, czy słyszała o upadku Podhajca i Wiśniowca, lecz zaraz

pożałował. Z taką miłością spogląda na swoje dzieciątko! Jeżeli nie wie, po

co jej próżnego lęku przyczyniać? Niech lepiej myśli, że Turcy nie przyjdą.

Ona zaczęła jak gdyby z wysiłkiem:

- Nigdy waszmość nie mówileś, że masz drugiego wychowanka, któren z wami

nie przyjechał?

- Ja? Mam jednego, bo tamten do husarzy wstąpił.

- Pułkownik o husarzu powiadał?

- Nnie... nie wiem... Może o trzeci?... Kościńskich jest dużo...

- A ów brodacz, co z Turcji uciekł? To waści znajomy? Przyjaciel!?

- Uchowaj Boże! Ani go znam, ani o nim wiem...

- Nie znasz go waść? - pytała rozczarowana. - Myślałam, że skoro opiekuje się bratem waści wychowanka, to wiesz, co zacz?

- Nie wiem. Pierwszy raz o nim słyszałem. A dlaczego jejmość o to pytasz?

Nie odpowiedziała od razu. Dziecko kręciło się niespokojnie, mając dość siedzenia na miejscu. Aby je zająć, dała mu jałomużniczkę wiszącą u pasa, pełną kluczy i różnych drobiazgów. Dzieciak rozweselił się i brząkał woreczkiem, potrząsając nim ochoczo.

- Dlaczego ja pytam?... - powtórzyła po chwili Bilińska jak spóźnione echo.

- Masz jejmość w Turcji kogo bliskiego, zaginionego? - usiłował dopomóc jej Słotyło.

- Pierwszy mój mąż zginął w potyczce temu przeszło dziesięć lat... Co się naszukałam, natrapiałam, żeby jego ciało odnaleźć! Bo Tatarzy je zabrali...

- Jeśli szukanie nie pomogło dziesięć lat temu, to gdzież dziś?!

- Ja wiem... jeno...

Zaplotła ręce i spojrzała błagalnie.

- Nic waść nie wiesz o onym, którego pułkownik wspominał?

- Nic nie wiem - kłamał rozpaczliwie pan Słotyło.

- Ani jak się zowie?

- Ani jak się zowie.

Milczeli chwilę. Mrok zapadał powoli. Mały ucieszył się. Trzymając w zaciśniętej piąstce woreczek, ułożył się wygodnie w ramionach matczynych jak w gnieździe i usypiał. Matka kołysała go z lekka, pochylając się naprzód, i w tył całym ciałem.

- Rok temu - zaczęła nagle głosem przyciszonym - rok temu... Nie, będzie więcej jak rok, bo Pawłuś miał już trzy miesiące, przychodził do nas jakiś obcy zakonnik i wypytywał szafarkę i służbę o wszystko... Co się w domu dzieje?... Kto w nim mieszka?...

- Mnichy zawsze są ciekawe...

- To nie był zwykły mnich... I ze mną rozmawiał. Pytał, jak się stało, że pierwszy mąż zginął... Kiedy za drugiego poszłam?... Wypytawszy, poszedł...

- Nie widzę jeszcze, czym by się trza kłopotać?

- A bo mi później powiedziano, że takie habity noszą jałomużnicy trudniący się wykupywaniem jeńców...

- No, więc co? Miał w okolicy jakąś sprawę, więc zaszedł popasać. A skoro był, to się pytał... Toć proste...

- Mnie się to nie widzi proste... Od tego czasu ani chwili spokoju nie mam... Jeżeli on żyje? żyje?... Nie widziałam go martwego... Dawałam na

Mszę za duszę jego, czy żyw jest, czy zmarł... Zaręczali mi wszyscy, że nie żyje... Aż ten zakonnik...

- Gdyby tak było istotnie - zaproponował Słotyło - zakonnik pierwszy by powiedział, tajemnicy nie czyniąc...

- Tak waść myślisz?...

- Nikt nie pomyśli inaczej...

- Bóg zapłać. Może ja się naprawdę niepotrzebnie dręcę?... O, Pawłuś zasnął... Biedactwo najdroższe... Nic nie wie...

Przytuliła dziecko i odeszła. Pan Filip spoglądał za nią zatroskany. Na ziemi w mroku coś bieląło. Nachylił się. Raptularzyk! Dziecko musiało go w zabawie wytrząsnąć z woreczka. W pierwszym momencie chciał dogonić miecznikową i wręczyć jej zgubę, lecz nie chciało mu się biec. "Dziś wieczór pewnie nawet nie zauważy, że go zgubiła - pomyślał - a oddam jej jutro rano.

`pk.

Rada, na którą nowy komendant wezwał poważniejszych mieszkańców twierdzy,

przeciągnęła się do późna w noc i przyniosła szereg zmian. Dotychczas znajdujący się w zamku uchodźcy koczowali, gdzie się dało, nie troszcząc się o innych i nie wiedząc nic o sobie wzajemnie. Szlachta osobno, mieszczenie osobno, biedota osobno.

- Tak nie może trwać dłużej - oznajmił pan Chrzanowski. - Kto zdatny do walki na murach, zostaje żołnierzem i tam stanie, gdzie mu będzie poruczone. Żadnych różnic wśród waściów nie będę uznawał, nawet

najbardziej

należnych, bo periculum in mora i nie czas o tym myśleć, jak kto jest urodzon. I posłuch jeden dla wszystkich. Za nieposłuszeństwo śmiercią będę krał, bo zguba z niego wychodzi. Ci, którzy do boju z przyczyny wieku czy kompleksji nie są zdadni, otrzymają inne zajęcie. Roboty nie brak, a to koło porządków fortecznych, a to koło obrządzania kono...

- Od czegoż pacholkuwie? - jęknął z oburzeniem burmistrz miasta

Trembowli, sławetny imć Tabarowicz.

- Pacholcy pójdą na mury... Obrządzanie koni, ciągnięcie wody... Wody musim mieć znaczny zapas, bo pierwszym usiłowaniem nieprzyjaciela będzie wzniesienie pożaru. Do gaszenia ognia przeznaczymy osobno zręcznych i śmiałych ludzi, którzy na dachach w pogotowiu czuwać będą... Co do niewiast, moja żona weźmie nad nimi dowództwo...

- Wezmę - zapewniła głębokim głosem komendantowa.

- W czymże mdła pleć może być pomocna? - zdziwił się podstarość.

Pani Anna Dorota zmierzyła go ostrym wzrokiem.

- Strawę warzyć dla całej załogi i na mury ją podawać - jęła wyliczać jednym tchem - szmaty prać... Dziećmi się opiekować, do czego diwe, a najwyżej trzy się przeznaczy... Dam im na schronisko najlepszy sklep pod zamkiem, gdzie kula nie sięgnie, , ani będą komu zwadą... Pozostałe zaraz jutro rano wezmę do przygotowywania izby dla rannych, skubania szarpi i rozesłania słomy, a węzłówek...

- Skąd tyle węzłówek weźmie jejmość dobrodziejka, toć załoga bez nich sypia, pięść pod głowę podkładając...

- Ranny musi mieć wygodę, a betów dosyć leży na dziedzińcu...

- To prywatna własność tych, co się schronili...

Krewka niewiasta uderzyła pięścią w stół.

- Tu nie ma własności prywatnej, mości podstarości! Tu jest obrona!

Pan Kozłowski spojrział pytająco na komendanta:

- Mości dowódco, słyszysz ja dobrze?

- Moja żona ma słuszość - przytaknął Chrzanowski. - Wszystkie tu rzeczy

zwiezione użyję lekkim sercem do obrony, nie pytając właścicieli. Nie może

tu być innego względu, kromia wytężonego starania utrzymania twierdzy aż

do

przyjścia pomocy miłościwego pana. Tę pomoc otrzymamy niechybnie.

Miłościwy

pan gotuje się do walnej bitwy pod Lwowem. Miłościwy pan nie został jeszcze

zwyciężony. W Bogu nadzieja, że wyjdzie i teraz zwyciężcą. Wtedy pośpieszy

ku nam. Byle do tego czasu wytrwać. Złączywszy nasze wysiłki, viribus

unitis przełamiemy wroga, Nikt nie śmie pozostać bezczynny. Choćby dlatego,

że ci, co zajęcia nie mają, najprędzej się ploszą i wśród innych lęk

szerzą. Te wszystkie zarządzenia wejdą w siłę od jutra rana. Ilekroć

zajdzie potrzeba, wezwę waszmościów, by się z wami nowinami podzielić i

zdania wysłuchać. Deklaruję jednak zawczasu, że postępować będę tak, jak

sam uznam za stosowne, nie zawsze licząc się z waszym głosem. Komu by te

moje słowa nie były w smak, niech odjeżdża, póki nieprzyjaciel jeszcze

twierdzy nie otoczył i droga wolna.

Chrzanowski umilkł i rozejrzał się w koło wyczekująco. Zmroziły

wszystkich te twarde słowa, ale nikt nie kwapił się wyjeżdżać. Więc podjął:

- By czasu nie tracić, rozdzielimy stante pede zajęcia między tych, co tu są obecni. Jegomość Kozłowski będziesz moim zastępcą. Waśc - zwrócił się do miecznika - czego się podejmujesz?

- Lepszy żołnierz zbrojny aniżeli strojny - odparł pan Biliński. - Mam najgorszego garłacza. Strzelam dobrze. Na wale stojąc, tuszę, że niejednego poganina położę...

- Dobrze. Na mury. Waśc, mości chorąży?

- Ja? - zastanowił się pan Oźga - jużci że nie na poślednie stanowisko...

Dowodzić mógłbym częścią załogi...

- Do dowodzenia będziemy my dwaj, podstarości i ja. W wojsku służyłeś waśc?

- Nie służyłem, ale szlachcic zna wojenne rzemiosło z przyrodzenia, zaletą cnotliwej krwi.

- Nie zawsze. Kto sam nie służył, nie może dowodzić. Więc jaką funkcję bierzesz waśc?

- Przecież nie mogę pośledniejszej... - powtórzył bezradnie pan Oźga.

- Tu nie ma lichtszej lub przedniejszej. Wszystkie służą wspólnej sprawie.

Czekam.

Pan chorąży zagryzał wąsa. Na koniec rzekł:

- Mógłbym... mógłbym... być parlamentariuszem...

- Nie mam zamiaru parlamentować z Turkami. Obsługę działą znasz?

- Nie...

- Z łuku z rusznicy strzelasz?...

- Nnnnie...

- Tedy przeznaczym cię do porządków.

- Za nic! - krzyknął urażony chorążę zrywając się na równe nogi.

- Wyjeżdżaj w takim razie. Nie masz tu co robić.

Chorążę poczerwieniał jak burak.

- A wyjadę, żebyś waść wiedział, że wyjadę... Jeno zaświta, wyjadę...

Wolę w paszczę wroga jechać niż tu ostawać, gdzie mnie ubligli spotykają...

- Ostań, waszmość dobrodziej, nie żadna znów ubliga - tłumaczył miecznik.

- Gniewa się baba na targ, a targ o tym nie wie. Komu szkodzisz? sobie...

- Wyjadę - upierał się chorążę. - Zaraz synowicę zbudzę, żeby luby

pakowała.

- Nie zatrzymuję. Z Bogiem - rzekł obojętnie Chrzanowski.

I dalej jął każdemu rozdzielać robotę. Nikt już nie oponował. Chorążę

siedział nadaśany, osowiały. Zbierało mu się na płacz. Okropnie bał się

wyjeżdżać i żywnie pragnął, by go komendant poprosił o zostanie. Urażona

próżność walczyła w nim z obawą. Znienawidził Chrzanowskiego.

- Pojadę - powtórzył głośno z dziecinnym uporem. - Statków zmywać nie

będę. Pojadę.

Jakoż nazajutrz rano pani Niesobina przebiegła pożegnać się z

przyjacielem. Pan Filip, który nic o zamierzonym wyjeździe nie wiedział,

poczuł, że nogi się pod nim chwieją.

- Rany boskie! Co się stało? Tak nagle? Dlaczego?

Z trudem powstrzymując łzy, pani Kasia opowiedziała, co zaszło wczoraj (a

co знаła tylko z relacji stryjowej).

- Mnie się też dzisiaj pytano, co będę czynił - zauważył pan Słotyło. -

Powiedziałem, żeby mnie przeznaczili, do czego chcą. Że może być taka robota, której nikt inny podjąć się nie chce...

Niesobina spojrziała na niego z podziwem.

- Waszmość zawsze gotów jesteś do niezwykłych rzeczy.

- Cóż znowu! - zaprzeczył żywo - ja właśnie myślałem o najskromniejszych.

Lecz mniejsza o mnie... Jejmość dobrodziejka nie możesz wyjechać! Boże mój!

A toż was Turcy ani chybi ogarnął... I myśleć o tym nie mogę... Pani złocista... Tatarzy... Na arkan... w jasyr... Zbawicielu! Niech stryj sam jedzie, a pani ostań!...

- Nie zgodzi się... A innego wszak opiekuna niż stryj nie mam...

Powiedziała te słowa cicho i łzawo, i serce Słotyły zalała niewysłowiona żalność, że nie on tym opiekunem, że nie ma prawa o nią się zastawić...

- Może chorąży dalby się uprosić, zatrzymać... Toć sam chyba widzi, że na zgubę jedzie...

- Może - przyznała. - Mnie się samej zdaje, że stryj chętnie by został, jeno mu wstyd odwoływać teraz, gdy się już z odjazdem deklarował.

- Biegnę do niego! - wykrzyknął pan Filip i pobiegł co tchu.

Chorąży zły i skwaszony gotował się rzeczywiście do wyjazdu.

- Nie rób waść szaleństwa! - zawołał pan Słotyło rozpaczliwie. - Wszyscy poproszą, ażebyś waść został!

- Wszyscy? - zapytał przeciągle podchorąży.

- Tak! Tak! Nie wyjeżdżaj waść! Tatarzy tuż, Turcy tuż... Łunę wczoraj

widać było jakby za tą górą...

- Czy to komendant waści przysłał?

- Tak, tak, komendant (nic nie robię, tylko łżę, wczora i dziś -
przemknęło Słotyle przez głowę).

Lecz chorąży rozjaśnił się.

- Zostaję w takim razie. Nie o własne bezpieczeństwo mi chodzi, lecz o
bratanicę...

- Bóg zapłać waszmości!... Bóg zapłać!...

Pan Filip powrócił uspokojony. Niebezpieczeństwo zażegnane. Śliczna pani
Niesobina, Kasia, Kasieńka, Kachna, nie odjedzie nigdzie... Nie schwyci jej
tatar na arkan... Chyba że wszyscy razem zginął tutaj w twierdzy. Wola
Boża, której się nie lza przeciwić. Śmierć wspólnie poniesiona mniej
straszna niżli niepokój.

Teraz należało odnieść raptularzyk pozostawiony przez miecznikową. Pan
Filip wziął go do ręki z ociąganiem. Ociąganie wynikało z przekonania, że
wszyscy w zamku, osobliwie Bilińscy, odkryli już jego niewczesny i śmieszny
afekt i dworują sobie w duchu. Aczkolwiek zaś skromny był pan Filip i
małego o sobie mniemania, nie lubił, by zeń drwiono.

Dla zyskania na czasie przewracał machinalnie kartki zapisane niewieścim,
niewprawnym pismem:

...Przepis doskonały na farbowanie płatków płóciennych i kitajkowych.

Kwiatów malwowych kwartę zagotować z dodatkiem soli i octu winnego dla
lepszey chwytności...

...Przepis na długie życie wypróbowany od pana starosty lwowskiego,

któren w sto dwudziestym roku życia z konia spadłszy, szwank poniósł i z tej przygody zmarł. Onże opowiadał, iż czerstwość wyborną zawdzięcza eliksirowi, od trzydziestego roku życia wiernie co dzień zażywanemu...

Następował niezmiernie długi i zawily spis potrzebnych dla mikstury ingrediencyj, a poniżej dopisek:

...Nie daj Boże, abym go kiedy zażywała!...

- O - zdziwił się pan Filip - nie chce żyć długo nieboga...

I czytał dalej:

...Gruszek w miodzie usmażono dwie ćwierci, ususzono trzy ćwierci, na ulęgałki oddano pięć ćwierci...

I zaraz potem:

...Boże, nie karz mego dziecka!...

Po czym"

...Wosku odebrano dwa kamienie, płótna cztery sztuki... Piwa przedniejszego jedną beczkę, a dwie pośledniejsze dla czeladzi...

I znów:

...Zdało mi się dziś w nocy, że stał jak żywy w komnacie i groził...

Okrutnie się boję...

Pan Filip zawstydzil się swej ciekawości i zamknął książeczkę. Z nagłym postanowieniem zawrócił do siebie.

...Tylem w ostatnich czasach nacyganił - pomyślał - że jedno łgarstwo więcej nie zaszkodzi... Nie oddam raptularzyka. Niech myśli, że go gdzie indziej zgubiła... Wilczkowi go dam. Niech pamiątkę ma...

`tc

Rozdział XIII:

Rehabilitacja

`tc

23 sierpnia wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski przysłał gońca do króla z meldunkiem, że wszystka orda stanęła na nocleg pod Lipcami, milę za Zborowem, pałac okoliczne wsie. Pułkownik Atanazy Miączyński wysłał natychmiast podjazd pod Uniów dla sprawdzenia wiadomości. Podjazd wziął parę języków, czyli zapóźnionych przy grabieży, odbitych od głównej siły Tatarów. Jednego z owych wziął własnoręcznie świeży husarz Wicek Kościński.

Zdumiony sam tym zdarzeniem, młodziak poczuł niesłychaną dumę rozpierającą mu pierś. Spoglądał na swego jeńca z ciekawością, odrazą, a zarazem z wdzięcznością, że pozwolił się ująć jemu właśnie, nie żadnemu innemu towarzyszowi. Wiódł Tatarzyna na arkanie pieczolowicie, nie chciał powierzyć nikomu, a szczęście jego przebrało miarę, gdy pułkownik wyznaczył go z kilku innymi, by jeńców odprowadzili do króla.

Jan III czekał ze zmarszczoną brwią, skupioną twarzą. Nie wiedzieć, czy poznał miłośnika sadów, chyba nie, zbyt pochłonięty ważnością chwili. Jeńcy padli na twarz przed Lwem Lechistanu, on zaś zagadał do nich po turecku, zapowiadając, że pójdą na gałąź, jeśli spróbują ukrywać cokolwiek.

Belkocząc i bijąc czołem o ziemię niezliczone pokłony, Tatarzy zapewnili, że nie ukryją niczego. Sam chan Selim Giraj z braćmi Adzi Girajem i Nuradynem oraz chanem nogajskim, ze wszystkimi bejami i murzami, z

przebrakowaną orda idą prosto na Lwów.

- Z taborem idą czy śpiesznym pochodem?

- Najśpieszniej, jak mogą, władco Lechistanu.

Każdy dwa konie dla prędkości wziął. W koszu przy jasyrze nie pozostawiono jak po jednym na dziesiątek...

- Dlaczego chan, tyle czasu stawszy pod Zbarażem, porwał się dopiero teraz i idzie z takim pośpiechem?

- Nie nam o tym sądzić, władco Lechistanu, co myśli wielki i niezwyciężony chan...

Jakoż nie mogli wiedzieć ci prości lucznicy, jakie przyczyny powodowały polityką sultana i chana. Sobieski domyślał się, że Mahomet IV pcha się do walki, a wielki wezyr Kiupriuli wstrzymuje Ibrahima pod różnymi pozorami, nie chcąc wojny jesienią zaczynać. Wola sultana widocznie przemogła, skoro podjęto natarcie.

- Czy chanowi wiadomo, że sam osobiści stoję pod Lwowem?

- Nie, władco Lechistanu. Powiadają u nas, że jesteś w Warszawie, bo nie przystoi królowi siedzieć w obozie.

- Wracajcie tedy wolno do chana i powiedzcie, że tu jest. Wojska moje są nieprzeliczone, a gniew mój na jego, jeśli Turków nie odstąpi, będzie straszny.

Bili czołem ponownie, nie wierząc swym uszom, że są wolni, król zaś obrócił się do stojących za nim rotmistrzów i rzekł:

- A no, sprawiajcie swoje "wojska nieprzeliczone", bo zdaje mi się, że ino patrzeć, jak tu nieprzyjaciel będzie...

Z uprzejmym uśmiechem skinał jeszcze głową towarzyszom, którzy

przywiedli

"języki". To pocieszyło nieco Wicka po konieczności rozstania się ze swym jeńcem.

Husarze nie zdążyli odejść, gdy nadbiegł nowy goniec wojewody ruskiego:

Wczoraj od dziewiątej rano do drugiej po południu chan ze wszystkimi

wojskami obległ Złoczów, następując na zamek z wielką zawziętością. Załoga

powitała go dobrze rozłożonym ogniem, że nie chcąc się długo bawić

(szczególnie, iż Tatarzy do szturmowania nie skwapliwi), odstąpił, ruszając

prosto na Lwów. Ino patrzeć, jak tu będzie.

...Ino patrzeć... Wnet też w całym obozie zagrały surmy na pogotowie

wojenne. Komendant miasta Eliasz Łacki i rotmistrz Lenkiewicz prosili

króla, by swoją osobę oszczędzał, zza murów kierując bitwą, ale Sobieski

roześmiał się na to

- Przestałoby mnie wojsko szanować, gdybym tak uczynił.

I zaraz kazał sobie podać Pałasza. Większe podjazdy wysłał ku Glinianom i

Winnikom. W mieście wrzało. Cechy uroczyście zajęły swe baszty. Na murach

czerniał wał ludzi. Z Wysokiego Zamku bito z dział, by ostrzec wsie

okoliczne, że nieprzyjaciel nadchodzi. Meldunki nadbiegały nieustannie, bo

król dobrą łączność uważał za najważniejszy warunek wojennego powodzenia

i

czaty były gęsto rozstawione. Nieprzyjaciel jest o trzy mile! O dwie! Już

minął Bilkę!... Jest tuż!

Słońce dopiekało ostro jak na burzę i od wschodu zbierały się groźące

chmury. Wcześniej niż Tatarzy nadbiegły, lunęły nagłymi strugami deszczu z

gradem, przybiły kurz, obmyły pole do walki. Słońce zaświeciło znowu, powietrze stało się rzeźwe i chłodne, konie w szeregach parskały na umór. Jeźdźcy zadowoleni odpowiadali: "Zdrów! zdrów!"... Nad Lwowem tęcza rozpięła całkowity łuk. Spod tęczowej bramy król wywiódł chorągwie przeciw widocznej już nawale nieprzyjacielskiej.

Plan bitwy był ustalony zawczasu. Zwykła droga, którą najeźdźcy zbliżali się do Lwowa, wiodła przez Lesienice. Tamtędy szedł Chmielnicki, tamtędy przed paru laty Kapudan Basza, oraz częste czambuły tatarskie. Ze stromego wzgórza o zboczach zarosłych krzakami, trudnych do wejścia dla pieszych, a cóż dla konnicy, za starą, murowaną karczmą, gościniec schodził głębokim wąwozem w szerokie, dogodne pole. Na przeciwnym krańcu pola był las. Król ustawił swoje siły powyżej wąwozu. Chorągwie litewskie pana Sapiehy poszły na gościniec bobrecki, na wypadek gdyby nieprzyjaciel chciał kierować tamtędy. General Korycki z częścią piechoty pilnował Winnik. Panowie Miączyński, strażnik koronny Bidziński i Hieronim Lubomirski szli przodem, za nimi król z pozostałymi siłami.

- Wcale nieźle nasi się prezentują - zauważył pan strażnik oglądając się w tył i widząc las kopij husarskich lśniących na obmytych deszczem wzgórzach.

- Rzeczywiście - przytwierdził pan Lubomirski - czy posiłki jakie nadeszły, czy co?

- Skądby nadeszły posiłki? Musiał król chodkiewiczowskiego fortelu zażyć.

Jakoż był to chodkiewiczowski fortel. Ciurom i czeladzi, których przy każdej chorągwi płała się dwakroć tyle niż towarzystwa, Sobieski kazał

wziąć kopie husarskie, a husarzom lżejsze kozackie, których była mnogość w mieście i w obozie. Rzekomych husarzy postawił na wzgórzu. Udawali silny obwód, a mogło się zdarzyć, że dopomogą do rozstrzygnięcia bitwy, jak to już nieraz bywało.

- Bitwa, o rety, bitwa! - szeptał z uniesieniem do Wicka stojący obok niego Bartłomiej Miłosz, równie młodziak.

- Aż mnie ciarki z uciechy przechodzą - odparł Kościuszczyk.

Stary wąsacz Kulesza obrócił ku nim mało widoczną pod przyłbicą twarz.

- Będzie wam uciecha, szczeniaki, za chwilę... Patrzcie, jak szybko nadchodzą...

- Czy oni zawsze tak wyją? - pytał Wicek, bo od sunącej w dole czerni szedł głos niby stada wilków goniącego trop.

- Zawsze. To tatarska maniera. Wyzwanie do tańca.

Pan Kulesza splunął z rozmachem od uroku i ujął w dłoń drzewce.

- Ej, tatarski taniec - mruknął - tatarskie zaloty... I w niebie cniłoby się człowiekowi bez nich...

Wrzawa przeciągła nadbiegającej chmury zgłuszyła dalsze słowa. Przyległa do wąwozu płaszczyna, widoczna dla stojących wyżej chorągwi polskich, pokryła się wszystka mrowiem jazdy. Buńczuki chwiały się nad szeregami, tworząc mieniącą czarno-białą linię. Rój strzał wzniósł się w powietrze niby nalot szarańczy. Słońce świeciło jaskrawo, jakby wróżąc nawrót burzy na przekór tęczy, co drgała dalej nad Lwowem to blednąc, to barwiąc się soczystym kolorem.

Pułkownik Atanazy Miączyński opuścił z trzaskiem nanośnik na twarz,

podniósł złocony buzdycan do góry:

- Jezusie! Maryjo Królowo! Bij! Zabij!

I z miejsca skoczył pędem w kierunku wąwozu zapelnionego przez nieprzyjaciela. Za nim z impetem runęła chorągiew. Ze szczękiem oręża, chrzęstem kopij, furkotem skrzydeł, kwikiem koni, wrzaskiem walczących, obie strony, napastnicy i obrońcy stłoczyli się w jedną masę. Ustawione na wzgórzu baterie grzmiały, wałąc raz za razem w gęstwą ordy stojącej poniżej wąwozu.

Lecz żelazny rozpęd pancерnej chorągwi przeczyścił gardziel, wypchnął z niej nieprzyjaciela, i działa zamilkły, gdyż husarze Miączyńskiego już wpadli na błonie. Za nimi strażnik koronny Bidzyński i Lubomirski ze swoimi chorągwiami. Przeszli wichrem wąwóz, rozwinęli się na równinie prostopadle do gościńca, lewe skrzydło wspierając o las, prawe mając zabezpieczone czuwającą nad wąwozem artylerią i rzekomymi odwodami, których kopie lśniły

w słońcu. Zaczęła się cudowna bitwa, taniec tatarski, o którym stary pan Kulesza powiadał, że cniłoby mu się w niebie bez niego. To zbiorowe, to pojedyncze utarczki i harce, wyścig w męstwie i zręczności, błyskawiczna przytomność umysłu, lotne zwroty i obroty. Baczenie na ruchy czterech, pięciu nieprzyjaciół otaczających zewsząd jednocześnie. Ten z lewej zajeżdża, tamten z prawej spisą sięga; ten, leżący już na ziemi, gotuje się nożem pęciny koniowi podciąć... Biada, husarzu, jeśli go kopią w porę do ziemi nie przypniesz jak gada. A jeszcze jeden od tyłu zachodzi... Broń się, a zarazem nacieraj, młyńcem obalaj tych z boków i z przodu; nie możesz

ani odetchnąć, ani dłoni spuścić, ani myśli zebrać, ani potu z czoła
obetrzeć... To taniec wojacki, tatarskie zaloty... Kiedyś wnukowie tych
samych rycerzy znajdą inne gry i nazwą je sportem. Będą w zespołach walczyć
zręcznością i siłą, kopiąc piłkę lub pędząc krążek po lodzie. Będą się więc
błyskawicznie, wyczuwać szóstym, nieomylnym zmysłem zamiar przeciwnika,
będą stanowić jedno ciało, choć każdy walczyć musi z własnego nakazu.
Zabawa podobna, jeno zapłatą nie będzie już krew, przegraną życie, stawką
gry - istnienie Rzeczypospolitej.

Wicek Kościński, Bartłomiej Miłosz oraz im podobni zginęliby w tych
wielkich igrzyskach rycerskich jak zając w potrzasku, gdyby starsi
towarzysze nie czuwali nad nimi nieznacznie. Niby nic, a taki Kulesza i
inni pilną uwagę dają na młodziaków. Zarybek potrzebny, szkoda, by w
pierwszej potrzebie tarczą osłonią, koniem zajadą, kopię z tyłu w należytą
chwili wysuną...

Bitwa trwa. Wszyscy dobrze już są utrudzeni, gdy czambuły tatarskie
rozsuwają się na boki. Z głębi, muskając trawę brzuchami końskimi, pędzi
sam chan Selim Giraj na czele przedniejszej jazdy. Widny z dala wielki
buńczuk naczelnego wodza i zielona chorągiew ze złotym miesiącem.

Z polskich szeregów, czekających na natarcie, wyrzywa się przeciw
nadlatującym jeden samotny człowiek. Leci, jakby był pociskiem
wystrzelonym

z katapulty. Koń jego, brudny kasztan o potężnym zadzie stulił uszy, zebrał
nogi pod siebie i sady, rzekłbyś, nie dotyka ziemi. Przy uździenicy
furkoczą wstęgi czerwone. Jeździec nie ma wcale zbroi, z mieczem w garści,

z gołą głową, spowinął się szarą czerwoną. Luźne jej końce fruwały za nim jak płomień.

- ...To infamis jakowyś! - krzyczą w szeregach - infamis swą cześć odzyskuje!

- Pan Jarosz Słotyło! - wrzeszczy Wicek - znam go!

Nie ma czasu rzec nic więcej, bo jeździec już dopadł. Podniósł konia, wspiął do góry. Kasztan jak smok wylatuje w powietrze, wali się na konne szeregi. W oczach wszystkich straceniec porywa wpół chorążego, rzuca o ziemię, wydziera mu sztandar, zieleń miesza się z czerwienią, drze się wprost do gardła chana.

Nim osłupieni Tatarzy zdążą go roznieść na szablach, w wylom przezeń uczyniony wpadają pancerni. Selim Giraj rejteruje. Jazda polska wbija się klinem w miękkie nagle cielsko ordy. Z boku nadjeżdża sam król z chorągwiami litewskimi strzegącymi dotąd Bóbrki. I na ich widok jego królewskiego znaku serce w Tatarach upada do reszty.

`pk.

Noc już zapadła, ciemna, ciepła, bezmiesięczna. Rozbita orda ucieka wszystkimi szlakami. Mniej zmęczone chorągwie idą za nią w pościg.

Rzekoma

husaria, znużona bezczynnym stanem, doprasza się prawa do boju. Dopada za

Biłą niedobitków świetnej ordy, wpycha je w bagna, w grzęzawy. Skore do natarcia, równie skore do ucieczki czambuły uciekają jak jelenie. Czerwone łuny nad Międzybóżem i Kamiennopolem znaczą drogę ich odwrotu.

- Nie zbiorą się do nowej sprawy wcześniej jak na wiosnę - wyrokuję król.

Pomimo to sam nie zsiada z konia i każe wszystkim trwać w pogotowiu, bo i popłoch, i ucieczka mogą być udane. Zresztą kto wie, czy Turcy nie nadciągają w sukurs sprzymierzeńcom? Z Turkami nie poszłoby równie łatwo.

Dopiero gdy podjazdy wracają, zaręczając, że nieprzyjaciel o swoim jeno myśli ratunku, nie o podstępie, a Turków nigdzie ani znaku - pozwala wojsku odpocząć, a sam jedzie do grodu rozświetnionego dziękczynnymi dzwony.

W dwa dni później Wicek Kościński odszukał pana Jaroszę Słotyłę. Pchnięty kilkakrotnie spisą eks-infamis leżał w grodzie pod opieką medyków, osłabiony, lecz przytomny i szczęśliwy. Sam król odwiedził go wczoraj, odwagi winszował i do czci przywrócił.

Chłopiec przypadł mu do ręki.

- To ja, jegomościu dobrodzieju, Wicek z Kośmina... Oj, pięknie to było, pięknie!... Całe wojsko patrzyło... Oj, to się jegomość pan Filip ucieszy!

- Dla niego to uczynił - uśmiechnął się ranny. - Gdzież on jest?

- Do Trembowli pojechał temu trzy niedziele.

- Do Trembowli? Po licha?

Wicek wzruszył ramionami. Nie wiedział, co skłoniło pana Filipa do wyjazdu.

- Szkoda, szkoda - westchnął chory - pilno mi go obaczyć, pocieszyć i wespół z nim doma wracać, gdy tylko król nas odpuści... Do Trembowli!... Co mu się stało? Pojadę za nim, jeśli wydobrzeję... Słabym bardzo... Ale z ciebie chłop się zrobił, no, no... W domu, pomnę, za gamonia cię

trzymali?...

- W domu?! - Wicek roześmiał się jurnym, dzielnym śmiechem. W domu to było sto lat temu. W domu to był ktoś inny, nie on. Teraz miał w uszach szum walki, w myślach zuchwałość, w kościach szczęśliwie utrudzenie. Nie miał czasu zastanawiać się nad ogromem dokonanej w nim przemiany i jej przyczynami, gdyż śpieszył się do kościoła ojców Jezuitów, gdzie panna Agnieszka Zimorowiczówna miała być wraz z matką na wotywie.

`tc

Rozdział Xiv:

Sobowtór

`tc

Tyle czasu mieszkańcy Trembowli oczekiwali daremnie nieprzyjaciela, że na koniec uwierzyli, iż nie nadejdzie on wcale. Wszakże jesień panowała w najlepsze, ranki wstawały późne i chłodne, wieczory nadbiegały wczesne.

Twardą ręką utrzymywane przez komendanta pogotowie zdawało się wszystkim

śmieszne i nużące. Wszelka łączność ze światem była zerwana i nawet okoliczne żydki nie wiedziały, co się dzieje w głębi kraju. Nie wiedziano o zwycięskiej bitwie stoczonej przed dwoma tygodniami we Lwowie, ani o tym, że rozbiecie Tatarów, którzy pierzchając przedstawiali szczupłe siły królewskie jako wielokrociowe, skłoniło Ibrahima Szyszmana do porzucenia pochodu na Lwów. Tłuszcioch byłby najchętniej poniechał wojny w tym roku w ogóle. Nie śmiał jednak stanąć przed sułtanem bez poważniejszych osiągnięć. Zdobyte już zamki postanowił zatem uwieńczyć Trembowlą. Mając w ręku

Kamieniec, i tę twierdzę, można się uważać za pana Podola.

O tym wszystkim trembowanie nie wiedzieli i wiedzieć nie mogli. I gdy 19 września w dzień św. Januarego, patrona przeora, podjazdy wysyłane codziennie przez komendanta wróciły meldując, że cała potęga turecka jest tuż, tuż za Seretem, ludziom trudno było w to uwierzyć.

Uwierzyli dopiero w parę godzin później, gdy ukazały się pierwsze oddziały tureckie. Nie pierzchliwa bura orda, lecz wspaniała armia. By wzbudzić postrach i skłonić obrońców do poddania, Ibrahim Szyszman kazał pułkom defilować przed twierdzą, zanim zajmą swe pozycje. Szli więc waląc w kotły, w dźwiękliwe piszczalki i dzwonki czarni spahisowie w białych skrzydlatych opończach, podobni do sępów, za nimi janczarowie - z chłopców chrześcijańskich, maleńkimi dziećmi w jasyr wziętych, zrekrutowani - których męstwo i zawziętość głośne były w świecie. Za nimi przeliczne pułki konne, piesze i wielbłądzie, ludzie czarni, ludzie żółci i biali. Za piechotą artyleria, sławne sultańskie działa. Szło to wszystko i szło sześć godzin, aż w oczach się ćmiło. Spoglądając ku milczącej, wyniosłej warowni, poszczególni żołnierze krzyczeli groźnie, wymachiwali szablami lub szyli z luków w powietrze. I znów szli, pstrząc się barwami, grzmiąc w kotły i brzękadła.

Komendant Chrzanowski patrzył na to chłodnym wzrokiem i w myśli liczył siły nieprzyjaciela, przy nim żona, opodal podstarości Kozłowski. Ten spoglądał na niekończącego się węża tureckich szeregów z tak rzetelnym przerażeniem, że jasnym było, że gdyby pozostał dowódcą twierdzy dotychczas, zdałby ją natychmiast bez próby oporu.

- Te działa, waszmość panie pułkowniku, widzisz te działa?! Każdy pocisk rozwali od razu mur grubszy niż ten...

- Mury mają osiem lokci i więcej. Nie rozwalą się tak łatwo.

- Choćby miały dziesięć lokci, to się nie ostoją...

- Zamiast tu bezpotrzebnie labiedzić, każ waść lepiej puszkarzom, by nie mieszkając podpalili miasto. Co się w nim poganie mają gnieździć!...

Podstarość pobiegł żywo i po chwili cały bok zamku pokrył gęsty, biały dym. Lekkie palące pociski jęły padać na opuszczone domy miasteczka. Już tu i ówdzie zaczynał się pożar. W prędcie ogarnął całe miasto. Dym i przykry zapach spalenizny wypełniły twierdzę, przesłoniły dalsze szeregi tureckie. Tylko klasztor Karmelitów stał obojętny na otaczającą go pożogę.

- Żal mi iście tego domu Bożego niszczyć - rzekł pułkownik do przeora - ale nieprzyjaciel zakwaterowawszy się w nim może nam siła dokuczać...

Przeor, przeżegnawszy się, patrzył w milczeniu, a z nim reszta zakonników, jak pan Strumillo, najlepszy puszkarz zamkowy, wstrzeliwuje się w wieżę, jak głucho jęczą pod uderzeniami pocisków klasztorne mury, jak chwieje i wali się wieża, padają odłamy gruzu na cichy wirydarz, a pęknięta ściana odsłania wewnątrz opuszczonych cel, błogosławionego przybytku wolności duszy i spokoju...

- Amen, dokonało się - rzekł przeor nieswoim głosem, gdy wieża runęła.

Pułkownik Chrzanowski nie spoglądał już w tę stronę. Klasztor zburzony przestał go obchodzić. Przez lunetę bacznie śledził rozlokowanie się nieprzyjaciela. Ależ jest tego pogaństwa, jest! Nie łatwo będzie wytrzymać.

Nazajutrz rano rozległy się trąbki. Powiewając białą płachtą zatkniętą na

pice, szło paru janczarów. Między nimi basza. Parlamentarz. Przyniósł list po polsku, ręką pana Piotra Makowieckiego, niefortunnego komendanta Zawalowa, pisany i jego pieczęcią opatrzony.

...Mnie wielce miłościwy waszmość panie pułkowniku dobrodzieju! Widząc z kompasją, jak wiele strat pociągnąć może za sobą nieużyteczna obrona, radzę waszmości, zdać się na wspaniałość sultana, jakom ja uczynił, i otworzyć bramy zamku. Nijakiej nadziei utrzymania twierdzy być nie może. Waszmości dobrodziejowi jako służałem żołnierzowi łatwo to pojąć. Nec Hercules contra plures. Wokoło twierdzy stoi sześćdziesiąt tysięcy luda, bez mała sto wielkich dział i co przedniejsi minierowie, którzy podkopami każdą warownię dostaną. Miejsze tedy, waszmość dobrodzieju, litość nad chroniącą się w zamku ludnością i nie wydawaj tej słabości na okrutny zgon. Ustąp, próżnym oporem sultana nie drażniąc. O co i miłościwy pan nie będzie mógł żywić żalu, zwłaszcza że nas chudziaków bez żadnej pomocy zostawił, całe Podole jakoby dobrowolnie na pastwę wroga wydając...

Pociemniały z gniewu pan Chrzanowski odczytał ten list starszyźnia.

- Boże, bądź miłościw kusicielowi nieszczęsnemu! - zawołał przeor.**
- W błoto wlaższy woła: bywajcie radzi ku mnie! - zacytował miecznik.**
- Odpowiedź już wykoncypowałem - rzekł pułkownik - taką oto:**

...Uprzejmy waszmość panie! Domyślając się, że nie z przyjaźni i dobrowoli doradcą pogańskim pozostajesz, suponujemy, że w niewoli przebywasz. Nie na wiele zatem zdało się odwoływanie do wspaniałości sultańskiej. Tak iż przykład waścin do tym gorętszego oporu, nie do poddania nas skłoni. Głęboko współczując haniebnej doli waścinej, kreślę

się z należną powinnością...

Przyklasnęli wszyscy, jedni gorąco, inni z ociąganiem. Parlamentarze odeszli. Wprędce też, widno po otrzymaniu odpowiedzi, w obozie wszczął się ruch. Gromady janczarów biegły z trzech stron pod górę, zachęcając się krzykiem wzajemnie.

- Z garłaczy! z garłaczy! i rusznic! - wołał komendant. - Szkoda pocisków!

Wszystkie strzelnice zabielały dymem. Janczarowie cofnęli się spłoszeni.

Kule padały wokół nich gęsto, jak otrząsane z drzewa śliwki. Ibrahim Tłuścioch, który po Zbarażu, Podhajcach, Wiśniowcu, Zawałowie spodziewał się zająć i tę twierdzę prawie bez wystrzału, zrozumiał, że zanosi się na regularne oblężenie.

...Trzeba je szybko skończyć - pomyślał - zanim król nadejdzie i chłody.

Dreszcz przebiegł przez jego spalone ciało na myśl o znienawidzonym Sobieskim i cierpkich przymrozkach podolskich.

I jeszcze tegoż dnia kazał ustawić na pozycjach działa. Prowadzono je przez miasto, przez most na rzece, ku płaskowzgórzcu łączącym zamek z równiną.

- Trafilbyś waćpan w środkowe przeszło? - pytał Chrzanowski Strumillę.

- Trafię.

- No, to wal, w imię Boże!

Pierwszy pocisk padł w rzekę. Słup wody trysnął w górę. Turcy, znajdujący się na moście, jeśli rozpaczliwie poganiać konie.

- Nic wam to nie pomoże - mruzczał zawzięcie Strumillo. Następny pocisk

trafił w środek mostu, który runął wraz z ciężarem. Ze złością ujrzał to serdar, z zazdrością Piotr Makowiecki.

Całą noc wrzała robota w tureckim obozie, a rankiem trembowlanie ujrzeli wał potężny, trzysta kroków od bramy zamkowej położony, sięgający od krawędzi do krawędzi wzgórza. Stało na nim osiem dział czerniejąc zwróconymi na zamek paszczami.

`pk.

Nieustanny huk głuży słowa, płacze myśli. Pył wapienny wgryza się w oczy, usta, nozdrza. Przykry swąd wypełnia powietrze. Dym leży nad okolicą. Otacza wieże, nie rozwiewa się ani na chwilę. Potężne kazimierzowskie mury dygocą. Jęczy skała, na której wyrosły. W izbach, przygotowanych zabięgliwie przez komendantową, pełno już rannych. Prócz rannych są i zabici. Trzeciego dnia oblężenia załoga jest już o ośmiu ludzi szczuplejsza. I czego nie przewidziano zawczasu - nie ma gdzie chować tych zmarłych. Bo nikt się nie odważa rzucać trupy za mury jak ścierwo. Jakżeż dobrych towarzyszy, co walczyli mężnie, polegli pierwsi, bez pochówku ostawić? Nie wiedząc, co począć, obrońcy składają martwe ciała w najodleglejszym, najniższym lochu zamkowym. Podwójne kowane drzwi są mocno zatrzaśnięte i krzyżem zaopatrzone. Tymczasowa katakumba. Pomimo szczelnych wrót zapach rozkładających się ciał przenikał do dolnych izb, snuł się po zamku niepewny i mdlący, groźne przypomnienie dla tych, którzy jeszcze żyli. Na murach trwała nieustanna służba. Ibrahim chciał zmęczeniem zmusić

załogę do poddania, przeto nacierał dzień i noc. Przy słońcu i przy miesiącu, rano i wieczór, co chwila rozlegało się chóralne, rytmiczne wycie, z który, janczarowie biegli pod górę. Pociski dział zamkowych, ręczna plaba zmiatały ich szybko. Od strony urwiska zamek był nie do zdobycia i serdar turecki zdawał sobie z tego sprawę. Lecz nie dbał o ludzi, których miał nadmiar, a wiedział, co znaczy dla żołnierza brak snu i chwili wytchnienia. Niech nie śpi przekłeta twierdza! Niech obrońcy jej oczu nie zmrużą. Niezależnie od ataków piechoty straszliwa artyleria sultańska grzmiała bezustannie, strzępiąc mury, rozwalając sklepienia. Więcej szkód niż zwykle pociski wyrządzały granaty, które zapalały dachy i pierwszego dnia wznieciły parę pożarów. Zaiste, było to piekło. Zdawało się, że dłużej niż godzinę nikt nie strzyma w tych warunkach, a wytrzymywali już cztery dni, ile zaś jeszcze wytrzymać przyjdzie? Rychło miłościwy pan z posiłkami nadejdzie?...

...I czy nadejdzie?... - powątpiewali tchórzliwsi.

Wśród obrońców, przedstawiających zrazu tłum jednolity, pozornie bezosobowy, zaraz pierwszego dnia zarysowały się jednostki dzielniejsze i słabsze. Ci, za których komendant Chrzanowski mógł liczyć jak na siebie samego, i ci, którymi należało się opiekować, ducha dodawać, by przed czasem nie osłabli. Tak więc nie mrużyli oczu, gdy nadlatywały kule, miecznik Biliński i panowie Stańscy z Kobyłowłok, Bieganowscy

Krasnodębscy

herbu Komorniczak i Łomniccy herbu Suchomąty, zaś Jakubowski z

Darachowa

zdążył już zadziwić całą załogę celnością swych strzałów. Zaczajony w strzelnicy z rusznicą w ręku, walił, gdy który z janczarów nieostrożnie podsunął się bliżej. Nie chybiał nigdy. Czasem przykrzyło mu się długie nabijanie, krzeszenie ognia na zapal rusznicy, przeto odstawiał ją, a chwytal staroświecki pradziadowski luk, z którego pokpiwano, gdyż luki powszechnie już wyszły z użycia. Lecz w jego ręku broń ta była groźniejsza od strzelby. Strzały następowały częściej po sobie, a były równie niechybne i dalej niosące.

Toteż wprędce janczarowie nauczyli się omijać z dala narożnik, w którym czatował niewidzialny groźny lucznik. Oni ze swej strony zasypywali mury gradem drobnych kul, pocisków miotanych z proc oraz drobnych pierzastych strzał, pozornie niewinnych, w rzeczywistości bardzo niebezpiecznych, gdyż belt ich był zaprawiony ciemierem czy jakąś inną, nieznaną trucizną. Lekkie draśnięcie wywoływało bolesne i jątrzące się rany, które nie chciały się goić. Od postrzału taką zatrutą strzałą zmarli czeladnik mularski Staszko, nad podziw mężny chłopak, i pan Leszczyński z Łoszniowa.

Upadająca ze znużenia załoga trzymała się jednak na wałach. Pani Anna Dorota Chrzanowska, szorstka i energiczna jak zwykle, obiegała mury roznosząc wodę lub polewkę z piwa. Niby przeczuciem wiedziona, zjawiała się zawsze tam, gdzie ludzie byli już u kresu sił. Wcisnąwszy w mdlejącą rękę kubek z napojem czy miską ze strawę mówiła: "Usiądź bracie, i odpocznij. Ja za ciebie postróżuję". I wzięwszy od niego broń zasiadała przy strzelnicy, dopóki tamten nie podjadł i nie wypoczął. Po czym żwawo biegła dalej.

Zwykle towarzyszyli jej przeor, Katarzyna Niesobina, dźwigająca dzbanki i

pan Filip Slotyło. Żołnierze błogosławili komendantową. Nie raził ich jej rozkazujący głośni ostre ruchy. Z samego początku nazywali ją między sobą urągliwą "ciotką", co może oznaczać równie dobrze wronę jak wiedźmę, lecz pierwszy dzień walki jeszcze nie dobiegł końca, gdy byli już gotowi zatłuc każdego, co by się w ten sposób odezwał. Z ciotki stała się matką, najlepszym matczyskiem.

Bo też, o ile była przykra dla lękliwców kryjących głowy po kątach, jak chorąży Oźga lub Kozłowski podstarości, o tyle żywiła niewyczerpaną życzliwość, troskliwość dla żołnierzy. Wszędzie była, o wszystkich pamiętała. Idąc przez dziedziniec spoglądała na lecące górą kule wyzywająco i groźnie.

- Widząc tyle rezolucji, jakżeby się człowiek bał? - wzdychał miecznik Biliński, który w tych tarapatach zapomniał o odpowiednich przysłowiach.

- Gore! Gore! - wrzeszczał z dachu jegomość Szczygielski po raz piąty tego dnia. Kostek Kościński i obaj młodzi Wilczkowie skoczyli ku niemu z wiadrami. Chlusnął wodą na dach. Pochwycili wiadra z powrotem i popędzili do studni.

- Prędeej! prędeej! - krzyczał Szczygielski, bo paliło się na dobre.

Słyszając to wołanie pan Filip, który niósł z komendantorową wiadro wody z octem przeznaczonej dla żołnierzy, zawrócił i pobiegł ku wspartej o ścianę drabinie. Znany aż nadto, świszcząco buczący odgłos rozległ się tuż nad dziedzińcem. - Padnij waść! - wrzasnął z góry Szczygielski niewidoczny pośród dymu. - Padnij! - powtórzył z drugiej strony przeor. Pan Filip zaszamotał się w miejscu bezradnie. Jeżeli padnie, rozleje wodę, a dach już

się pali. Nim się namyślił pocisk wyrznął tuż przed nim. Nie wybuchł jednak od razu. Zawirował jak bąk, potoczył się dwa kroki i zatrzymał. Z bocznego otworu wznosił się ostrzegawczy dym. - Padnij! padnij! - krzyczano przeraźliwie. Dyszkant Kasi Niesobiny wybijał się nad głosy komendantowej i przeora, pogładził rozkosznie po sercu pana Filipa. Poczul w sobie lwa, podskoczył do granatu i chlusnął nań całą zawartość wiadra. Zasyczało, zabulgotało, rozszedł się dym, swąd... Granat leżał unieruchomiony, nieszkodliwy.

- A bodajże waści! A bodaj! - wołał z uznaniem Szczygieski. - Oddaj go Strumille. Naładuje na nowo i Turkom odeśle z powrotem... Czy ja dostanę tę wodę, czy nie?!

- Już lecę! - odkrzyknął Słotyło i pobiegł co ducha. Omal nie zderzył się z chłopcami pędzącymi od studni i nie rozlał niesionej przez nich wody. Był sam oszołomiony swoim czynem. Komendantowa mówiła głośno:

- Podoba mi się, bo rezolut... Ten granat mógł nas wszystkich postrzępić... Inny by tylko o ucieczce myślał - rozejrzała się, czy podstarościego nie widać.

Kostek odniósł martwy granat puszkarzowi Strumille, który oglądał bańkę mrużąc z uznaniem.

- Jużci, że naładuję go prochem - rzekł. - Święta kula, co bieży do wroga z powrotem. W samego wezyra trafię...

- W takim razie będę każdy granat zalewał wodą i odnosił waści! - zawołał Słotyło uradowany. Przejął się tym zamiarem szczerze i kto wie, czy nie zginałby przy tym marnie, lecz zanim zdążył napełnić ponownie wiadra, nowy

granat trafił w samą studnię. Wylał brzeg ocembrowania, rozwalil kołowrót. Wielki, długi łańcuch upadł na dno studni i darmo było marzyć o wydobyciu go stamtąd. Koło dębowe poszło w drzazgi. W gorączce obłączenia ani myśleć o wykonaniu nowego. Co gorsza, pień, na którym nawijał się łańcuch, wpadł również do studni i zapadł się w niej ukosem. Pan Chrzanowski przybiegł żywo, posłyszawszy o szkodzie, i załoga po raz pierwszy ujrziała szczery frasunek i niepokój na jego twarzy. Kazał co prędzej znieść i poszczepiać wszystkie sznury, jakie były w zamku, i od suszenia bielizny, i od wiązania siana. Studnia miała przeszło sto łokci głębokości. Z trudem uzyskano odpowiednio długą linę. Ręcznie trzeba było czerpać nią wodę. Było to niezmiernie uciążliwe, zwłaszcza że zawadzał przegradzający studnię w połowie pień. Należało z wielką uwagą ciągnąć napelnione wiadro, by nie zaczepić o niego i wody nie rozlać. A jakże windować po mału, gdy zewsząd krzyczą: "Gore!" albo "Pić!" Na miłosierdzie Boskie pić!" Nie łącno, nie łącno. Kilku ludzi, pan miecznik oraz Słotyło w tej liczbie, ofiarowali się ciągnąć nieustannie od rana do wieczora na zmianę, wszystko jednak, co mogli zaczerpać, było niewystarczające. Ludzie stojący na murach, zagorzali, czarni z umęczenia, nie mogli już orzeźwić się zanurzeniem głowy w wiadro pełne chłodnej wody, odświeżyć czerwonych od dymu oczu, pełnych huku uszu, a swędu i trupiego fetoru nozdrzy. Już najmniejszą miareczką komendantowa obdzielała żołnierzy.

- Dalibóg - narzekał pan Jakubowski łucznik - niedługo będą nas poili łyżką!

- Deszcze spadną, to nalapiemy wody - pocieszała. Rrrrum!!... przerwał głos pocisku.

- Laboga! Laboga! - łamała ręce Niesobina - nie uderzyło nikogo?

- Zaraz pobiegnę, obaczę - ofiarował się Słotyło.

- Ani się waż - grzmiała komendatorowa. - Dopiero teraz gruz leci...

Łup! Łup!... Naderwany okap opadał ciężko na ziemię, rozpryskując się w odłamki. Biały wapienny pył wypełniał powietrze.

- No, tu już przy trzecich strzelnicach nie usiedzim, bo odkryte -

stwierdzała pani Anna Dorota. - Teraz możesz waść obaczyć. A z wodą będzie lepiej, gdy Bóg da, że spadnie deszcz...

- Jesienna pora, o deszcz powinno być łatwo...

Ale deszcze nie nadchodziły, a był już ósmy dzień oblężenia. Jesienna podolska pogoda, biała i złota, legła nad dymiącą twierdzą. Niezmiennie błękitne niebo zdał się nic nie wiedzieć o walkach toczonych na ziemi.

Wiatr nadwiewał babie lato z dalekich, szczęśliwych stron. Czepiało się osmalonych murów niby gońce innego świata, gdzie panowała cisza, nie huk dział.

`pk.

- Będą robili podkopy... Ani chybi będą robili podkopy - wzdychał podstarość - może już je robią? Czy my widzimy, co się dzieje za tymi osłonami? Wysadzą nas w powietrze, ani się spodziejemy, kiedy...

- Dla każdego jasne, że idziemy do zguby... - przytakiwał pan chorąży. -

Przez ślepy upór... Bo to nie męstwo, ale upór i głupota!...

- Ba, kto wie, czy Turcy nie dadzą nam po gardle, choćbyśmy się zdali?...

Niby odpowiedź na to pytanie, dziewiątego dnia oblężenia serdar Ibrahim

Szyszman przysłał nowego parlamentarza. Tym razem był nim sam pan Piotr Makowiecki, więzień turecki, dawny komendant Zawałowa. Towarzyszyło mu dwóch czauszów, z których jeden niósł białą chorągiew.

Pan Chrzanowski stał na dziedzińcu przed bramą, czekając. Twarz miał wzgardliwą. W strzelaniu zapanowała chwilowa przerwa obustronna. Dym zwolna

opadał. Odslaniał zrujnowane mury, gruz, popsutą studnię. Uporczywy trupi zapach unosił się ponad wszystko.

- Czolem - rzekł uprzejmie poseł.

Komendant nic nie odpowiedział. Makowiecki stropił się, ale nie dał tego poznać po sobie.

- Przyszedłem namawiać waszmościów do poddania - rzekł głośno. - Tuszę, iż sami o tym myślicie. Wszakże to jedna ruina!

- Tylko po wierzchu. Dolne izby, kazamaty, a co najważniejsze, działa - jeszcze dobre.

- Siły serdara Ibrahima Szyszmana są niewyczerpane. Może oblegać wać choćby parę miesięcy, a wtedy skąd weźmiecie żywność, skąd amunicję?

- Czekamy posiłków od miłościwego pana, gdyby zaś on nie zdążył, wypłoszy serdara mróz, także wielki pan.

- Nim słońce wzejdzie, rosa oczy owije. Nim się doczekacie króla lub mrozu, z zamku nie zostanie kamień na kamieniu!

- Wola Boża.

- Bóg nakazuje postępować rozsądnie i żywot szanować.

- Zawdy słyszałem, że Bóg woli tych, co umierają z honorem, niż owych, co żyją w hańbie.

Makowiecki poczerwieniał i zwrócił się do stojących wokół i słuchających uważnie obrońców:

- Biorę waszmość panów za świadków, że przyniosłem laskawość sultańską.

Zastępca jego, niezwyciężony serdar Ibrahim basza, każdego z was daruje życiem, jeżeli skłonicie komendanta do zaniechania bezużytecznego oporu.

Między słuchaczami rozległ się szmer, który można było rozmaicie tłumaczyć. Chrzanowski roześmiał się drwiąco.

- Skoro opór bezużyteczny, po co się waść fatygujesz? Zali serdarowi nie wszystko jedno, czy obejmie twierdzę dzień wcześniej, dzień później?

- Lituje się krwi darmo przelewanej - zapewnił pan Makowiecki.

- Podziwu godna ludzkość! Pierwszy raz o niej słyszałem... Czemuż serdar nie okazał jej w Podhajcach, Zbarażu, Wiśniowcu, gdzie również na jego zapewnienie ludzie się zdali i zostali wyrznięci?

- Sułtan zawsze dotrzymuje słowa - odparł Makowiecki - ukarani zostali tylko ci, którzy niewłaściwie się zachowali...

Chrzanowski podszedł do parlamentarza tuż blisko.

- A waść, waść! - syknął mu w twarz - waść, co się nikczemnego poselstwa podejmujesz, jaką zapłatę otrzymasz, zaprzanie, pogański sługo?

Piotr Makowiecki zbladł jak trup i rozejrzał się z rozpaczą wokół.

- Jeden z czausów rozumie po polsku - szepnął, jak mógł najciszej - muszę tak gadać, bo rodzina w ich ręku... Nie zdawajcie się, na miły Bóg. Powiedz to waść wszystkim, ale gdy odejdę...

W drżącym jego głosie było takie przygnębienie, że gniew pułkownika

opadł. Poczul głęboką litość dla nieszczęśliwca.

- Więc cóż mam odrzec serdarowi? - podjął parlamentarz znów głośno. -

Dotychczas wstrzymywał się on od użycia minierów, lecz gdy każe czynić podkopy, ostatnia wasza godzina nadejdzie.

- Ludzkość serca, czy twardość skały wstrzymywała dotychczas serdara od użycia min?

- Serdarowi żal niszczyć zamku.

- Przypuszczam, że go inaczej nie weźmie. Czy waszmość masz jeszcze coś do powiedzenia?

- Owszem. Niezwyciężony Ibrahim basza Aleppo daje trzy dni do namysłu. Po upływie tego czasu, choćbyście chcieli się poddać, kapitulacji nie przyjmie.

- Powiedz mu zatem, że rezygnujemy z terminu. Niech go uważa za miniony.

Możesz waść odejść.

I Piotr Makowiecki milcząc wyszedł. Po chwili zagrzmiały znów działa.

Dziedziniec wypełnił dym. Przez dym, potykając się na gruzach, podstarości przedarł się do Chrzanowskiego.

- Mości pułkowniku, racz wybaczyć moją śmiałość... Zali?... zali?...

- Zali co?

- O Boże! Przecież to jasne, że się nie utrzymamy! Przecież nie mam wody, a żywności na trzy, cztery dni najwyżej...

- Przy oszczędniejszych racjach, które od dzisiaj wprowadzę, wystarczyć musi na dziesięć!...

- Co to pomoże?! Oni nas minami wysadzą!...
- Niepotrzebnie w takim razie kłopotujemy się o żywność...
- Waść szydzisz, a tu ludzie, ludzie giną... Białogłowy... dzieci...
- Jeszcze ani jedna białogłowa nie przyszła do mnie z prośbą o kapitulację, jeno tchórze, którzy się nimi zasłaniają. Słuchaj no, mości Kozłowski! Czemu waść z rozumu wyzuty, czy rzeczywiście przypuszczasz, że w razie kapitulacji Turcy kogokolwiek z nas darują życiem?
- Przecież parlamentarz obiecał...
- Nie takie rzeczy obiecywał w Podhajcach! Klął się, że na nowe osady wszystkich przeprowadzi, że pozwoli wyjść z bronią... Ni jeden przy życiu nie został! Rozumiesz waść, ani jeden! Kilkanaście kobiet, co młodszych, pognali w jasyr, resztę wyrznęli...
- Boże! Boże! - Kozłowski ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się jak dziecko. Był nienajgorszym żołnierzem, ale to, co się działo, przekraczało jego wytrzymałość. Ten huk, ten smród, ten cmentarz pod stopami co dzień rosnący, to ustawiczne pragnienie...
- Otrząśnij się waść i powtórz wszystkim, co mi poseł tajnie szepnął, gdy blisko do niego podszedł. Że jeden z czauszów zna mowę polską, przeto musiał nas namawiać, by się na rodzinie jego w niewoli zostającej nie mszczono, ale zaklina, by się nie poddawać.
- Wnet im to powtórzę - odparł podstarości zgnębiony i powlókł się ku baszcie. Komendant patrzył za nim zatroskany. Coraz więcej było takich. Coraz częściej zdarzało się, że spotykał ludzi szepczących i milknących

śpiesznie na jego widok. Zebrał wszystkich przed wieczorem, jak zapowiedział. Powtórzył słowa Makowieckiego i raz jeszcze zapewnił, że Turcy nigdy obietnicy nie dotrzymali.

- Któż nie woli zginąć jak żołnierz, niż podle iść pod nóż albo gnić w niewoli?! Zresztą nie wiadomo, czy nam sędzono ginąć. Możemy się bronić jeszcze tydzień i więcej. Tymczasem posiłki nadejdą...

- Słyszemy o nich od dziesięciu dni! - krzyknął chorąży zuchwale.

- Próżno się spodziewać - westchnął Kozłowski.

- Król, jako Pan Bóg, nierychliwy, ale łuczny - zapewnił miecznik.

Jeszcze nie skończył, gdy rozległ się huk, ogłuszający trzask, na głowy zebranych zwały się belki, drzazgi, gruz. To granat przez nadwątlone górne piętro, spalony dach, przebił ściel i wpadł do izby, uderzając o stół, przy którym siedzieli.

Rozpierzchli się w mgnieniu oka. Pocisk wybuchnął, rozwalając całą izbę, roznosząc w drzazgi sprzęty. Siła wybuchu była tak wielka, że zapadło się sklepienie stanowiące posadzkę i otworzyło zejście do lochu.

- Czy wszyscy są? Czy wszyscy? - liczył pan Chrzanowski obecnych, gdy wydostali się szczęśliwie na dziedziniec. - Nikt nie zginął, chwała Bogu...

Wracajmy każdy na swój posterunek, waszmościowie. A pamiętajcie o tym, co nieszczęsny Makowiecki poufnie powiadał...

- Nie słyszeliśmy tych zwierzeń - mruknął chorąży, biały jeszcze od przebytej trwogi.

Pułkownik zmierzył go wzrokiem.

- Czy wać mi łgarstwo zarzucasz?

- Boże broń, Boże broń - zapewnił śpiesznie pan Ożga i umknął powiadając

półgłosem do podstarościego:

- Może mówić, co chce, głupi uwierzy. Tajnie mu szeptał, a jużci! Trzy dni czasu mamy... Wszystkiego trzy dni! Jeśli nie zechce dobrowolnie, trzeba go przymusić...

- Większość za nim. Nie przymusimy.

- Ta większość z każdą godziną topnieje i do nas rozsądnych przechodzi.

Pułkownik chce dziś pono obciąć racje, a przecie i tak głodujemy... To ludzi przekona...

`pk.

Pułkownik miał słuszość mówiąc, że ze strony niewiast nie padło jeszcze

żądanie kapitulacji. Mimo lęku o dzieci, mimo wrodzonej lękliwości,

rozumiały jaśniej niż niektórzy mężowie, że darmo liczyć na łaskawość

turecką. Jeżeli twierdza się podda, młodsze pójdą w jasyr (a wiadomo, co

jasyr znaczy dla niewiast), starsze zginą bez pardonu. Nigdy poganie nie

oszczędzali starych kobiet. Tak czy tak zatem, jednaka dola, a może król

rzeczywiście nadciągnie z odsieczą? Może już nadciąga? Może zlituje się Bóg

miłosierny?...

I z cichą, nieustępliwą energią, właściwą polskim kobietom, pielęgnowały

nadal rannych, gotowały i rozdzielały coraz chudsza, coraz skąpszą warzę,

nosiły z trudem zdobywaną wodę, modliły się za zmarłych leżących w lochu i

za żywych trwających na murach.

Nawet panna Kunegunda nie biadała zbyt. Huk armat nie pozwalał jej

oczku zmrużyć, przeto w bezsenne godziny przypominała sobie koligacje

wszystkich rodzin, jakie kiedykolwiek znała. Umysł podniecony zyskiwał przedziwną ostrość, łańcuchy rodów wiązały się ściśle i pewnie. Zapominając o grozie położenia, stara heraldyczka myślała: Bylem wróciła do domu, spiszę to wszystko, dalibóg, że spiszę.

Miecznikowa Bilińska z niedostępnym Pawłusiem na rękach była jedną z najdzielniejszych pielęgniarek. Trwoga o dziecko, straszliwe warunki bytowania, nawał pracy sprawiały, że zapomniiała o dręczącej ją poprzednio trosce. Czowała stąd ulgę, zbawienne odprężenie. Próżno myśleć o dawnym mężu, czy żyje czy nie, skoro wszyscy znajdą się lada dzień na tamym świecie. Gdy samemu jest się widmem, niestraszne są widma...

`pk.

- Pojutrze upływa termin, upływa! - nalegał chorąży oglądając w koło, czy komendant nie nadchodzi - śmierć niechybna nas czeka... Ratujmy się, dopóki serdar chce z nami paktować...

- Turcy pono nigdy nie dotrzymują słowa - zauważył wahająco pan Szczygielski.

- Przecie poseł zapewniał... Waść, mości mieczniku, znałeś tego Makowieckiego... Powiedz sam: zaliby łgał?

- Komendant prawi, że po cichu gadał co innego...

- Bajki dla dzieci, w które nikt nie uwierzy. Skądby czausz znał polską mowę? Nic nie gadał. Sam to sobie pułkownik obmyślił. Chciwy na nasze życie jak Herod na niewiniątka...

- Raz kozie śmierć - stwierdził miecznik i odszedł.

Można było sentencję rozumieć dwuznacznie. Choć niezadowolony z

zachowania przyjaciela, chorąży nie przerywał zabiegów. Przedkładał nadal,

tłumaczył. Na koniec najstarszy z Bieganowskich zgniewał się i zawołał:

- A idźże waść do pioruna! Sam się zdawaj, skoro cię strach obleciał,

pocziwym ludziom nie przeszkadzaj.

- Ja nie ze strachu, ależ zdrowy rozum...

- Za wały cię miotniem wraz z twoim zdrowym rozumem...

Jak niepyszny wrócił pan Oźga do swego kąta w dolnej izbie po prawej

strony bramy. Siedział tam nastroszony niby puchacz, oczami nienawistnie

błyskając i kuląc głowę w ramiona, ilekroć ziemia jęknęła od strzału. Jak

dotąd, choć wszyscy narzekali, jeden podstarości stał po jego stronie, ale

półgębkiem i tylko wtedy, kiedy komendanta nie było w pobliżu.

`pk.

Przeor z panem Słotyłą przysiedli pod murem, by choć chwileczkę wytchnąć.

Patrzyli z dala na zabiegi i odwrót chorążego. Na razie odszedł z niczym;

więcej pośród załogi ludzi chętnych do obrony, niż tchórzów, lecz co

będzie, jeśli oblężenie się przeciągnie? Biada, biada... Gdyby posłyszeć,

że król śpieszy z odsieczą, lżej byłoby czekać... Ale jaką drogą

posłyszeć?... I czy król wie o strasliwym położeniu grodu?... Gdyby

wiedział - zapewniał przeor - śpieszyłby tu ptakiem... To już taki

człowiek, że obcego poratowałby, a cóż dopiero swojaków!

Kostek nadbiegł, mnąc czapkę w rękę. Przez ostatnie tygodnie wyrósł,

schudł i zmężniał.

- Czego chcesz? - zapytał Słotyło.

- Chodźcie, jegomość, obaczyć ten loch, co go granat dziś otworzył...

- Jaki znowu loch?

- Kula przebiła w izbie podłogę... Przez dziurę widać loch. Całkiem nieznanym. Nikt o nim w zamku nie wie... Rzuciłem do środka pochodnię...

Daleko idzie w głąb... Może by się dało wycieczkę nim zrobić albo za mury wyjść...

- Bogać tam! Pułkownik zaraz pierwszego dnia oglądał wszystkie lochy, bo sam powiadał, że takie wyjście powinno być, ale nie znalazł. I zamkowi mówili, że nie ma...

- Pułkownik tego lochu nie widział, bo nikt o nim dotąd nie wiedział...

Chodźmy obaczyć, jegomość!

Strasznie się panu Filipowi nie chciało ruszać z miejsca. Zaledwie przysiadł. Ręce miał obolałe i popuchnięte od ciągnięcia wody, nogi zmęczone.

- Pójdę, chętnie, ale później. Tobie zaś samemu wara chodzić, bo jeszcze się gdzie zapadniesz...

I zwrócił się do przeora.

- Sądzicie, ojczy wielebny, że król może nie wiedzieć, w jakich my terminach?...

- A pewnie, my również nie wiemy nic o nim...

- Zbawicielu miłosierny, jakby mu dać znać?! Wiadomość przesłać!?

- Strasznie nas pogany pilnują. Dzień i noc mury strzeżone, że ptak nie przeleci... Hej, gdyby król wiedział!... Nie czekalibyśmy daremno...

- Chyba że sam w równie ciężkich jak my tarapatach...

- To mi się nie widzi, bo pogany już by się chwaliły, już okrzykiwały,
żeby nam ducha odebrać, a nadzieję posiłków odjąć... Skoro milczą, znak to,
że pan miłościwy i jego wojska w dobrym pozostają stanie...

- Święte słowa, ojczyźnie wielbny... Święte słowa... Zaraz spokojniejszym...

Jużci, żeby się pogany chwaliły... Trza to powtórzyć panu Oźdze...

- Niczym go waść nie przekonasz. Małości duszy nie zmienisz. Oj, biada,
biada z tym człowiekiem. Bojaźń - zaraźliwa choroba. A przecież twa
twierdza upaść nie powinna. Musimy ją utrzymać, choćby była kupą gruzów...

- Powiadała komendantowa, że żydzi zdali Wiśniowiec.

- Ważyli się na to pono. Cóż waść chcesz? Obcy są. Jak jemiola na dębie,
tak oni na tym kraju rosną. Jeno dąb rządzi jemiolą, a żydzi, choć
poniewierani, rządzą nami. Sami dobrowolnie idziem w ich jarzmo. Z trwogą
myślę, co będzie za sto, za dwieście lat, skoro im teraz tak pochopnie
wszystkie pożytki, myta, pobieranie podatków, ba, wsie, i miasta w arendę
puszczamy... Jeżeli da Bóg, że wyjdziem cało z tureckich opalów (w co przy
największej ufności w Jego miłosierdzie wierzyć trudno), dam waści do
przeczytania książkę wydaną w Krakowie temu dwadzieścia parę lat,
wykazującą, jak ku niewoli izraelskiej kroczy Rzeczypospolita. Groźne są to
rzeczy, a tym groźniejsze, że nikt dla nich posłuchu ani zrozumienia nie
ma... Każdemu się zdaje, że żyd to stwór półludzki, dla wygody szlachcica
stworzony...

Pan Słotyło zdziwił się. Szanował i poważał karmelitę, przeto nie chciał
mu zaprzeczać, słowa te jednak wydały mu się co najmniej przesadne.

Niewola

izraelska! Ależ to żydzi są niewolnikami, bez żadnych praw, bez znaczenia,

zależni we wszystkim od woli swych panów... On, Słotyło, miał swego

arendarza Jojnę, pan Koźmiński Fiszla, pan Bogusławski z Wymysłowa

Mendla

(tego, co siedział na Bocianie). Wszyscy byli pokorni, usłużni, poręczni.

Wszyscy przy każdej okazji zapewniali, że zginęliby jak rude myszy bez

swego dziedzica... I nagle oni mieliby stanowić niebezpieczeństwo!

...Z tej ustawicznej palby pomieszało mu się w głowie - pomyślał -

pomylił żydów z Turkami...

Nie chciało mu się zaczynać dyskusji. Wkoło huk i dygotanie murów... w

żołądku uporczywa nudna czczość, w gardle suchość, w kościach umęczenie.

Oparł się plecami o mur. ...W tej chwili jeszcze żyję - dumal - jeszcze na

świat boży patrzę, ale czy będę go oglądał za godzinę?... Czy Bóg

przeznaczył nam wszystkim śmierć?... Po toż wyjechałem z Drażgowa?... A no,

trudno. Wola boża. Nie będę przeciw niej wierzgał, bo i na co by się

zdało?... I ani sam spostrzegł, gdy myśli rozsnuły mu się daleko od obecnej

chwili. Wspominając wszystko, co przeżył w ciągu ostatnich miesięcy,

osądził, że patrzył dotąd na życie nic nie rozumiejąc. Wzajemny stosunek

panów, chłopów, żydów, mieszczan, obyczaje, prawa, całkowity obraz świata -

przyjmował tak, jak go zastał, nie zastanawiając się nigdy, czy wszystko to

było dobre i czy nie należałoby wielu rzeczy zmienić. Nie widział ich

szkodliwości, jak się nie spostrzega własnych wad. Dopiero teraz, gdy

raczej pacierze przedśmiertne należy odmawiać, przychodzi nań rozeznanie.

Wyjawił te myśli głośno, patrząc na klębiący się po dziedzińcu dym i

wyczuwał grzbietem dygotanie ściany.

- Błogosławiona chwila, w której przychodzą podobne rozważania - zapewnił poważnie ojciec January. - Wierzaj mi waść, że tak samo rzecz ma się ze społecznością. Zgubne błędy, do których przywykła spostrzega dopiero w ostatecznej chwili, gdy niebezpieczeństwo zewsząd...

- Rychły czas! - westchnął żałośnie Słotyło.

- Zawsze jest czas. Nie zapominaj waszmość, że każdy naród dlatego żyje, że ma jakąś sprawę do spełnienia. Misję, którą Bóg jeden zna. Dla niej go trzyma. Przez wzgląd na tę sprawę w ostatniej chwili wstrzyma dłoń karzącą, nadzieję poprawy widząc...

- Jaka może być misja naszego narodu? - zamyślił się pan Słotyło.

- Na pewno ważna, skoro Bóg nam dla niej tak obrzydliwe błędy wybacza i z każdej opresji cudownie ratuje. Sądzę, że polega ona na stróżowaniu i obronie chrześcijańskiej Europy przed pogaństwem tureckim i dziczą moskiewską. Niedbalego wartownika karzą, ale go zostawiają, bo potrzebny. Tak i nas Bóg nieraz pokarze, lecz zachowa, dopóki jest przed czym Rzymu bronić...

- Oby to dotyczyło i nas - jęknął pan Filip. - A gdzież ten chłopaczyna?

- przypomniał sobie nagle. - Chciał, żeby z nim iść loch oglądać... Co komu po tym lochu? Niedługo nas poniosą do onego, w którym zmarłych składamy...

Kostek, gdzieżeś jest, latawcze?!

Kostka nie było nigdzie, więc pan Filip podniósł się leniwie i zamierzał pójść na poszukiwanie. Nie zaszedł jednak daleko, gdyż pomoc jego znów była

potrzebna przy studni. Nowy pocisk trafił już nad ziemią w cembrowinę, która nadwątlona chwiała się, grożąc obsunięciem w głąb, a tym samym zasypaniem wody. Byłaby to dla obrońców ostateczna klęska. Więc też jedni szybko rozbierali mur, gdy drudzy podpierali go z przeciwnej strony drągami. Pan Filip chwycił drąg i na razie o Kostku zapomniał.

Kostek zaś wędrował lochem, do którego granat otworzył nieznanne dotychczas przejście. Podziemny ów chodnik stanowił jedno z licznych odgałęzień kutych w skale korytarzy, z czasów Rościśławiczów pochodzących, które późniejsze przeróbki zamku przecięły lub zasypały. Jedna odnoga, pozostawiona jako wyjście z zamku, zapadła się przed stu laty. O innych, poprzednio za Kazimierza, za Ludwika skasowanych a do tego samego celu wiodących, zapomniano. I dlatego pułkownik Chrzanowski oglądając po przybyciu twierdzę dziwił się, że na skale stojąc żadnego wyjścia tajemnego nie posiada.

Kostek szedł. Świecił luczywem i trząsł się ze strachu. Chwilami ciągnęło go, by zawrócić, ale ciekawość parła naprzód, silniejsza od bojaźni. A nuż ten chodnik posiada wyjście poza obóz turecki? A nuż będzie można zbiec do króla, zanieść mu wieść o położeniu Trembowli? To byłoby coś lepszego, niż spędzające bliźniakom sen z powiek opłotki Wickowe! To byłby czyn godny dojrzałego męża! Taką chwałą nie wolno się dzielić z nikim prócz z bratem bliźniakiem, i dlatego Kostek, nie mogąc mieć przy sobie Olka, szedł sam.

Dlatego nie zwierzył się ze swego zamiaru nikomu; ani młodym Wilczkom, ani młodym Stańskim.

Łuczywo osłaniał pieczołowicie dłonią, by nie zgasło. Za pasem miał

zatknięty spory pęczek suchych drewek. Nikle tlejące światelko nie rozpraszało ciemności trwających nieprzeniknienie. Gdy zbliżał palącą drzazgę tuż do ściany, widział lity kamień, układający się w równe ukośne płyty. Ściana była miejscami okopcona, snadź niegdyś, niegdyś chadzali tędy ludzie, i to dodawało otuchy. Pod nogami grunt był kamieniem nierówno rąbanym i chłopiec potykał się co chwila. Miejscami chodnik zbiegał wartko w dół, a wtedy idącemu zdawało się, że spada gdzieś w otchłań. Walające się pod stopami kamienie mogły być równie dobrze czaszkami ludzkimi, i na myśl,

że może depcze kości zmarłych, chłopcu włos stawał na głowie. Nie śmiał jednak schylić się i oświecić gruzów, czując, że jeśli to istotnie kości, nie wytrzyma i ucieknie. Wicek pozostanie górą!

Powietrze było ciepłe, zatęchłe, duszne lecz możliwe do oddychania, i ktoś doświadczeńszy niż Kostek wywnioskowałby stąd, że wyjście istnieje, a nawet nie musi być zbyt odległe, jemu jednak zdawało się, że zablądził, że idzie bez końca, i trwoga jego rosła. Coś upadło mu z szelestem na głowę.

Podniósł rękę z przerażeniem. Kropla wody. Za chwilę tuż obok niego upadła druga. Sączyły się zwolna ze sklepienia. W panującej głuszy cichy ich szmer wydawał się loskotem. Ściany stały się wilgotne. Czy w górze były źródliska, czy poziom chodnika zeszedł poniżej rzeki?

Kostek stąpał dalej, a krople padały za nim i zdawało mu się, że to odgłos czyjegoś stąpania. Może upiór, może duch?... Panienko najświętsza, ratuj!... W podhajeckim zamku straszy widmo wojewodziny Golskiej szukającej

skarbów; któż wie, jakie zjawy zaludniają podziemia Trembowli? Iluż tu ludzi poległo, jakie groźne nizały się dzieje?... Duchy odbywające pokutę w opuszczonym korytarzu zali nie zbiegną się teraz do śmiałka, nie zajdą go z tyłu, z przodu, nie pochwycą w zimne ręce?...

Pot zlewał skronie chłopca. Lewą dłonią osłaniał kurczowo łuczywo, prawą kreślił nieustannie znak krzyża świętego. Błogosławiony oręż, nie dający złym duchom dostępu. Krzyż i to nikłe, ledwo widoczne światełko strzegły przed ostatecznym przerażeniem. Broniąc się jednym i drugim, Kostek szedł wytrwale naprzód, ocierał się o chropawe, znów suche ściany, i mocniej niż kiedykolwiek tęsknił za Olkiem. Gdzie przebywa brat ukochany, co robi? Jakie to straszne, że są rozdzieleni! Kiedyż się znowu obaczą?! Ach, gdyby Olek tu był, nie istniałby żaden lęk...

Gdyby tu był!... Myśl o bracie nasunęła mu wspomnienie o ich ulubionej kościńskiej kryjówce na brogu tuż za stodołą, cienistej i przytulnej. Szmer słomy zdawał się bezpieczeństwem samym. W ślad za kryjówką dom i pani matka, kochana, frasobliwa, dla swoich bliźniaków zawsze jakieś łakocie na podorędziu miała, i małe rodzeństwo, i siostra przeznaczona do klasztoru... Stawali mu kolejno przed oczy jak żywi, gdy włókł się coraz wolniej, sunąc niezdarnie stopami po kamienistej nawierzchni. Otaczająca go ciemność zdawała się przeraźliwą gęstwą, materia czarnoksięską możliwą do ujęcia, przesycającą rzecz każdą. Zdawało się, że wszedł w jej posiadłość i żadne światło tego mroku nie rozproszy. Łuczywo (szóste z kolei) płonęło coraz to ciemniej, pryskało, syczało, dymiło. Nie pamiętał, od jak dawna tu jest, jak gdyby tuman ciemności wraz z oczami owionął i pamięć, i mózg. Może

wędruje chodnikiem już cały dzień? Może cały dzień i całą noc?...

W rzeczywistości nie siedł dłużej niżli półtorej godziny.

Nagle chłodny powiew musnął go po twarzy. Nie był to dech trupa ani upióra. Muśnięcie odczuł instynktownie jak pieczętę. W tym powiewie ledwo

wyczuwalnym był zapach przestrzeni.

Kostek przyśpieszył kroku. Z niepojętą radością spostrzegł, że ciemność wokół rzednieje, traci dotychczasową namacalność. Powoli mrok przeszedł

w

szarość. Wraz i panująca dotąd niezmacona cisza pękła jak bańka szklana.

Stłumione, ale wyraźne dobiegły odgłosy wystrzałów armatnich. Niebawem w

poblądle ciemni zarysowała się oślepiająco biała szczelina. Aż pod stopy

chłopca padał od niej blask złotozielonawy. W kilku skokach znalazł się

przy niej, z rozkoszą wdychając świeże powietrze. Ostatnie, niedopalone

luczywo wsunął za pas. Szczelina była bardzo wąska. Szczupły jednak i

giętki wyrostek mógł się przez nią, choć z trudem, przesunąć. W

rzeczywistości wejście do chodnika zamykał potężny półokrągły głaz. Tego

głazu nie byłby Kostek zdolną ruszyć żadną miarą. Trzeba by siły dziesięciu

dorosłych ludzi. Szczelina powstała z naporu korzeni wciskających się

przemocą pomiędzy ścianę a ruchomy głaz. Wysiłkiem wieloletnim zdolną

odepchnąć kamień. Krzak, który tej zbawczej pracy dokonał, był roslim,

gęstym cierniem. Splątane jego gałęzie zasłaniały doskonale szczelinę,

której z zewnątrz nie można było z pewnością w żaden sposób zauważyć.

Wtulony w skałę, chłopiec rozmyślał i nasłuchiwał. Gdzie się znajduje?

Poza obozem tureckim, czy przed nim? Jeżeli przed nim, próżny cały trud,
trzeba tą samą drogą powracać do twierdzy... Jeżeli zaś poza nim?...

Znów nasłuchiwał. Strzały zdawały się dość odległe i to napelniało
otuchą. Może znajduje się za rzeką? Wysunął głowę na zewnątrz i patrzył
przez gałęzie. Pastwisko jesienne, czy ugór, porosłe rzadkimi krzakami,
wielkie glazy porzucane niby odpryski z góry. W trawie cykają świerszcze.
Czerwienieją liście jeżyn. W pobliżu rozległ się szelest i chłopiec cofnął
głowę z pośpiechem. Ktoś przechodził mrużąc niezrozumiałe słowa. Ni to
przyśpiew, ni to dziwaczna piosenka. Z bijącym sercem Kostek patrzył w
wąską lukę między gałęziami stanowiącą jego szczupłe pole widzenia.
Człowiek nadchodzący przesunął się przed nią. Miał turban na głowie..
Turek!...

Więc był w obozie tureckim?!

Ogarnęło go takie strapienie, że omal się nie rozplakał. Więc na nic
przebyty strach, przezwyciężenie samego siebie? Jego śmiałość nie
przyniesie nikomu korzyści?...

Pomimo strapienia rozważał. W obozie zwykle jest gwarno. Parskają konie,
nawołują się ludzie. Tu nic nie słyhać. Człowiek był, przeszedł. Może
jakiś Turek wyszedł z obozu i wałęsa się po okolicy. Ośmielony, ponownie
wysunął głowę. Człowiek, którego dostrzegł przedtem, siedział niedaleko.
Był dziwacznie ubrany, a raczej nie ubrany, miał bowiem tylko wielki turban
na głowie, barwną szmatę w koło bioder i czerwone plecione sandały. Poza
tym był nagi. Przez żółtą starczą skórę przebijały żebra. Tulił do siebie
dużą czarną kurę i gadał coś do niej śpiewnie.

...Chyba wariat - pomyślał Kostek przyglądając się bacznie jego twarzy,

błędnym ruchom, zaropiałym oczom. - Ale na co mu kura?...

- Derwisz - gdyż był to derwisz - ani się spodziewał, że ktoś go pogląda.

Pieścił się z kwoką: to podnosił ją w górę w obu dłoniach, to chylił ku ziemi w dziwacznym poklonie. Ptak przestraszony gdakał niespokojnie.

Nareszcie silnym szarpnięciem wyrwał się z rąk prześladowcy i uciekł trzepocząc skrzydłami i wrzeszcząc. Derwisz podniósł ramiona w górę, rzucił przeciągły krzyk, okręcił się raz w koło samego siebie, po czym pogonił za kurą co tchu. Niedługo znikł za wzgórzem.

...Wróci, nie wróci? - myślał chłopiec, mimo woli ubawiony.

Derwisz nie wracał, więc Kostek odważył się wyjść ze szczeliny i precisnąć przez krzak. Obejrzał się za siebie. Nie, tego wejścia nie domyśliłby się nikt. Jeden rzut oka wystarczył mu, by ocenić, gdzie się znajduje. Jest za rzeką Gniezną i za miastem. Za plecami ma twierdzę. Jak strasznie stąd wygląda, otoczona wieńcem dymu. Wynosi się wysoko niby korab

nad potopem. Widać stąd, jak wieże są podziurawione, mury postrzępione i powyrywane!

Wokoło obóz turecki. Znany dobrze, oglądany codziennie z góry. Właśnie janczarowie prowadzą konie do pławienia. A nuż go dojrzą? Nie rozglądając się dłużej Kostek bierze za pas nogi i ucieka.

W najbliższych krzaczach przysiada, by się zastanowić. A także odpocząć.

Jest bardzo zmęczony i głodny. Przejście przez chodnik wyczerpało go do cna. Czeka go zaś długa i daleka droga. Droga do króla. Gdzie jest król?

Nie wiadomo. Kogo zapytać? Także nie wiadomo. A czasu tracić nie wolno, gdyż tymczasem twierdza upadnie. Nie warto się wtedy ludziom na oczy pokazywać. Wylazi więc Kostek z krzaków, śpieszy do niedalekiego lasku. Pod osłoną drzew zawsze bezpieczniej. W lasku, niby źrenica murawy, błyszczą małe, koliste jezioro, może szczątek starego koryta Gniezny, może porzucona glinianka. Kostek kładzie się na brzegu, zanurza zmęczoną głowę. Chłód wody nasunie mu dobre pomyślenie.

I teraz zachodzi rzecz niebywała i dziwna... Dziwniejsza niż nagi człowiek w turbanie goniący za czarną kurą, dziwniejsze nade wszystko, co można wymyślić:

Kostek leży na brzegu z twarzą przy wodzie. Patrzy na zmałowane kręgi tuż pod swoją brodą i na gładką powierzchnię dalej. I widzi swoje odbicie.

Odbicie Kostka. Ale nie na tym brzegu, jeno na tamtym, i nie leżące, ale stojące. Kostek odbija się w wodzie niby w zwierciadle, ten sam, który tu leży, ale nie leży, jeno stoi...

- Przecież mi się nie śni... - mruży chłopiec patrząc ze zdumieniem na dziwne zjawisko. Lekkie kręgi poruszonej wody już dopłynęły do twarzy odbicia. Zmałyły rysy. Już nic nie widać. Kostek podnosi głowę i... nieruchomieje.

I z dzikim okrzykiem:

- Olek!

- Kostek!

ruszają pędem ku sobie wkoło jeziora. Dopadają się na połowie drogi, padają wzajem w objęcia, i krzyczą, śmieją się, płaczą, głaszczą, odsuwają

od siebie i przysuwają na nowo, dotykają twarzy, rąk, wybuchają dziecinnym piskiem:

- Laboga! Kostek!

- O reta, reta! Olek!

Ustali, siadają w gąszczu, spleceni ciasno ramieniem. I gadają. Jak to się stało? Czy cud?

Szturchając brata z radości w bok, to chwytając za kolano, Olek zaczyna opowieść.

- ...Ano jak pana Chrzanowskiego odwołano z Sidorowa, brodacz (któren nadal swojego miana nikomu nie mówił) nie chciał tam ostawać, czując, że się zamek nie utrzyma. "Samemu mi życie niemile - prawil - alem obiecał ciebie strzec, przy tym muszę się doczekać powrotu jegomości pana Słotyły.

Nie umrę, aż go doczekam!"... Bo strasznie was wyglądał. Jeszcze w

Sidorowie, bywało, patrzył na drogę, a niech no wóz jaki się pokazał albo

konni jacy, zaraz mnie wołał i pytał: "Nie wasze to konie?" Powiadałem mu, że nie, bo Starościne i naszego siwka poznałbym z daleka. Wtedy brodę

targał, zafrasowany chodził i powtarzał: "Powinien już tu być... powinien już tu być!"

- Czemu do Trembowli nie przyjechał? - wtrącił Kostek. - Siedzielim tam przeszło miesiąc, nie wiedzieć czemu Turka czekając...

- Podpowiadałem mu parę razy, by na Trembowlę obrócić - nie chciał.

Dziwaczny człek. Ani się z nim dogadać. Wyszędłszy z Sidorowa, do Mikulniec

chciał się przedrzeć. Nimeśmy doszli, Turcy otoczyli zamek, a po kilku

dniach wzięli. Całą załogę pono wysiekli, a pana Orchyjowskiego wbili na

pal za to, że się nie chciał zdać... Pamiętasz pana Ochryjowskiego?

Poznaliśmy go w Zamościu.

- Jużci, że pamiętam - przytwierdził Kostek cały wstrząśnięty losem przygodnego znajomego. Obu stanęła żywa w oczach, zawzięta, sucha postać zagończyka i jego gorzkie słowa.

- ...Wszędy nam drogę odcięli - ciągnął Olek. - Już ni do Sidorowa wracać, ani do was się przedostać... Siedzieliśmy tu dwa tygodnie u jednego szlachcica, co się zwie Łuszczewski a ma futor w jarze tak skryty, że nawet orda rzadko do niego zachodzi. Mój brodacz siedział niespokojnie jak na węglach. Bolało go, że wojna, a on w ukryciu siedzi. Coś w końcu obmyślił, ale nie wiem co, bo on, jak to on, nic komu nie powiedział. Pożegnał się ze mną onegdaj i kazał na siebie czekać. Poszedł nie wiedzieć dokąd. Nie głupim siedzieć beczynn timer i czekać, wiedząc, żeś jest niedaleko. Uciekłem z fotoru i naokoło obozu tureckiego łażę, myśląc, jakby się do was przedostać...

- Bacz, czy nie cud, żeśmy się spotkali! Mogliśmy minąć się w lesie o strzelanie z łuku i wcale się nie zobaczyć... W twierdzy już ciężko wytrzymać. Strasznie ciężko. Głód, smród, i mur, co się wali na głowę. Poniektórzy chcą się zdać. Ja wylazłem z zamku bez wiedzy niczyjej chodnikiem, którego nikt nie zna. Do króla chcę biec, żeby z odsieczą szedł...

- A gdzie król?

- Nie wiem. Może ty słyszałeś?

- Nie, nie mogliśmy się od nikogo dowiedzieć. To jakże pójdziesz?

Zamyślili się obaj głęboko. Kostek żuł trawę. Po raz pierwszy uderzyła go myśl, że może lepiej było poradzić się przeora, komendanta? Może wziąć listy, wskazówki?... Bo co innego Wickowe plotki, a co innego odsiecz. To rzecz poważna, to nie tylko o jego własną chwałę chodzi, ale o ratunek dla wszystkich obrońców...

- Teraz, kiedy chodnik znam - zaczął wahająco - niewielka rzecz wrócić do zamku i wyleźć z powrotem. Wracajmy więc i poradźmy się starszych, co czynić. Nie masz wypadkiem czego do jedzenia?...

Olek potrząsnął głową. Gdzie by zaś miał! Z futoru wyszedł wczoraj rano, wzięwszy ze sobą glon chleba. Grzybów można by znaleźć i upiec, ale ogień rozkładać niebezpiecznie, bo Turcy spostrzegą.

- Więc chodźmy zaraz! - zawyrokował Kostek. Z pociechą myślał, że znalazł bezpieczne wyjście, co też jest pewną zasługą.

Wśliznęli się z powrotem poza krzak cierniowy zaopatrując się przedtem w zapas suchych gałązek jako luczywa. Nikt ich nie widział. Okolica była wyludniona. Przepisnęli się przez szparę i szli pomaleńku ciemnym chodnikiem. Olek sapał niepewnie i z obawą patrzył w ciemność, co w miarę jak się oddalali od światła, otaczała ich nieprzeniknioną zasłoną. Kostek śmiał się z wyższością z jego trwogi. Droga drugi raz przebywana nie robiła na nim wrażenia. Opierając się dłonią o chropowatą ścianę, prowadził brata śmiało aż do góry.

Na górze spotkała ich przykra niespodzianka. Otwór, wyrwany przez granat, założono w międzyczasie deskami. W izbie odbywała się narada czy zebranie, przez narzucone bowiem deski dolatywały głosy męskie i niewieście. Jak raz,

ostatnie luczywo zgasło, i bliźniacy stali w mroku nie wiedząc, co począć.

- Stukajmy - postanowił Kostek.

Nie mieli jednak czym stukać prócz pięściami i nie rychło udało i się zwrócić uwagę radzących. Właściwie nie była to rada, lecz sąd.

Komendantowa

Chrzanowska naszła chorążego, jak podmawiał panów Szczygielskiego i Kozłowskiego, by nie pytając pułkownika o wywiesili cichcem białą chorągiew i otwarli bramy. Krzepka w ręku białogłowa chwyciła zdrajcę za kark i przywlokła tutaj przed oblicze męża. Podstarości i Szczygielski, zakłopotani i niepewni, nie chcieli świadczyć, przywiodła przeto za sobą Kasię Niesobinę i miecznikową, gdyż obie wraz z nią słyszały niegodziwą rozmowę. Nie chcąc sam rozstrzygać, komendant wezwał przeora, panów Stańskich, pana Jakubowskiego, miecznika, burmistrza Tabarowicza na radę. Chorąży wypierał się, jakoby namawiał do zdrady.

- Powiadałem jeno, co gadam od początku, że opór to zguba...

- Nie łzyj waść! - krzyknęła nań groźnie pani Anna Dorota. - Słyszałyśmy wszystkie, coś gadał! Nie pamiętasz!? "Prześcieradło na wieży wywiesić i bramę otworzyć".

- Nie powiadałem tak, jak mi Bóg miły!

- Nie tylko łże, ale bluźni! Te jejmości są świadkami... Nuże, powiadajcie, jak było!

- Zali mówił tak? - pytał Chrzanowski.

Niesobina zalewała się łzami. Skądże jej świadczyć przeciw stryjowi.

Przyskarżać go... Szlochała bezmownie. Lecz miecznikowa skinęła głową

twierdząco.

- Mówił...

- Czy waść wiesz, jaka jest kara za usiłowanie zdrady? - zapytał

świszczącym głosem Chrzanowski. - Uprzedzałem o tym pierwszego dnia...

- Ja nie! Ja już nie będę! Przysięgam! Ja nie wiedziałem! Ja źle nie

myślałem! Darujcie! - skrzeczał chorąży wijąc się w śmiertelnym

przerażeniu.

Oczami toczył w koło, szukając zmiłowania i litości.

- Przysięga, tedy daruj mu waść - prosił najstarszy ze Stańskich.

- Wszyscy rychło stanem przed sądem Bożym - westchnął przeor. - Niech go

Bóg sędzi...

- Dość nas Turcy zabijają... Daruj mu!

- Nie mogę ustąpić! - zawołał twardo Chrzanowski. - Prawo jest jedno dla

wszystkich... To zdrajca...

- On przysiągł... On już nie będzie...

- Nie będzie - lkała Kasia.

- Ja ręczę, że już nie będzie! - krzyknął pan Słotyło, któremu widok łez

ukochanej rozdzierał serce.

- Bóg zapłać waszmości - szepnęła mu wdzięcznie.

- Daruj mu, panie pułkowniku! Błagamy cię wszyscy...

- Pono będę musiał ustąpić i puścić tego gada wolno - sarknął komendant.

- Zła jest ta nasza polska pobłażliwość, co rada zbrodnie zostawia bez

kary... Przez to zuchwałą się lotry... W pokorę uderzy, w płacz i już

litość nad nim. Ja uważam inaczej: zdrajca niech wisi!

- Miłosierdzia upraszam... Nie będę... - skomlał podchorąży.

Chrzanowski odwrócił oczy od niego ze wzdrgnięciem.

- Idźże, idźże, ale... - nie dokończył, bo uporczywe, głuche łomotanie

tuż pod stopami doszło nareszcie do jego świadomości. Wszyscy zamilkli słuchając. Ktoś stuknął gwałtownie, nieprzerwanie.

- Jezusie Nazareński! Panienko Najświętsza! - wrzasnął Jakubowski - miny zakładają!

- Na słowo miny rzędną wszystkie miny - mruknął miecznik, ale zbladł i ku wyjściu się posunął.

- To nie miny, ale upiór! Słyszycie, jak kołace!

- Uciekajmy! Nie otwierać!

Lecz Chrzanowski nie zwracając uwagi na te okrzyki, energicznym ruchem jął odsuwać deski. Ukazała się ciemna czeluść, a w niej bielejące dwie drobne, jednakowe, zupełnie jednakowe głowy, niby osadzone na jednej szyi... Ta sama głowa w rozdwojeniu, bo to nie mogły być dwie głowy, to była jedna... To było widmo, które śmierć wróży... S o b o w t ó r ! !...

Stracili wszyscy dech, skamienieli. Nawet pułkownik zamilknął.

I wtedy to cały zamek mógł przekonać się, jak wielką jest odwaga pana Filipa Słotyły. Gdy nikt nie śmiał poruszyć się ze zgrozy, on podszedł do otworu, w którym bielą podwójne widmo, i pewnym głosem zapytał:

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Skądście tu przyszli!?

Tak właśnie, jak się powinno przemawiać do duchów. Odpowiedzi jednak nikt

nie posłyszał, bo na myśl, że sobowtór przemówi, wszyscy dali tył

pośpiesznie. W izbie zostali jedynie ojciec January, Słotyło i oboje

Chrzanowscy.

`tc

Rozdział Xv:

Posłańcy

`tc

- Nowina jest wielce ważna i radosna - mówił pułkownik, gdy wszystko się wyjaśniło. - Poślemy natychmiast gońca do miłościwego pana. Nie chciałbym jednak, aby wiadomość a przejściu rozeszła się wśród załogi... do czasu.

Tchórzliwcy skorzystaliby z niego, aby umknąć, a zły przykład pociągnąłby innych. My zaś musimy bronić się do ostatka. Więc usilnie proszę mościpanów

o szczególniejszą dyskrecję. Kogo pošlemy? Jak myślicie, ojcze wielebny?

- Nas! - zakrzyknęli równocześnie bliźniacy. - Mości jegomościu pułkowniku! Przecież nas! Chcieliśmy od razu ze dworu biec, jeno nie wiedzieliśmy, gdzie króla szukać! Przyszliśmy, żeby się spytać...

- Za młodzi jesteście... niedoświadczeni...

- Damy radę! prześlizgniemy się jak liszka! Żaden Turek nas nie dojrzy!

- Zmyślne są chłopaki i prześcipne, owszem - przyznawał pan Filip. Acz misja była niebezpieczna, wołał widzieć swoich pupilów poza piekłem twierdzy.

Chrzanowski zamyślił się. Wysłanie obu chłopców miało dobre strony. Nie uszczuplało załogi o jednego ze starszych obrońców. Zapewniało utrzymanie

w

tajemnicy przejścia. Choćby chłopcy nie rozgadali, jak wytłumaczyć nagle pojawienie się drugiego?

- Jedna jest przeszkoda - rzekł w końcu. - Nie znacie tutejszej okolicy.

Nie znacie drogi...

To prawda. Nie znali. Umilkli zakłopotani.

- Mógłbyś im jegomość pacholka dać za przewodnika - odezwała się pani

Chrzanowska. - Danilka na przykład, któren w Buczaczu był już kilka razy.

- Hm... Danilka? Można by dać. Do obrony wiele nie wart, bo leń, ale

poprowadzi dobrze. Któryż z was, podobniacy, był z nami? Ty? Wal, synu,

szukać Danilka od koni, ale mu nie mów, o co chodzi, bo po drodze wszystkim

rozpowie. Czapkę i świtkę niech ze sobą weźmie, żeby od razu stąd

wyszedł...

- Przyniosę wam trochę chleba na drogę - ofiarowała się pani Anna.

- Chleba tutaj nie staje - zaprotestował Kostek - my go pewnikiem łatwiej

dostaniemy...

- Nie wiadomo, bo musicie się ukrywać, a okolica przez pogan wyniszczona.

Daj im jejmość po kęsie. Listu nie piszę. Sami potraficie powiedzieć. Że

się trzymamy, zęby zacisnąwszy, ale długo nie zdołamy. Trzy dni najwyżej,

bo prochu brak, pocisków brak. No, a z żywnością i z wodą, to wiecie...

- Wiemy, mości pułkowniku dobrodzieju!

- A gdyby ci się kto pytał - wołał przeor za odchodzącym Kostkiem - co to

było za widmo w lochu, powiadaj, że o widmie nic nie wiesz.

- Rozumiem, ojcze wielebny.

Pobiegł i po dłuższej chwili powrócił z Danilką, rosłym, czarnoookim,

czarnobrewym chłopakiem. Przypuszczał, że pułkownik wzywa go, aby mu dać

lanie, i odetchnął z ulgą, posłyszawszy, o co chodzi.

- Sam nie wiem, gdzie miłościwy pan się znajduje - objaśniał chłopców

Chrzanowski. - Jeśli nieprzyjaciel zwalił się od Zbaraża, to droga na Buczacz może być jeszcze wolna. Gdyby Turki i tam stały, skręcajcie na południe, ale ostrożnie, do Dniestru zwykle bardzo pohańce pilnują...

Trudno mi radzić, gdy sam jako ślepy siedzę. Myślę, że za Strypę nieprzyjaciel nie przeszedł. Przemykajcie się na Wiśniowczyk. Daniłko wszystkie przechody zna. Na gościńcu się nie pokazujcie. Pilnie baczcie, by was Turcy nie spostrzegli. Ostatnia by to była wasza godzina. Nasza także.

Dam wam mój sygnet. Jeżeli w Wiśniowczyku wroga jeszcze nie ma, burmistrz

za jego okazaniem da wam konie i wszelką pomoc. Może i wiadomości udzieli pewniejszych. Stamtąd poganiacie, poganiacie! Każda chwila droga. Bóg niech

was strzeże i prowadzi... Łuczywo macie?

- Przyniosłam je właśnie - odezwała się pani Anna. Wręczyła im pęczek drzazg, po kromce chleba i krzyżyk uczyniła nad głowami.

- Sprowadźcie pomoc, a rychło - szepnęła.

Z kolei żegnali ich komendant, przeor błogosławiąc, pan Filip siąkając nosem. Powoli spuszczaali się w dół. Daniłko stękał ze strachu jak koń. Gdy zniknęli, Chrzanowski zasunął starannie otwór deskami i odetchnął głęboko.

- Módlcie się, ojczy - rzekł do karmelity - żeby doszli i odsiecz szybko

sprowadzili...

`pk.

- Odpocząć zdaloby się - narzekał Daniłko przeciągając utrudzone kości.

- Odpoczniemy, jak znajdziem króla.

- Konie nie wytrzymają.

- Ważniejsza twierdza niż konie. Pan pułkownik mówił: "poganiajcie, poganiajcie!"

- Nu, pan komendant twardy człowiek, wiadomo.

Daniłko przeciągnął się znowu i ziewnął rozłośnie, ukazując białe, ostre zęby. Chłopcy patrzyli na niego z niechęcią.

- Nie gadaj, tylko prowadź.

- Ja zmęczony. Chcecie jechać dalej, jedźcie sami. Pogan już tu nie ma...

- Ach ty! Pułkownik batogami cię zasiecze!... Ty! Ty! lotrze! poczekaj!

Prowadź zaraz!

Daniłko nie przejął się wcale i nie popędził konia.

- Do pułkownika to ja nie głupi wracać. A będziecie grozić, spróbujemy, kto mocniejszy...

- Gadzino! Ratować tych, co w twierdzy są, nie chcesz?!

Pacholek wzruszył ramionami, dając do poznania, że los twierdzy, skoro on się z niej wydostał, jest mu najzupełniej obojętny.

- Starego Matwieja mi szkoda... - zawyrokował po chwili namysłu.

- Jakby Turcy zdobyli Trembowłę, to na przeszły rok zalaliby cały kraj, rozumiesz, cały ten kraj!... I o to nie dbasz, gałganie!? O ocalenie ojczyzny?!

- Ojczyzna to pański wymysł. Nam chłopom nic po niej. Dla panów Polska

matka, dla chłopów macocha. Za szczo lubyty macochu?

Dawniej byliby chłopcy krzyknęli pewno: "Ty chamie! jak śmiesz!" i lunęli Danilka w pysk, nie dbając o to, co dalej. Poprzednie jednak przebywanie na

wozie w charakterze pacholka, rozmowy z Mateuszem, Grzelą, Gawłem,

luzakiem

z Drażgowa, zrobiły swoje. Poczuli pewien niepokój. Zali nie było dziwne,

że ten Rusin i tamten Mazur mówili to samo? Że ojczyzna to pański wymysł,

macocha, nie matka. Umilkli, spode łaba i nienawistnie patrząc na Danilka.

On podobnie spozierał na nich. Gwizdał przez zęby dumkę ruską. Nagle rzekł:

- Jakby nam wolę dały, to byśmy woli bronili...

- Ja wiem - burknął Kostek. - Chciałoby się wam zrównać z urodzonymi, ale

to się nigdy nie stanie...

I znów jechali w milczeniu przez omglone jesienią rozłogi podolskie.

Konie robiły bokami i chcąc nie chcąc trzeba było jechać stępa. Bliźniacy

zeskoczyli z podjezdaków i szli koło nich, by szybciej wypoczęły. Ach,

prędzej! prędzej! Jak dotąd, droga szła im doskonale. Wymknęli się z lochu

niezauważeni. Oni widzieli niewolników tureckich rąbiących drzewo na

ogień,

lecz ich nie dojrzano. Potem w lesie o zmroku spotkali całkiem bliźniutko

podjazd turecki.

Nie spostrzegł ukrytych w krzaku. Danilko istotnie znał przednio okolice

i póki lękał się o własną skórę, był przewodnikiem nieporównanym. Z

chytrą węża wykorzystywał każdą zapadłość gruntu, kluczył, przypadał,

na koniec wyprowadził szczęśliwie z zajętego przez nieprzyjaciela obwodu.

Nad Strypą, rozlaną jesiennie, o brzegach rozkisłych, nie widziano

jeszcze nieprzyjaciela. Znaleźli bród i przemokli, zziębnięci wkroczyli do

Wiśniowczyka. Radośnie uderzył w oczy widok miasteczka nie ruszonego

przez

wojnę. Ale huk armat z Trembowli dochodził przez mgłę wyraźnie i

mieszkańcy

osady żyli w trwodze i oczekiwaniu wroga.

- Nasłuchujemy, czy działa jeszcze grzmią - mówił burmistrz, do którego

zwrócili się z sygnetem komendanta. - Gdy ucichną, uciekniemy wszyscy w

góry. Nikt tu żyw nie pozostanie. Bo po Trembowli przyjdzie kolej na nas.

- Trembowla nie utrzyma się dłużej jak kilka dni, ale idziemy do

miłościwego pana po odsiecz.

- Jeździeź, jeździeź... Najlepsze konie dam... Zbawienie nas wszystkich

od króla zależy... W Buczaczu powiedzą wam na pewno, gdzie jest...

Więc gnali, nie popasając zupełnie. Okolica, przez którą jechali, nie

była zniszczona, lecz z powodu ciągłej trwogi i oczekiwania ludzie

zaniedbali zbiorów. Szczerniały owsy, na nic już nie zdatne, stały na pniu.

Domy i obejścia były puste. Ludzie koczowali z dobytkiem po lasach, gotowi

uciekać dalej. Widząc obcych jeźdźców, pytali dokąd jada, a posłyszawszy,

że do króla, składali ręce błagalnie: "A przywieźcie go rychło, sokola

jesnego, lycara mocnego... Przepadnięm bez niego, sieroty:.

W Buczaczu nie zastali króla. Zamek, gotów do obrony, czekał na

nieprzyjaciela. Nie zajeżdżali doń, by czasu nie tracić. Pognali nie

przystając do Monasterzysk. Tam powiadano, że wojsko królewskie jest
gdzieś

niedaleko. Lecz konie, upaliwszy bez odpoczynku pięć mil, ustały i wypadło
przyznać słusność Danilkowi. Odpoczynek bodaj najkrótszy był konieczny.
Jak raz, przy drodze stała murowana karczma. Wprowadzili konie do stajni
i wytarli słomą. Żli z przymusowego zatrzymania, Kościńscy weszli do izby.
Może zasięgnął języka, gdzie jest król.

W izbie było mroczno, bo i na dworze już zapadał zmierzch. Nad stołem
palił się kaganek olejny przymocowany do ściany na żelaznym pręcie. Przy
stole siedziało dwóch wążaczy przy szablach. Wyszarzany ubiór wojenny mógł
równie dobrze wskazywać na zbiegłych żołnierzy, szlachciców szukających
przygód, lub zbójów. Trzy gąsiorki wina wypróżnione stały na ziemi koło
nich, czwarty zaczęty na stole.

- Czolem, waćpanowie - rzekli chłopcy - czy nie wiecie, gdzie jest król?

- Żołędny? - zapytał jeden z wążaczy obracając się ku pytającym. Twarz mu
zneruchomiała i przeciągnęła się.

- Kumotrze... - jęknął z cicha.

- Czego?

- Przegrałem. Twój talar. Dwoi mi się we łbie...

- Mnie też - wyznał kumoter.

- Widzisz dwóch?

- Widzę dwóch.

- Dawniej mogliśmy wypić pięć gąsiorów i ani nas zamroczyło! Żle z nami!

- Jedziem z Trembowli do miłościwego pana po odsiecz... Nie wiecie, gdzie

jest?...

- Żeby nie był tak pijany, to bym może wiedział, ale mi się ciągle w oczach dwoi...

- W uszach też - dorzucił drugi. - Wypiliśmy zdrowo.

- Chrapnijmy, bo się nam za chwilę potroi...

- Gdzie król?! - nie przestawali nalegać bliźniacy.

- Znowu?! Tfu! Zgnij, przepadnij, maro! Podjazd tylko co tu był... Pono za folwarkiem stoi...

- O Jezu! - porwali się z miejsca chłopcy.

Ale król nie stał za folwarkiem. Kwatera jego znajdowała się o dwie mile dalej. Rotmistrz Polanowski, którego spotkali, dał im świeże konie i nie mieszkając ruszyli. Byli tak strudzeni, że mimo żwawego truchta koni zasypiali co chwila na kulbakach. Wtedy Olkowi śniło się, że jedzie dziwną drogą, zamorską drogą wysadzaną drzewami, o których opowiadał Niderlandczyk

van Janssen przysłany przez stryja Pawła z Amsterdamu. Czubate, kłębiaste, bez gałęzi, o liściach wielkich jak strzecha, palczastych... Olek przez sen skręcał na tę drogę, ciągnął wodze. Mądry żołnierski gniadosz, zdumiony, że ze ścieżki każą mu zejść w krzaki, opierał się, sprawnym ruchem łba wyciągał cugle z rąk sennego jeźdźca. Olek przytomniał. To nie zamorskie drzewa, ale dęby w mroku. Obok kiwa się Kostek na setnym kasztanie. Hej, gdybyż mieć na własność takie konie! Z tym westchnieniem pożądliwości nawracał sen. Ciągnąc znów obcą, nieznaną drogą, chłopiec witał z ulgą pacnięcie po twarzy mokrej rodzimej gałęzi, która wyrwała go z majaku.

A Kostek śnił, że prosi o odsiecz dla grodu. Lecz nie przed królem

klęczy, jeno przed Chrystusem boleściwym z odwróconą głową, z lubelskiego trybunału. Chrystus, który nie chce widzieć ludzi. Nie słucha próśb. O, jak to straszno i gorzko! Co uczynić, by spojrział znowu litościwie, przegonił Turków, pobłogosławił krajowi?... Co uczynić, by wszystkim stało się dobrze i lekko, by nikt ojczyzny nie uważał za macochę?...

`tc

Rozdział XVI:

Upiór

`tc

Ibrahim Szyszman, pasza Aleppo, czuł coraz większe niezadowolenie i niepokój.

... Jeżeli Władca Wiernych - myślał - każe mi po powrocie zdjąć głowę, nie będzie to niczym dziwnym. Kto wie, czy sam nie postąpiłbym na jego miejscu podobnie. Zima za pasem. Pół roku stracone, hałasu, gróźb było dużo, koszta ogromne, a skutek znikomy. Zajęliśmy kilka zamków, ale bez znaczenia. Jedyna większa bitwa stoczona w ciągu lata zakończyła się porażką Tatarów. Po co właściwie stałem tyle czasu pod Zbarażem?... Armia, dostateczna dla zawojowania całej Rzeczypospolitej, nie działała nic prawie... Wszystko to z winy wielkiego wezyra, który nieustannie wstrzymywał zaczepne działania...

Ibrahim Szyszman przypisywał winę Kiupriulemu, nie chcąc przyznać się sam

przed sobą, że przede wszystkim hamował go zabobonny lęk przed Sobieskim.

Myśl o spotkaniu ze straszliwym wojownikiem paraliżowała jego ruchy, sprawiała, że stary, doświadczony serdar poprowadził tę kampanię jak nowicjusz

...Byłe tę twierdzę raz już zająć i nie wracać do sultana z próżnymi rękami... Byłe wreszcie zająć...

- Przeklęty gródek! - zawołał głośno z wściekłością.

Stojący obok kornie Abdul Hazim bej przytaknął głową.

- Przekłęte istnienie, niewyciężony serdarze. Stary Ali derwisz doradza użyć czarów...

- Niech czaruje, niech robi, co chce, byle skutek był...

- Gdy pójdzie ku murom odprawiać zaklęcia, należy przerwać strzelanie, bo huk płoszy duchy...

- Można na godzinę przerwać. Sam uciekłbym się do czarów. Tych w zamku strzegą niewątpliwie złe moce. Według zdanego mi wczoraj przez puszkarzy rachunku rzuciliśmy na nich sześć tysięcy pocisków armatnich, więcej niż pół tysiąca granatów, nie licząc pomniejszych strzałów!

- Zaś ludzi straciliśmy przeszło dwa tysiące... Kosztowne oblężenie...

- A zamek jak stał, tak stoi! Oby go Iblis pochłonał! Jeżeli derwisz nie poradzi, spróbujemy podłożyć miny...

- Doradzałem to już dawno - zauważył ubocznie Hazim bej.

Ibrahim machnął niecierpliwie ręką. Doradzano rzeczywiście. On się nie zgadzał. Uważał to za nowy kłopot. Rąbanie podkopu w skale pod wysoką górą jest pracą mozolną i długą, a sądził, że oblężenie twierdzy nie potrwa dłużej niż kilka dni. Po co więc zaczynać podkop? Patrzył na Trembowłę

oczami przyszłego właściciela i niechętnie dziurawiłby górę, ułatwiając pracę przyszłemu nieprzyjacielowi.

Ale jedenasty dzień oblężenia upływał, nic ze strony zamku nie wskazywało na chęć kapitulacji. Nie ma rady trzeba wiercić podkop.

Wsiadł z trudem do lektyki i kazał się obnosić wokół wzgórza, by samemu wybrać najdogodniejsze miejsce. Pan Strumillo dostrzegł złociste pudło lśniące w słońcu i posłał w tym kierunku parę kul. Nie doniosły.

- Ostrożna jucha, blisko na strzał nie podejdzie. Nie jak nasz miłociwy pan, co zawsze na czele idzie...

W miejscu wybranym przez serdara jęto natychmiast sypać wysoki wał osłaniający roboty. Oblężeni domyślali się, że za wałem kryje się nowa groźba, więc nie żalowali kul. Trafiały celnie. Niewiele jednak pomogły.

Żołnierze tureccy padali rozszarpani w strzępy, kosze z ziemią, faszyna, łopaty, kilofy rozpryskiwały się daleko w koło, lecz na miejsce zabitych przychodziły natychmiast nowe drużyny z nowymi zapasami koszy, faszyny, łopat i podejmowały przerwana na chwilę robotę. Zapasy w ludziach Ibrahi Szyszman posiadał niewyczerpane. Nim wieczór nadszedł, wał już był wzniesiony, workami z paskiem zabezpieczony od pocisków z twierdzy.

- Co też wymyśliły te pogany? Jak myślicie?

- Może po prostu chcą mieć bliżej murów bezpieczne schronienie? Dość ich napsowaliśmy, to się kryją...

- Psu, gdy śpi, żydowi gdy przysięga, białogłowie gdy płacze, nigdy

wierzyć nie należy - stwierdził miecznik. - Tym bardziej poganom. Nie o

kryjówkę chodzi, boby jej takim kosztem nie wznosili... Ja myślę, że nowe

wielkie działa sprowadzili i na tym wale ustawiają.

- Nadto pod górą. Przenosiłyby...

Komendant Chrzanowski odjął lunetę od oczu nic nie mówiąc. Dorozumiał się

od razu, że pod osłoną wału nieprzyjaciel zaczyna wiercić podkop. To jasne.

Porozumieli się z przeorem Raczkowskimi oczami.

- I co będzie? - szepnął zakonnik.

- A no nic... W Bogu nadzieja, że nim się wryją pod zamek, odsiecz nadejdzie.

- Jak waszmość sądzisz? Czy chłopcy dojechali?

- Bo ja wiem?... Może dojechali, może zblądzili, może ich Turki ogarnęły... Wola boska...

- Wola boska.

`pk.

I broniono się dalej. Żywności było coraz mniej, już wydawano tylko

ćwierć racji. Pociski i proch na wyczerpaniu. Woda wyciągana z trudem z

rozbitej studni miała wstrętny zapach, prawdopodobnie wskutek bliskości

trupów składanych w piwnicy. Z piętnastu dział siedem już było rozbitych.

Broniono się jednak. Chorąży Oźga już nie namawiał do zdrady. Nie tyle ze

względu na przysięgę, ile że ze strachu zachorował i niezdolny był do

niczego. Leżał bez ducha, na poły przytomny. Darmo przyjaciele usiłowali

dodać mu otuchy.

- Zastanów się, człowiecze! - mówił surowo karmelita - zali sądziłeś, żeś

wolny od zgonu, że nigdy nie umrzesz? Bogu dziękuj, że pozwala ci zginąć

chwalebnie w obronie wiary świętej i ojczyzny milej!

**- Taniec z Kostuchą nie zawsze rozkoszny - dodawał miecznik - przecie
wyprosić się od niego nie lza. Nie przystoi kawalerowi krzywej gęby
tanecznicy okazywać...**

**Chorąży był głuchy na te przedkładania. Jęczał i szlochał ukrywszy twarz
w posłaniu. Niechali go zatem, wychodząc na zrujnowane, walące się mury.**

- Zdaje mi się, że pogany miny zakładają - oświadczył im Jakubowski. -

Nim nas w powietrze wysadzą, jeszcze niejednego ukatrupię!...

**I zakładał nową strzałę na swój łuk niechybny. Gdy świsnęła, wychylał się
przez rozbitą strzelnicę, wołając: "Do Mahometa, plugawcze! Do psiego
proroka!"**

`pk.

**Miecznikowa Bilińska kołysała w ramionach śpiące dziecko, z żalem
spoglądając na jego pomizerniałą twarzyczkę. Darmo sobie od ust
odejmowała,**

**by je lepiej karmić. Brak dobrej wody, ruchu, powietrza, kąpieli, huk i
nieustanny pył niszczyły zdrowie kwitnącego przedtem dzieciaka. Nóżki mu
zwiotczały, przestał chodzić. Cichy i bledziutki kulił się bez skargi w
ramionach matczynych, gdy pocisk zaszumiał w powietrzu, podnosząc z
ciekawością niewinne oczęta do góry.**

**...Dlaczego - myślała z rozpaczą matka - pozwala Bóg, by grozę wojny
odczuwały dzieci? Mniej żal ludzi dorosłych, gdy giną i cierpią... Każdy z
nich tyle nagrzeszył, tyle bólu innym przyczynił, że bierze tylko zapłatę
za swoje... Ale mój Pawłuś nikogo jeszcze nie skrzywdził.. Niewinny**

jest... Gdy zaśnie, uśmiecha się przez sen, jak gdyby widział aniołów...

Trupiarnią jest ten zamek i piekłem, a dzieciątko śni o niebie... Maleńki

mój... Niechby mnie żywo po części palono, byleś ty bólu nie doznał...

Byleś ty żył...

`pk.

- Parlamentarz idzie! - zawołał z baszty pan Stański. Wstrzymano ogień,

ale tylko na chwilę, bo Turcy nie zaprzestali swojego. Trochę się to

wszystko zdało dziwne, zwłaszcza że parlamentarz szedł sam jeden, bez

asysty. Na kijku niósł białą szmatę.

Kroczył odważnie i spokojnie pośród kul. Na głowie miał wielki turban,

twarz zarosłą brodą. Pan Filip poznał go natychmiast i nogi pod nim

zadygotały z wrażenia.

- Brodacz podszedł do furty i zawołał donośnie po polsku:

- Z poselstwem idę do niezwycięzonego serdara!

Otwarto małe wrota, ale bez pośpiechu. Armaty grały jak zwykle z obu

stron. Posel wszedł i skłonił się w milczeniu. Nikt mu nie oddał ukłonu.

Żywiono nieprzewyciężony wstręt do renegatów, a czymże, jeśli nie

renegatem, był ów człowiek w turbanie, mówiący mową swojackę?

- Wać Polska w służbie pogańskiej? - zapytał krótko pułkownik.

- Tak jest. Dzieckiem mnie w jasyr zabrano. Nazwiska rodowego nie pomnę,

ale wiem, że szlachcic. Wołają mnie Selim...

- Jakie jest waści poselstwo?

Brodacz zawahał się, spojrzął wokół.

- Król polski - zaczął dobitnie - rozbił całą ordę pod Lwowem temu siedem

niedziel nazad. Chan uciekł za Dniestr. Serdar przypuszcza, że król polski nadejdzie lada dzień, i śpieszy się, by oblężenie przedtem zakończyć...

Słuchali osłupiali, zdumieni.

- Kim waść jesteś, na Boga! - zakrzyknął Chrzanowski.

- Poturmakiem. Mniejsza z tym. Wiadomości moje są prawdziwe. Możecie im

wierzyć. Król polski niewątpliwie nadchodzi...

- O, Bogu dzięki! Mów waść dalej, mów! Podkopy Turcy czynią?...

- Zaczęli je wiercić wczoraj pod osłoną tego wału. Nagromadzili wielkie zapasy prochu, pracują dzień i noc. Przypuszczam jednak - zawahał się chwilę - że w robocie tej napotkają przeszkodę...

Patrzyli oszołomieni. Każdemu cisnęło się na usta pytanie zadane przez

komendanta: "Kim waść jesteś?" "Co to za człowiek? Kto go wysłał? Jeśli był

Polakiem w tureckim przebraniu, czemuż się do tego otwarcie nie przyznawał?

Czemu nie rzekł? "Bracia moi! Dobrą nowinę przynoszę!"

Brodacz stał nieporuszenie, uważnie patrząc na wszystkich obecnych. Na koniec rzekł:

- Który z waszmościów jest panem Slotylą?

- Ja - wysunął się pan Filip czerwony i zmieszany.

- Mam dla waści posłanie od krewniaka przebywającego w niewoli. Poufne, osobiste...

- Odejdźmy zatem na stronę - odparł Slotyło, rozumiejąc, o co chodzi.

Poszli do izby, tej samej, którą rozbił granat otwierając przejście do

lochu. Przez rozdarty pułap, nieszczelnie założony deskami, przeglądało chmurne tego dnia i niskie niebo.

Brodacz obejrzał się, czy nikogo prócz nich nie ma, i chwycił pana Filipa za rękę...

- Daruj waszmość, że przyszedłem... Nie mogłem z niepokoju wytrzymać! Nie mogłem... Kłopotu żadnego nie przyczynię, w biedę cię nie wplączę, bo zaraz, zaraz odejdę... Jeno mi powiedz... ona tu jest? Zdrowa? A dzieci? Żywe? Zdrowe? Czemuś tak długo nie wracał?!

- Cała rodzina waszmości jak dotąd zdrowa i cała. Jest tutaj, synów pokażę ci, gdy wyjdziemy stąd... Dzielne chłopaki, wszyscy ich lubią i chwalą... Najwięcej ojczym, miecznik, który prawdziwym ojcem jest dla nich... Ja nie wracałem, bo chciałem najpierw wymiarkować, poznać ich dobrze... A potem... potem... potem mi jakoś trudno było wyjechać.

I biedny pan Filip zaczerwienił się po uszy.

- Jakeś się waść do nas dostał? - podjął, by zmienić rozmowę. - Jakże cię Turcy puścili?

- Mówilem im, że mnie serdar posyła, a że po turecku przednio gadam, więc nic nie spostrzegli. Tak samo wyjdę i, da Bóg, podkop zaczęty wysadzę. Ale waść mi opowiadaj o niej... O mojej żonie... Ja czekałem... Boże, jak czekałem... Mówże!

- Ona... ona myśli wciąż o waszmości...

- O mnie!?

- Domyśla się, że żyjesz... Sama mi opowiadała, iż chwili spokojności nie ma. Zresztą masz tu waść najlepsze świadectwo (wyciągnął z zanadrza

raptularzyk miecznikowej). Zgubiła te zapiski, więc je schował dla waści.

Bo tu co krok o tobie wspomina...

Wilczek chwycił łapczywie książeczkę i drżącymi rękami otworzył.

- Gdzie? Gdzie?!

- Ot, tu na przykład, na tej stronie:

- ...Przepis doskonały na farbowanie płatków płóciennych... - zaczął czytać Wilczek.

- Nie to, nie to! Poniżej!

- ...Boże, nie karz mego dziecka...

- Widzisz, to się odnosi do waści... A dalej tu...

- ...Wosku odebrano dwa kamienie...

Trochę niżej...

- ...Zdało mi się w nocy, że stał jak żywy w komnacie i groził...

Wilczek zamknął książeczkę nagłym ruchem.

- Och, gdybym ją mógł zobaczyć, uspokoić! Nieboga moja! Ja jej grozić?...

Ale tej pociechy już w życiu nie otrzymam... Synów mi przynajmniej pokaż...

Wyszli na dziedziniec, gdzie z ciekawością oczekiwano ich powrotu. Przeor przystąpił do Słotyły.

- Złe czy dobre wiadomości, żeś waść taki zaalterowany?...

- Niespodziewane, niespodziewane... O, co tak cicho?... Turki nie strzelają?

- Przestali jak zwykle, gdy poselstwo jest.

- Z mojego powodu nie mogli przestać! - zawołał Wilczek i wyjrzał za mury.

Na urwistym stoku, opuszczonym przez żołnierzy, poruszał się człowiek nagi do pasa, w dziwacznym turbanie. Machał rękami, podskakiwał, pędził przed sobą coś niewielkiego, czarnego...

- Kura! - wykrzyknął ze zdziwieniem starszy z młodych Wilczków, który miał najlepszy wzrok.

- Kura! Rzeczywiście! Czarna kura! - powtórzyli inni.

- Po co ją tu gna?

- Może posłyszał, żebyśmy chętnie jajecznicę zjedli...

- To czarownik - orzekł Wilczek przyglądając się uważnie. - Rzuca uroki. Trzeba go spędzić z powrotem... Jeżeli kura podejdzie pod zamek, Turcy nabiorą dufności, że go rychło wezmą...

- Zaraz wezmę kwokę na cel...

- Lepiej byłoby ją zgonić, żeby zawróciła ku nim. Znam obyczaje tureckie. To ich więcej przerazi niż przegrana bitwa. Zdarzało się, że od oblężenia odstępowali, bo ptak, czary niosący, zawrócił...

- W takim razie bacność, waszmościowie! Kto strzeli przed kurę tak, by jej nie zabić, ale spłoszyć?...

- Ja - wysunął się młody Wilczek.

- Starszy syn waści - szepnął do ucha posłowi Słotyło - a tamten drugi...

Chłopak naciągnął niewielką myśliwską kuszę. Wargi zagryzł. Skurczył się w sobie jak młody jastrząb, strzelił. Zakurzyła się ziemia tuż przed kurą, która zatrzepotała skrzydłami i gdacząc przeraźliwie jęła uciekać z powrotem.

Z okrzykiem radości derwisz rzucił się za nią.

- Jeszcze raz! Żeby nie stanęła! A sio!!...

Skupili się wszyscy na murze, śledząc ucieczkę czarnoksiężnika i jego ptasiego posłańca. Korzystając z tego brodacz podszedł do synów.

- Byłem przyjacielem waszego ojca - rzekł - przy mnie zmarł... Przy mnie zmarł - powtórzył dobitnie - wspominajcie kiedy o nim...

Przycisnęli się jeden do drugiego, zakłopotani, nie wiedząc, co rzec.

- Który jest wasz ojczym? - zapytał.

- Wskazali ręką miecznika. Podszedł ku niemu.

- Byłem przyjacielem Wilczka, przy mnie skonał... Wdzięcznym waści za ojcowską opiekę, jaką darzysz jego dzieci...

- Dobra krew frasunku nie przyczynia - odparł miecznik. - Waści znałeś

Wilczka? Byłeś przy jego zgonie? Więc nie umarł przygnieciony koniem w potyczce?

- Owszem, z tego przygniecenia skonał w parę godzin później...

- Kiedyście się więc przyjaźnili?

- Przedtem...

- Mówiłeś, że od dziecka zostajesz u pogan!?

...Wpadł sam w matnię, biedaczysko! - pomyślał Filip z rozpaczą.

Pośród stojących zaległo przykre milczenie.

Brodacz zmierzył wszystkich hardym spojrzeniem.

- W jakim celu ta indagacja?

- W tym celu - odparł Chrzanowski - by wiedzieć, zali możemy wierzyć ci lub nie...

- Wasza wola. Ja mówię prawdę. Król rozniósł ordę i lada dzień tutaj

będzie. Trzymajcie się! Trzymajcie się! Wilczka znalazem. Bardzo dobrze. I wiem, że umarł. Umarł i nie wróci...

Urwał, bo ze zrujnowanego środkowego gmachu wyszła Bilińska z Pawłusiem

na rękę. Słyszając, że w strzelaniu nastąpiła przerwa, chciała wynieść małego na powietrze. Posłyszała ostatnie słowa przybysza i stanęła jak wryta. On wpatrzył się w jej postać drobną, wychydlą i zmęczoną, w dziecko uczezione na szyi, przymknął na chwilę oczy, gwałtownym ruchem nasunął turban na twarz i obrócił się ku wyjściu.

- Otwórz waść! - rzekł rozkazująco do Bieganowskiego stojącego przy furcie.

Szlachcic już położył dłoń na ciężkiej belce stanowiącej zaworę, gdy miecznikowa zawołała błagalnie:

- Aby chwilę, aby chwilę poczekaj waść!

Oddała dziecko mężowi. Mały nie chciał jej puścić i rozkrzyczał się w niebogłosy.

- Otwierać! - powtórzył brodac. - Muszę już iść!

- Nie odchodź waszmość! - błagała miecznikowa szamocąc się z dzieckiem.

- Moja żona prosi waści, byś się wstrzymał chwilę! - zawołał Biliński z gniewnym zdziwieniem w głosie.

- Wszak znalazłeś jej męża... Miejże zrozumienie! - poparł przeor.

- Nie mogę, nie mogę... Puście!

Lecz w tej chwili niewiasta dopadła go i przychwyciła za połą:

- Byłeś pono przy jego śmierci, mów o nim!!

Poruszył suchymi wargami ukrytymi w brodzie. Szepnął:

- Do ostatniego tchu błogosławił swoją żonę...

- Kiedy to było?

- Dziś... - westchnął ledwo dosłyszalnie.

Odepchnął ją szorstko i skoczył ku furcie. Obecni patrzyli na

nizrozumiałą scenę w osłupieniu. Dziecko na ręku miecznika płakało.

Brodacz

sam odciągnął zaworę, Bieganowski nie wiedział, zali mu przeszkadzać lub

puścić. Kobieta patrzyła, patrzyła... Nagle osunęła się na kolana.

- Stanisław! - krzyknęła przeraźliwym głosem. - Stanisław!...

Powlokła się na klęczkach, jakby chcąc objąć jego nogi. Podniósł ją.

Leciała mu przez ręce półżywa.

- Wilczek! - wykrzyknął przeor. - Żem go nie poznał od razu!

- Wilczek! - powtórzył komendant Chrzanowski.

- Wilczek, Wilczek z Sokolemy!... - rozległo się szmerem w koło. Miecznik

bladł, to czerwieniał na przemian. Pan Filip rozplakał się i uciekł.

Nieszczęście się stanie za chwilę, a któż mu winien? On, on, co w

niewczesnym afektem wiedziony, nie wrócił z poselstwem w porę... Ot, co

jest, gdy stary dureń rozgorzeje!

Wilczek podprowadził do miecznika słaniającą się żonę.

- Daruj waść - rzekł - żem powrócił. Nie winię was obojga... Los

chciał.. Nie powinienem był przychodzić, ale sądziłem, że nikt mnie nie

pozna, a wytrzymać z niepokoju i trwogi nie mogłem. Ostańcie z Bogiem!

- Do klasztoru pójde! Do klasztoru! - jęczała kobieta.

Wilczek pogładził ją po głowie.

- Jakże do klasztoru pójdiesz, dzieci niechając? Toć rzekłem, że cię nie winię... Możecie mnie od dziś sprawiedliwie za umarłego uważać... Z Bogiem!

- Za pozwoleniem! - rzekł miecznik - to ja się winienem usunąć...

- Nie. Waść zostaniesz. Synów ci oddaję w opiekę.

- Waścine prawa starsze, lepsze, a mojemu dziecku, wierę, serca nie poskąpisz...

- Darmo o tym mówić. Zostań!

Odpychali się wzajemnie od furty. Energicznym ruchem przeor wtargnął między nich:

- Ludzie, opamiętajcie się! Co zamierzacie!

- Ja odchodzę - objaśnił Wilczek.

- Nieprawda! To ja!

- Dokąd? Do Turków?

Biliński zacukał się nieco, z czego zakonnik skorzystał, by przedłożyć:

- Jegomość Wilczek ma przebranie i, jak suponuję, zna pogańską mowę. Ale waść? Ostańcie obaj, pomagając przy obronie... Codziennie kilku z nas ginie... Jeszcze parę dni, a nie wiadomo, czy kto przy życiu ostanie... Bóg rozstrzygnie wasze prawa... Gdybyśmy zaś cudem ocaleli, ksiądz biskup dobrodziej rozsądzi...

- Nie! Nie! - zawołał porywczo Wilczek - ja odejść muszę! I przysłużę się wam przez to lepiej, niż zostając. Poznałem już turecki obóz. Prosto stąd

pójdę zapalić prochy złożone przy zaczętych podkopie. Wysadzę całą robotę.

W

Bogu nadzieja, że mi się to uda. Nim zaczną ryć na nowo, król nadejdzie...

- Ja pójdę z waścią! - postanowił Biliński.

- Ze mną!? Już waść słyszałeś, że to niemożliwe.

- Będę milczał jak ryba... Włożę zawój...

Wilczek wzruszył ze złością ramionami.

- Nie pomoże zawój. Naraziłbyś waść na szwank całe przedsięwzięcie. To o ratunek nas wszystkich idzie. Ja jeden mogę to zrobić... Odsuńże się! Puść!

- Nie puszczę, chyba że razem pójdziemy. Przecież ja ostać nie mogę!...

- Boże! Boże! - jęczała kobieta. Siedziała w kucki na ziemi, dziecko

trzymając na podolku. Chwiała głową w prawo, to w lewo z bezmierną

rozpaczą. Modliła się, by mina wybuchła i położyła koniec wszystkiemu. Nic

już nie słyszeć, nie wiedzieć... Młodzi Wilczkowie stali opodal, nie

rozumiejąc, co się dzieje. Spoglądali wokół bezradnie.

Tamci dwaj zaś mierzyli się wzrokiem, stojąc przy furcie i wzajemnie

zastawiając sobie przejście. Poprzednie szlachetne uczucia ustąpiły miejsca

wrogości. Szczęki im się zwierzały nienawistnie. Zaprawdę nie mogli obaj żyć

na świecie!

Pozostali patrzyli na nich w milczeniu. Panna Kunegunda darmo szukała w

pamięci analogicznego wypadku. W zawitych dziejach znanych jej rodzin

nigdy

się nic podobnego nie zdarzyło. Ojciec January modlił się cicho. Może Boga

prosił o radę. Lecz jakaż mogła się znaleźć rada?

Miecznik Biliński, patrząc na żyjącego męża swojej żony, myślał:

... Oto upiór... Muszę mu ustąpić miejsca, oddać dobrą, ślubną

towarzyszkę człowiekowi, którego dawno oplakała, zapomniała... Dlaczego?

Wszakże jest moja... Dziecko jest moje... Cóżem ja winien...

Z przerażenia stwierdzał, że życie dotychczas tak proste, wytyczone łatwą

mądrością przysłów i sentencji, splątało się w węzeł niemożliwy do

rozwikłania. Znał wiele maksym. Żadna nie dałaby się zastosować do

obecnego

położenia. Chyba ta: Rozwiąż lub przetnij!... Rozwiązać nie można, więc

przeciąć... Przetnij... Śmierć... Dlaczego on ma ginąć, a nie tamten? Sam

się przy tym upiera... Dlaczego właściwie?... Ach, bo wie, że jeżeli upiór

brodaty odejdzie, ni on, ni żona nie zaznają już nigdy spokoju...

Wilczek myślał:

...Biada mi, że tutaj przyszedł! Umarłym nie wolno wracać... Ona go

miłuje... Nie stanęła przy mnie... Uchodzić stąd, uchodzić co rychlej...

Na miejsca! - krzyknął z góry Jakobowski, łucznik. Po przerwie w

strzelaniu, spowodowanej praktykami derwisza, Turcy rozpoczęli zwykłe

bombardowanie. Kule leciały z szumem jak złowrogie ptactwo. Oprócz kul

miotano zapalone kwacze i garnki pełne płonącej mazi. Załoga musiała

wyżyć całą uwagę, by nie dopuścić pożaru. I jakkolwiek boleśnie splątały

się losy trojga ludzi stojących przy furcie, niechano ich, zajmując się

obroną.

Wilczek skorzystał z tego, porwał swój kij z białą płachtą i odsunął

zaworę.

- Ostańcie w zdrowiu! - zawołał. - Żono! niech cię Bóg najwyższy strzeże!...

Odpowiedziała głośnym, żalonym jękiem. Miecznik wyskoczył za odchodzącym, przytrzymał.

- Nie ujdiesz! Musisz ostać! Ja pójdę! Potrafię...

- Oszalałeś... - bronił się daremnie Wilczek.

Zza wału janczarowie patrzyli na ten spór. Widzieli, że niewierny usiłuje serdarowego posła wciągnąć z powrotem do twierdzy. Porwali się biec na pomoc. Nim stojący na murach obrońcy spostrzegli niebezpieczeństwo, miecznik padł przeszyty kilkoma strzałami na raz, a rozwścieczeni janczarzy parli wprost pod furtę.

- Ognia! Ognia! - ryczał Strumillo. Zagrzmiały wszystkie muszkiety.

Poprzez gęste kłęby dymu ujrzano jeszcze Wilczka, jak otoczony przez janczarów odchodził, niosąc z godnością na ramieniu kij z białą płachtą parlamentarską. Kierował się w stronę szanćów osłaniających zaczęte podkopy...

I zaledwie zdążono ciało miecznika, leżące pod furta, zabrać do twierdzy i na śmierć je przyochędożyć, powietrzem targnął huk cięższy od grzmotu.

Ziemia jęknęła. Za pierwszym wybuchem nastąpiły dalsze, aż cała góra zdawała się drgać.

W obozie nieprzyjacielskim zapanował zamęt. Pośród setek zatłonych pochodni dojrzano z dala złocistą lektykę serdara niesioną śpiesznie na miejsce wypadku.

- Musiał niemałą szkodę poganom wyrządzić - domyślał się przeor. -

Wieczny odpoczynek rać im obu dać, Panie!

**- ...A światłość wiekuista niechaj im świeci! - odpowiadali chóralnie
obrońcy.**

`tc

Rozdział Xvii:

Oswobodziciel

`tc

**Czarna kura zawróciła do Turków z powrotem, podkop został zniszczony,
pogoda się popsowała, stała wietrzna i zimna, lecz król nie nadchodził, a
oblężonym nie działo się lepiej. Doszli do ostatecznego kresu, gdy nic nie
pozostaje prócz martwej rozpacz. Zamek zamienił się w bezkształtną kupę
gruzów. Na pociski dział tureckich odpowiadały już tylko trzy działa.**

**Żywności nie było wcale. Zabijano i jedzono konie. Mdłe, słdkawe mięso nie
chciało przejść przez gardło. A ciągle zaduch, a woda o trupim zapachu!**

**- Pokonali mnie - rzekł Chrzanowski do żony, a było to piętnastego dnia
oblężenia. - Nie podolamy. Dziś wieczorem wypuszczę wszystkich tajemnym
chodnikiem. Może nas Turcy nie spostrzegą...**

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

**- Myślisz chyba o kobietach i dzieciach? Ale one same nie pójdą bez
mężów...**

- Myślałem o... wszystkich...

- Chcesz się poddać?! - krzyknęła.

- Nikt, kto tę twierdzę zobaczy, nie rzeknie, żeśmy ją lekko oddali...

- Zdumieje, że tyle wytrzymawszy nie dotrwaliśmy do końca! Janie, to

nieprawda! to niemożliwe! Ty... ty!

- Nie mogę dłużej - wyznał chyląc głowę.

- Król lada godzina nadejdzie...

- Nie wierzę w nadejście króla. Chłopcy go widać nie znaleźli. Nie wierzę w nic, co Wilczek powiadał. Gdyby tak było, król dawno by już nadciągnął...

Natomiast wiem, że lada chwila wysadzą nas w powietrze... Słyszysz te stuki pod nami?... Ostatnia godzina nadchodzi...

- Czyż nie potrafimy śmierci spojrzeć prosto w oczy?

- Patrzyłem jej nieraz... Nie o siebie stoję... Ale ci ludzie... Ci wszyscy ludzie... Te kobiety... Bilińska... Stańska... Nieganowska...

Tabarowiczowa... Krasnodębska... wszystkie z dziećmi...

- Janie, opamiętaj się! Nie uratujesz ich tak czy tak, a swojemu obowiązkowi chybisz!...

- Obowiązek swój spełniłem... Któż utrzymałby się tak długo, jak ja?...

- Twój obowiązek to zginąć tutaj, w tych murach!

- Dopóki mury są zdatne do obrony... czy wiesz, ile mamy amunicji?

Dziesięć pocisków armatnich i prochu tyle co na śmiech... A minę dowiercili już pod sam zamek. Słyszysz, jak kują nasz zgon?...

- Zgon, ale nie hańbę. Ja ci uchodzić nie zezwolę. Rozumiesz? Żebyś cię miała zabić, nie zezwolę!

Próbował się uśmiechnąć.

- Zabić? Ty, mnie?

- Ja, ciebie! Bo pohańbić się nie możesz! mam puginał... Zabiję ciebie i siebie i nikt nie będzie wiedział, żeś stchórzył przed śmiercią.

Patrzył na nią ze zdumieniem, podziwem i przerażeniem.

- Jesteś chory - ciągnęła łagodniej - chory z głodu i zmęczenia. Połóż się, a komendę zdaj teraz mnie... Obiecuj, że nie ruszysz się stąd i nic nie zrobisz bez mojej wiadomości.

- Obiecuję - przystał. Był rzeczywiście nieludzko zmęczony. Ułożyła go na tapczanie i przykryła derką. Wyszła. On leżał z przymkniętymi oczami, wyczerpany ciałem i duchem. ...Całkiem jak Ożga - pomyślał z gorzkim szyderstwem, lecz nie miał siły podnieść się. Pod stopami wyczuwał, niby stękanie ziemi, odgłosy pracy tureckich minierów. Próbował rozeznaczyć, w którym miejscu podłóżą minę? Pod bramą? Pod basztą?

Anna Dorota Chrzanowska szła na pozór spokojnie przez dziedziniec.

Kręciło jej się w głowie z osłabienia, lecz najwyższym wysiłkiem woli wspięła się na zrujnowany mur. Przy strzelnicach stało kilkunastu ludzi.

- Pułkownik zasłabł - rzekła do nich - namówiłam go, by krzywą wypoczął, zapewniając, że waszmościowie nie sfolgujecie bez niego, jak nie folgujecie przy nim...

- ...Jużci... jużci... - mruknął bezdźwięcznie starszy Stański. - Dopóki jest proch, strzelamy. Kiedy go zbraknie, amen.

- Prochu jeszcze na jutro powinno wystarczyć...

- Jeżeli Turcy zwawiej się nie ruszą i będziemy tak cykać jak teraz, to starczy.

- Jestem pewna, że król nadejdzie dziś lub jutro - zapewniła żarliwie.

- Od wielu niedziel to sobie powtarzamy.

Przetarł czerwone, obolałe od dymu i bezsenności oczy. Ze strony

tureckiej pociski leciały gęste i natarczywe jak zwykle, z polskiej
odpowiadano oszczędnie i z rzadka. Komendantowa usiadła. Śledziła
wzrokiem
zgarbioną, postarzałą Bilińską-Wilczkową, która przesuwała się przez
dziedziniec z chorym dzieckiem na ręku, i ogarnęły ją wątpliwości, kto miał
słuszność: mąż czy ona? Czy należy dać ludziom wyzyskać ostatnią deskę
ratunku, czy też kazać im ginąć, nie pytając o zdanie? Zali nie powinni
rozstrzygać o tym sami?

Podniosła głowę. Słotyło był najbliżej. Zwróciła się do niego.

- Gdyby kto rzekł waszmościom, że można z zamku zbieżać, czy
niechalibyście obrony, życie salwując?

- Salwowałibyśmy przede wszystkim życie niewiast i dzieci - odparł bez
wahania.

- A wy, mężczyźni? Obrońcy?

- Pewnikiem uczynilibyśmy to, co by komendant chciał. Kazałby ostać -
ostalibyśmy...

- Czy wszyscy myślą tak samo? Bo waćc jesteś niepospolitej odwagi...

- Ja?! - zaprotestował gorąco, lecz ona już zwróciła się z poprzednim
pytaniem do Bieganowskiego.

Szlachcic przetarł czarną od prochu dłonią uznojoną twarz.

- Bogać mi - odrzekł - że nie wiem, czemubyśmy nie mieli wszyscy zbiec,
skoro tu i tak nic nie działamy.

- Bo pewnie - poparli drudzy.

- Jeno jak? Czy komendant ma jakiś sposób?

- Nie wiem...

- Ejże! - zawołał Szczygielski - może komendant sam myśli o ucieczce, nas tu zostawiając?

- Gdzie komendant?

Wyprostowała się, blada z gniewu, groźna.

- Za tę obelgę odpowiedziałbyś ciężko waść, jeno już czasu nie stanie. A to wam powiem, że mój mąż i ja w żadnym wypadku nie opuścimy tej twierdzy i

zginieśmy razem z nią. Bo nas tu miłościwy pan postawił nie dla ucieczki, ale dla żołnierskiej śmierci. A największa cnota to wytrwać do końca...

Zrozumiałeś?...

- Raczcie wybaczyć, pani. Człowiek z tej biedy sam nie wie, co gada...

Odwróciła się od niego z milczącą wzdargą i zmierzyła wzrokiem pozostałych.

- Nuże! Którzy chcą uciekać?

Żaden się nie odezwał. Wstyd ich zdejmował przed tą mężną babą, co odrzucała możliwość ratunku. Jakoż było im, mężom, przyznać się, że wolą słomiany żywot niż jedwabną śmierć, jakby powiedział nieboszczyk Biliński.

- Powiadajcie! - nalegała Anna Dorota.

- ...Największa cnota wytrzymać do końca... - powtórzył Bieganowski zwolna, jakby rozważając każde słowo. - A no tak... największa cnota...

I głośno oznajmił:

- Jeżeli komendant ma sposób wypuścić niewiasty z dziećmi z zamku, niechże to czyni co rychlej. My z nim razem ostaniemy. Tak nam dopomóż,

Boże wszechmogący i niewinna Jego Męko!

- Amen - powtórzyli wszyscy.

- Jeno chorążego razem z niewiastami wypuście - dopominał się pocziwie pan Słotyło.

Prawda, chorąży! Wszyscy o nim zapomnieli, gdyż od dłuższego czasu, chorym ze strachu będąc, nie pokazywał się wcale. O tak, chorąży niech idzie. To tchórz. Oni nie pójda. Nie będą tchórzami.

Prawie z wdzięcznością spojrzeli na pułkownikową. W jej twardych oczach zabłysły lzy. Miękkim, ciepłym głosem krzyknęła:

- Czemuż puszczacie tego pohańca tak blisko!?

Chwyciła z ręki Jakubowskiego łuk, naciągnęła, puściła strzałę. Trafiony w ramię Turek wrzasnął gniewnie i cofnął się przezornie ku swoim.

- Jeszcze żyjemy, a te ścierwy już nałożą jak muchy na padło! Trzeba im pokazać!

- Zemdlilo mnie czegoś - tłumaczył się Jakubowski. - A strzał mam już tylko siedem...

- Co to słyhać? - przerwała mu pułkownikowa, dając znak wszystkim, by zmilkli.

- Wiercenie w skale słyhać... Już są pod naszymi stopami...

- Nie! To nie w ziemi... To tam! - wskazała dłonią. - Słuchajcie! Jezu miłosierny! Słuchajcie!

Wyteżyli uszy. Po chwili wiatr przyniósł wyraźny, choć daleki pogłos strzałów.

- Rany boskie! Od zachodu! To są nasi! To król nadchodzi! Jezu! Jezu!...

- A Słowo stało się ciałem!

Sadząc jak młódka przez wały kamieni, przez wyrwane odrzwia, zrujnowane komnaty, pani Chrzanowska wpadła do izby, gdzie leżał jej mąż.

- Armaty gdzieś biją! - krzyknęła bez tchu. - Janie!

Odrzucił derkę i wypadł za nią, jakby mu lat ubyło. Już wszystko, co było w zamku, wybiegło na mury, słuchając z uniesieniem palby zwiastującej zmartwychwstanie. Musiano ją posłyszeć również w tureckim obozie, gdyż wszczął się tam gorączkowy ruch.

Chrzanowski słuchał z rozjaśnioną twarzą.

- Biją równo jak na paradzie. To nie bitwa. To nam salwami dają znać, że już nadchodzą...

- Doczekaliśmy się...

- Idźcie powiedzieć chorym, a szczególnie ojcu Januaremu! Pozdrowieją z uciechy!

Lecz ojciec January już nadchodził, podtrzymywany, a raczej niesiony przez młodych Wilczków. Lico miał blade jak płótno, ale krasila je radość.

Podniósł z wysiłkiem dłoń i błogosławił tym, co wytrwali, i tym niewidocznym jeszcze, którzy nadchodzili.

Pan Chrzanowski odzyskał zwykłą przezorną energię i nalegał, by nie radując się przedwcześnie, być w pogotowiu do odparcia ostatniego szturmu.

Bo kto wie, czy poganie nie spróbują jeszcze raz szczęścia, niech więc niewiasty i ranni wracają na dół z powrotem.

- Kul już nie mam - zawołał ochoczo pan Stański - ale skoro król jest blisko, będę poganów łomotał pięściami!

- Wywróżyła im czarna kwoka! Ze wstydem odejdą! Szkoda, że miecznika nie ma, powiedziałby jaką sentencję...

- Powiedziałby: "Przyszedł Turek z wielkim pyskiem, poszedł sobie z małym zyskiem"... Szkoda miecznika, szkoda...

- Szkoda wszystkich, którzy dzisiejszego dnia nie dożyli...

- Oplaciło się pocierpieć...

- Pięściami waść wiele nie wyłomocesz, ale kamieniami będziem prac. Po starodawnemu, kamieniami! Dawajcie je sam tu!

- Tej amunicji nie zbraknie!

Krzętałi się, nagle wzmocnieni, orzeźwieni, radośni. Zbawcze salwy

umilkły, ale nikt się tym nie trwożył. Król dał znak, że nadchodzi, i

dobrze. Nie będzie przecie bez końca prochu psuł, ani zatrzymywał pochodu dla strzałów w powietrze.

Baterie tureckie umilkły, myślano, że zaraz janczary ruszą, ale szturm

nie nadchodził. Nie piął się nikt na stoki. Co więcej, zmlkły stukoty i

kołatania w skale. Odwołano snadź minierów.

- Może w nocy chcą napaść - mówił komendant. Więc czuwali wszyscy,

wypatrując w ciemności oczy, rzucając co pewien czas zapalone smolne

głownie, by oświetlić zbocza wzgórze i umieszczone naprzeciw bramy

zamkowej

tureckie wały. Za wałami panował taki gwar, stukot, szczęk, tupotanie koni,

że natarcie zdawało się niewątpliwe.

Nie nastąpiło jednakże. Noc zeszła spokojnie dla oblężonych. Noc długa,

październikowa. Przecież to już był październik! Rano obfita mgła okryła

obóz, zбочza góry, ruiny spalonego miasta i rzekę. Spłynęła wilgocią po zniszczonych wieżach. Ludzie poruszali się w mlecznej mgławicy jak widma. Z niewidzialnego obozu tureckiego dochodziły nadal niezrozumiałe odgłosy.

Powoli mgła uniosła się do góry, zwiastując dzień dżdżysty. W burym świetle ukazywały się wały, aprosze... Na wałach nie ujrzano czarnych paszczy dział... Za wałami spostrzeżono ludzi. Na równinie nie bieląły namioty. Olbrzymi obóz turecki znikł w przeciągu jednej nocy. Ibrahim Szyszman, Tuścioch, naczelny wódz Mahometa IV, nie zdobył się na stawienie

czoła Sobieskiemu. Podjazdy wysłane przezeń wczoraj wieczór stwierdziły, że król polski ze znacznymi siłami zdąża szybkim pochodem, nie wprost do Trembowli jednak, ale nad Dniestr. Ibrahim Szyszman przeraził się, że zostanie odcięty od mostu pod Żwańcem, i postanowił śpieszny odwrót na Husiatyn. Po szesnastodniowym oblężeniu twierdza była wolna.

`pk.

Dopiero w tydzień później, zaniechawszy pościgu Ibrahima, król wjeżdżał w bramę oswobodzonej Trembowli. Przez ten czas zdołano już nieco uprzątnąć dziedziniec, pochować trupy i naprawić studnię.

Gdy straże dały znać, że wojsko nadchodzi., cała załoga skupiła się przed bramą. Czekali oswobodziciela wzruszeni, przejęci. Straszne dni, które minęły, zdawały się już snem, zmorą, jaka człowieka nawiedza, jeśli zmęczony usnie bez pacierza. Z trudnością uświadamiali sobie, że tak się działo istotnie, że mdleli z głodu, pragnienia, zmęczenia, że wokół nich padali zabici i ranni, a głowa pękała od huku. Dziękując Bogu za to, że ich

żywym wywiódł z tego piekła, wspominali serdecznie towarzyszy, co razem z nimi obronę zaczynali, a których dzisiaj nie stało. Strumillo, znakomity puszkarz, burmistrz Tarabowicz, młodszy Stański, Łuszczewski, czterech zakonników, miecznik Biliński, podstarości Kozłowski i wielu, wielu innych. Trudno byłoby wszystkich wyliczyć. Niemalże też było rannych - ojciec January między innymi - umarło kilkoro dzieci, dwie niewiasty zginęły rażone odłamkami granatu, umarł chorąży, pan Ożga. Tego nie zabił granat ani pocisk, lecz wiadomość o odsieczu. Przez tyle dni żył w trwożnym oczekiwaniu śmierci, że nie wytrzymał nagłego odprężenia, i gdy panna Kunegunda wpadła do niego z krzykiem: "Król nadchodzi!" - usiadł na łóżku, wybałuszył oczy, coś zabelkotał nieprzytomnie i ducha wypuścił. Pani Katarzyna, potrójna wdowa, pozbawiona opiekuna, pozostawiona na świecie samotna jak palec i tym tęskniej spoglądała na pana Słotyłę, który udawał, że tego nie spostrzega.

Z panem Filipem działy się niedobre rzeczy. Zamiast dzielić ogólną radość, chodził stroskany i smutny, unikając ludzi. Z niecierpliwością oczekiwał, aż przeor wyzdrowieje, by mu się zwierzyć i wyspowiadać. Na razie gryzł się sam. Nękały go wyrzuty sumienia. Że dwaj zacni ludzie, Wilczek, który tyle wycierpiał, Biliński serdeczny, lubiany przez wszystkich, ojciec rodziny, zginęli - było jego winą, jego i niczyją więcej. Gdyby on, Słotyło, był w porę wyjechał z Trembowli, Wilczek nie byłby tu przyszedł. Nikt nie wiedziałby nadal o jego istnieniu. Poza tym martwił się, że nie wypełnił należycie obowiązków opiekuna. Powierzyli mu Kościńscy trzech synów (niby dwóch, ale później przybył trzeci) i co się z

nimi dzieje? Nie ma żadnego przy sobie. ...Biorąc cudze dzieci pod opiekę - myślał - trzeba wiedzieć samemu, co się chce uczynić, a nie jechać w świat na oślep. Stary dureń jestem, zwykły stary dureń...

Powtarzał to sobie ze szczególną satysfakcją. Stwierdzenie bowiem własnej nieudolności dotyczyło i trzeciej, bynajmniej nie najłżejszej bolączki:

Kasia! Odkąd spostrzegł, że mógłby liczyć na jej wzajemność, odsunął się i zamknął w sobie. Miłował ją z każdym dniem mocniej, miłował spóźnioną, a zarazem pierwszą miłością odludka, nieśmiałego dziwaka, lecz równocześnie unikał uparcie.

Uciekał przed nią niby zając przed ogarem i wszyscy znajomi, dla których afekt pana Filipowy z dawna nie był tajemnicą, spoglądali ze zdumieniem na te niezrozumiałe manewry.

On zaś rozumował: Mój brat jest infamisem, przeto nazwisko Slotylów splamione. Nie mogę nadkruszonego klejnotu ofiarować szlachetnie urodzonej

białogłowie. Myślałem, że ową plamę chwalebny czynkiem zetrę, nie uczyniłem jednak nic zgoła... Jeżeli Kasia spogląda na mnie bez wstrętu, to dlatego, że nie wie o Jaroszu i jego nieszczęściu... Nie łącno mi o tym mówić. Moim obowiązkiem myśleć o odnalezieniu brata i ratować go przed desperacją, nie o żeniactwie. A najgorsze, że Kasiénka ma mnie za dzielnego męża, za wojaka, ba, za bohatera! Dlatego mnie widzi rada... Gdyby wiedziała, jak rzeczy stoją... oho! Plunęłaby i odeszła. A całe życie nie mogę jej wszak okłamywać, siarczystego udawać, szablą brząkać. Nawet dla miłości nie zdołałbym tego uczynić, nie, za nic!

... Więc nic mi nie pozostaje, jeno uciekać co rychlej. Aby jeszcze

krzyneń na nią z daleka popatrzeć... aby jej głosu posłuchać... aby jej

kształt przyjemny sercu dobrze zapamiętać i uciekać...

Takie to myśli targwały panem Słotyłą, gdy stał i zerkał ukradkiem w

stronę niewiast, czekając na króla. Pani Niesobina zdjęła na tę okazję swój

zwykły wdowi czepiec i w lekkim stroiku na głowie, w barwnej jak szczygieł

szacie była tak urocza, że biedny koroniarz czuł się do reszty pogrążony.

Obok niej stała Bilińska w podwójnej żałobie, ze starszymi synami przy

boku, z Pawłusiem na ręku. Wyglądała jak uosobienie nieszczęścia i ten

widok przypominał nieszczęsnemu jego grzech i winę. Czuł się niegodny i bez

żadnego protestu przyjąłby wyrok śmierci lub infamii. ...Zasłużyłem na

niego bardziej niż Jarosz - stwierdzał z przekonaniem... - On zamordował w

afekcie, w pasji, gdy ja...

- Jedzie! - krzyknął strażnik, stojący na baszcie, i zatrąbił w wielki,

staroświecki róg. Kanonierzy chwycili za lonty. Ostatnie dwa posiadane

naboje miały być zużyte na wiwaty. Barwny wąż wojska ukazał się poza

miastem, zamigotały w słońcu kopie husarskie i proporce. Przyjechali przez

most wzniesiony przez Turków na miejsce dawnego, który pan Strumiłów

nieboszczyk obalił.

- Ognia! - zakrzyknął komendant.

Stał pod rozbitym łukiem bramy z twarzą groźnie namarszczoną, by ukryć

wzruszenie, trzymając w ręku klucze twierdzy. Jakaż radością było

oddawanie

je prawowitemu panu! Dla takiej chwili warto było przecierpieć dwakroć

więcej i dziesięć...

Król zsiadł przed mostem zwodzonym z konia i wkraczał zadowolony, pogodny. Wziął klucz, przycisnął pana Chrzanowskiego do piersi i ucałował jak brata. Pan Chrzanowski rozplakał się w głos. Ponad jego ramieniem Sobieski okiem znawcy spojrział na zniszczone mury, na potrzaskane ganki, na ziejące wielkimi otworami strzelnice i spalone dachy.

- Żadnej chyba fortecy - rzekł z uznaniem - z równą furią nie dobywano, ani broniono z podobnym męstwem. Jest na co popatrzeć. Pokazaliście całemu światu, że i Turkom obronić się można, cnotliwie poruczonego miejsca chroniąc. Wieki będą o waszej obronie pamiętać, na równi z Troją, ze Zbarazem i Kremlem ją stawiając.

- Najmniejsza w tym moja zasługa, miłościwy panie - zapewnił Chrzanowski.

- Wszyscy nad podziw mężnie stawiali, przykładem swoim mnie krzepiąc. Z taką

załogą można się bronić... Gdy zaś nadszedł ciężki dzień, że wszystkim nam ducha zabrakło, podtrzymywała nas moja małżonka...

Jejmość Anna Dorota, uroczysta, w nowym czepcu, dygnęła nisko przed królem.

- Wyznam najszczerzej - ciągnął pułkownik - że był moment, iż chciałem z zamku z załogą uciekać... powiedziała mi wtedy, że jeżeli to uczynię, przebiję mnie mieczem i siebie...

- Nas do boju zagrzewała, pielęgnowała jak matka! - zakrzyknęli

Szczygielski i Stański.

- Bez niej nie wytrwalibyśmy! - przywótwórzyli inny chórem.

- Dalibóg, chyba tylko w Polsce są podobne białogłowy - rzekł król, ujął z szacunkiem szorstką, spracowaną dłoń pułkownikowej i podniósł do ust.

Wyrwała ją zaploniona.

- Ciężkie przeżyliście dni - mówił dalej Sobieski, oczami wodząc po murach. - Nie mogłem wcześniej zdążyć. Że Ibrahim wszystkimi siłami na was nastaje, dowiedziałem się, stojąc pod Mieczyszczowem, dnia 24 września.

Zaraz też chciałem ruszyć z odsieczą. Poszliśmy pod Liatyn, skąd cztery mile było do was niespełna, i z armat kazałem grzać, żebyście wiedzieli, że idę, a Turków, żeby zemdlilo.

- Nie posłyszeliśmy...

- Wiem, mówiły mi owe żaki, co mnie dopadły za Monasterzyskami...

Spojrzał poza siebie i dopiero wtedy zauważono Kostka i Olka, jednako a dostatnio odzianych, rozpromienionych jadących w świecie królewskiej.

- Konie mieliśmy setnie utrudzone - ciągnął król - i chciałem dać im wytchnienie przez dzień, ale tyle mi owi dwaj nagadali, a skomleli, że zaraz jeszcze tej nocy kazał trąbić wsiadanego... Widzę, że dobrze się stało...

- Ciężko byłoby przetrzymać jeszcze jedną dobę, miłościwy panie...

- Znać to... Żaki nie przesoliły... Sprawily się dobrze, więc ich zatrzymuję przy sobie na dworze... Uciechy będzie nie mało z tego podobieństwa, niejedną krotochwilę da się o tym spisać... Jeno uczyć się muszą, jużem im to zapowiedział... Nie lubi nasza szlachta do książek

zaglądać, ale wiedza człowiekowi potrzebna, i bardzo...

Widmo nauki, tak dawniej nie lubianej, nie przerażało teraz widocznie bliźniaków, dawali bowiem obraz sobowtóra radosnego. Oczy im tryskały weselem. Panu Filipowi połowa ciężaru spadła z serca.

Król mówił:

- ...Strzelaliśmy tedy spod Liatyna na znak. Działa tureckie słyhać było u nas całkiem wyraźnie, a nasze widno wiatr zniósł... Sądziliśmy, że je słyszycie... I postanowiłem iść wprost ku Dniestrowi mijając Buczacz, żeby poganów od Żwańca odciąć i z powrotem nie puścić... Powolnie to nam szło, bo rzeki po drodze grząskie... przeprawy trudne. Chwalić Boga, że nas pacholki dognały...

- Kamieniami już mieliśmy odpierać nieprzyjaciela, bo prochu nie stało...

- Na najbliższy sejm wniosę, by waszmościom wszystkim Rzeczypospolita gratitudo okazała...

- Nie dla nagród czyniłem... - zaczerwienił się Chrzanowski.

- Wiem o tym. Ale od matki nagrodę przyjąć nie wstyd...

Mówił coś dalej, czego już pan Filip nie słyszał. Przepchnął się między jezdnymi do swoich chłopców, wziął ich serdecznie w ramiona, obiecał, że do ojców co rychlej napisze.

- Z Wickiem widzieliście się? - pytał.

- Nie widzielim go jeszcze - odparli równocześnie - ale może już tu jest, bo mówiono, że chorągwie pana Miączyńskiego za nami przyszła...

Pożegnał ich tedy Słotyło i poszedł pytać o husarzy Miączyńskiego. Wojsko królewskie rozłożyło się na miejscu tureckiego obozu. Rozpytując się

napotkanych o to, gdzie jaki pułk stoi, pan Filip myślał, że winien czuć się zadowolony. Chłopców powierzonych jego opiece spotkało wyjątkowe szczęście. Najszlachetniejsze rody ubiegały się wszak o zaszczyt oddania synów na królewski dwór. Ucieszą się starzy Kościńscy! Wicek znów husarzem... Tak, tak powiodło się chłopakom...

Szczęśliwą rękę ma pan Filip... Szkoda, że nie dla siebie... On sam - cóż teraz będzie czynił?... Brata szukał i Kasię Niesobinę wspominał. Będzie sam, wciąż sam jak palec...

I zrobiło mu się tak jakoś czczo, że prawie pożałował, iż oblężenie już się skończyło, minęły owe straszliwe dni, gdy szczupła gromadka niedokarmionych ludzi, sprężona w jedną czujną całość, dobywała sił ostatnich. Czuł się wówczas potrzebny, czuł, że chodzi o wielką rzecz, a co będzie czynił teraz?...

Szedł pogrążony w tych myślach, gdy ktoś uderzył go przyjacielsko po ramieniu.. Słotyło obrócił się i oniemiał. Brat Jarosz stał przed nim w swej własnej osobie. Czerstwy, opalony, pogodny, w hełmie na głowie i z szablą przy boku.

- Bracie! - wykrzyknął pan Filip radośnie, rzucając mu się na szyję -
bracie!

Nie śmiał pytać wywołańca, skąd się tu wziął między rycerzami? Ukradkiem jest, czy jawnie? Zostanie, czy znów ucieknie? Starszy zrozumiał te nieme pytania.

- Nie ma już infamisa! - zawołał wesolo - pod Lwowem miłoścowi pan hańbę ze mnie zdjął... Takim sam dobry, jak ty i każdy... Wojna skończona,

wracamy do domu...

- Boże, Boże wielki! Co za szczęście... - bełkotał pan Filip ledwo

wierząc uszom - jak to się stało?... Opowiedz.... Toż to cud prawdziwy...

Bracie mój kochany, bracie!...

- Opowiem ci wszystko, jeno chodźmy na kwaterę, bo tu się na nas ludzie oglądają... Chorągiew tatarską, co przy samym chanie noszą, pod Lwowem wzięłem, a czerwoną szarfą byłem przepasany, żeby mnie z dala widzieli...

Bez zbroi... Pokłudy mnie tęgo pogany, alem się rychło wylizał...

- Bogu dzięki! Bogu dzięki! - powtarzał pan Filip, niezdolny powiedzieć nic więcej ponad te dwa słowa. ...O tak, niech Bogu będą dzięki... Brat odzyskany... klejnot oczyszczony... Więc może... - zaczerwienił się gwałtownie. - Chodziłem tu szukać Wicka - objaśnił.

- Wicka tu nie ma. Połowa husarii ostala pod Lwowem, pułkownik

Miączyński

sam tu jest, Kościńskiego widziałem niedawno. Rozrósł się chłop. Do synowicy burmistrza koperczaki stroi. Po bitwie go chwalono, że do miecza zmyślny... Powiadaj teraz, co z tobą?... Po licha jeździłeś do Trembowli?

Dobrze, że cię tutaj nie ubili! Jakaś się przy szturmach sprawiał?

Powiadaj! Wielu poganów zabiłeś?

- Poganów nie zabiłem ni jednego, alem wodę ciągnął i inne takie posługi czynilem... Przyjechałem tutaj proszony przez jednego nieszczęśliwego człowieka, który już nie żyje... Pamiętasz onego brodacza, przez którego dałeś mi znać, że wyjeżdżasz ze Lwowa, żebyś cię nie szukał...

- Pamiętam, ale nie wiem, kto był zacz. Straceniec pewno, jakim ja

wówczas byłem... Cóż ów brodacz?...

- Opowiem ci tę sprawę, żalosalną bardzo... I jeszcze inne... (znów się zaczerwienił). Chodź jednak lepiej ze mną do zamku...

- Pójdę chętnie zobaczyć, jak się broni. Dziwy o tym opowiadają.

I poszli. Pan Filip kroczył zamyślony. Ofiarować teraz Kasi swoje nazwisko, czy nie? Wyznać bratu swój afekt i prosić go, by w swaty szedł? Przyjmie go Kasia, czy nie przymie?...

Serce mu kołatało, aż się zasapał idąc pod górę. Chwilami przystawał, ocierał pot z czoła, choć dzień był zimny i wietrzny. Jarosz spoglądał na niego z współczuciem.

- Zmizerowałaś się setnie, chudziaku.

- Nie to, nie to, nic nie wiesz... ja ci wytłumaczę.

I bił się z myślami dalej, odpowiadając ni to ni owo na ciągle pytania

Jaroszowe dotyczące obrony, podkopów tureckich, wałów przez które przechodzili. Nareszcie brat zniecierpliwił się i rzekł:

- Nie tylko zmizerowałaś się, aleś i zgapiał ze szczętem.

- To prawda - przyznał z pokorą pan Filip.

I szli dalej. Na zamku pochwyciła ich zaraz panna Kunegunda. Wraz z miecznikową Bilińską zamierzały jutro odjechać z Trembowli, a przed wyjazdem pragnęła pomówić jeszcze o stolnikowiczach.

- Miło mi poznać waści - rzekła do Jarosza dygając - nie wątpię, że równie dzielny kawaler jak brat. O, bo to rezolut, rezolut! Wszyscyśmy go podziwiali... Granat pękający wodą zalał... Ducha się nie uląkł...

- Nie może być! - zdumiał się Jarosz. Pan Filip próbował przerwać, panna

Kunegunda ciągnęła:

- ...To jeno mi dziwne, że przyjechwaszy tyli kawał drogi umyślnie, by posłyszeć o stolnikowiczach, krewniakach, Piotrze, co był ożenion z Barbarą z Rogalów herbu własnego i Janie ożenionym z Masłowską herbu Samson, laskawego ucha teraz użyzyć nie chce. A ja cały czas oblężenia wciąż o tej sprawie myślałam... Wierzajcie mi waszmościowie, że to myślenie walną było obroną przeciw alteracji... Bywało, od grzmotu dział nic nie słyhać, był sypie się zewsząd, jakoby sądny dzień nadchodził, a ja w kąciku cicho siedzę, koronkę w placach przebieram, na przemian to paciorki odmawiam, to koligatów, krewniaków wspominam, aż w końcu wcale huku nie słyszę... Uwierzycie, waszmości? Nie słyszałam zgoła... Gdyby nieboszczyk chorąży również umysł stateczną pracą zajął i nie alterował się tyle, żyłby szczęśliwie do dzisiaj... Łuby już mamy spakowane... Pani Niesobina jedzie razem z nami...

- Pani... Niesobina... jedzie?... - wyjąkał z przerażeniem pan Filip.

- A na cóż ma czekać? - zapytała heraldyczka nieżyczliwie.

- Nie wiem... ja nic... ja także wyjeżdżam...

- Przecież waść nie wiesz jeszcze, gdzie krewniaków szukać?

- Rezygnuję - wyznał ze smutkiem pan Filip - wracamy z bratem do domu...

Panna Kunegunda wzruszyła niechętnie ramionami.

- Wracasz waść, rezygnujesz? Po cóż tyle się głowiłam? Tyle trudu daremnego?!...

- Submituję się najpokorniej... Okoliczności zaszły niespodziane,

które... Chciałbym się pożegnać z jejmość miecznikową dobrodziejką...

Weszli do budynku. W izbie pełnej powiązanych łubów nie było pani

Bilińskiej. Niewieścia kiecka zaszeleściła w sąsiednim alkierzu, ucichła

jednak, gdy nadeszli, a na wołanie panny Kunegundy nikt się nie odezwał.

Widno to wiatr szumiał dziurawymi deskami pułapu. Zaprawdę, najwyższy

czas

był szukać innego schronienia niż ta ruina, w której ziąb i wilgoć

przejmowały...

- Moja bratowa pewnikiem zaraz nadejdzie, spocznijcie, waszmościowie.

Można przysiąc na tych tłomokach... Więc waćpan wyjeżdżasz? Zawdy mi

mówiono, że koroniarze skorzy są, ale niestali. Prawda to ista. Koroniarz

tylko ma statku, co sarna ogona - prawil zawsze mój śp. brat, miecznik...

Pan Filip czerwony i nieszczęśliwy wiercił się niespokojnie na zwiniętym

w ślimak sienniku.

- Na Boga, waćpanno dobrodziejko! Cóżem niestatecznego uczynił!?

- Nie ma w twierdzy nikogo, co by ci tego nie wypomniał. Animusz masz,

ale poczynasz dzieła i nie kończysz... Przyjechałeś ze świata pytać o

stolniczków, a teraz o nich nie stoisz... Tamtej niedzieli nadzieję

czyniłeś, a nie deklarujesz się...

- Ja nadzieję czynilem?! Ja!? Komu!?

- Ejże, nie udawaj wać humanśkiego głupca! Komuż, jak nie Kasi!?

Nieboszczyk mój brat jeszcze w Sokolemie mówił: "Pali się jegomość Slotyło,

pali, aż dym czuć"... Wszyscyśmy to widzieli, i komendant, i

komendantowa... Wszyscyśmy życzliwie czekali, tymczasem, gdy ona sierotą

ostała, waść dudy w miech i wyjeżdżasz...

Jarosz Słotyło słuchał rozmowy ze wzrastającym zdumieniem. Jego brat miał animusz... Jego brat palił się do niewiasty, a jak z dyskursu wynikało, niewiasta do niego... Dziw! Dziw!...

Pan Filip był bliski płaczu.

- Ranisz mnie waćpanna za każdym słowem najdotkliwiej. Skoro już tak szczerze mówim, wyznam, czegom nikomu nigdy nie powiedział, ani rodzonemu bratu. Miłuję panią Niesobinę dobrodziejkę tak, że krew bym dla niej wytoczył z radością. Milsza mi niż cały świat. Za jej spokojność, za jej szczęście gotowym żywot położyć. Gdyby moją żoną ostała, straciłbym zmysły ze szczęścia, bom się nigdy w żadnej niewieście nie kochał, a im leciwszy afekt, tym silniejszy. Przecie deklarować się nie będę i odjadę, serce sobie krwawiąc a obraz jej do śmierci w pamięci nosząc. Drzewiej dwie były fundamentalne przeszkody naszemu związkowi. Pierwsza szczela szczęśliwie, o czym mi wiadomość przywiózł mój brat dobrodziej, przeto wymieniać jej nie będę, druga ostała i nie odstanie. A tą przyczyną jest nadto dobre mniemanie, jakie wszyscy macie o mnie... Bo powiadacie: animusz ma, rezolut jest, wojenny mąż... I dlatego pani Niesobina dobrodziejka łaskawym okiem raczy na mnie spoglądać, te cnoty we mnie uznając. A ja ani mężny, ani rezolut, ani siarczysty, ani wojenny. Spokojny jestem człek. Do wojaczki nikt mnie dobrowolnie nie namówi, szabli do ręki nie lubię brać, zwady z

nikim nie szukam, człowieka bym nie skaleczył...

- Prawda to, prawda - przyznawał Jarosz.

Panna Kunegunda słuchała oszołomiona.

- Widzieliśmy wszyscy, jak mężnie stawaleś...

**- Ej, dobrodziejko! Niewielkie to były przywagi... Nie takiego męża
trzeba pani Niesobinie, która trzech najognistrzych kawalerów miała.**

**Wiedząc, jaki jestem w gruncie, aniby na mnie spojrziała... Powiadał mi
kiedyś nieboszczyk pan miecznik: "Po nie śmiałym jeźdźcu konia, a po
śmiałym mężu wdowy nie należy brać... Święte słowa! Zapamiętałem je
dobrze.**

**Moje życie - to w domu spokojnie siedzieć, gospodarstwem się kłopotać,
zbożem, jak rośnie, spoglądać... Miedzą iść i patrzeć, czy żyto sięga
wysoko... Po wiosnie czekać lata, a po jesieni zimy i...**

**Urwał, bo w sąsiednim alkierzu zafurkotały spódnice. Sploniona, zmieszana
wychynęła się Kasia.**

- Filipie! - zawołała z uniesieniem, wyciągając ku niemu obie dłonie.

**Pan Filip zachwiał się z wrażenia. W oczach stanęły mu świece. Zbudził
się w nim krewki mąż, porwał niewiastę w objęcia, przytulił, nie dbając o
obecnych. Wnet jednak zawstydził się bardziej niż ona i radby zrejterował,
ale już było za późno.**

**- Nareszcie! - pisnęła radośnie panna Kunegunda - nareszcie się
zadeklarował!**

**- Bogać mi, Bogać mi! - powtarzał Jarosz Słotyło bijąc się dłońmi po
bokach z zadowolenia. W duszy myślał: niczego, całkiem niczego bratowa... Z**

cicha pęk ten Filip, tyle lat mydlka udawał... A niechże mu Bóg da zdrowie!

Pana Filipa nadal dręczyły skrupuły.

- Gdybyś, jejmościanko najmilsza, słyszała - rzekł - z czym się tu przed chwilą zwierzał, odeszłaby cię serdeczność ku mojej osobie...

- Właśnie wszystko słyszałam!... - odszepnęła - i dlatego... mój jejgomościu...

- Kasieńko! - krzyknął Słotyło już przekonany. Łzy radości stanęły mu w poczciwych borych oczach. Ani się spostrzegł, gdy kapnęły na wąsiska.

- Ejże, bez mazgajstwa! - huknął Jarosz. - Wiwat młoda para! Miodu dajcie, żeby popić!

Chlipiąca głośno ze wzruszenia panna Kunegunda ostrząsnęła się na ten wykrzyk.

- Jużci, że miodu trza przynieść i wszystkim obwieścić!... Zalecę do komendanta...

Puściła się pędem, poprawiając przekrzywiony stroik na głowie. Myśl, że ona pierwsza opowie nowinę, dodała jej skrzydeł. Na dziedzińcu stał pan Jakubowski.

- Zrękowiny! - krzyknęła ku niemu, nie przystając. - Zrękowiny! - pisnęła w samo ucho pana Szczygielskiego.

- Czyje? waszmościanki? - spytał szlachcic nie bez zdziwienia.

- Moje?! Skądże?! Pani Niesobina z panem Filipem Słotyłą!... Zrękowiny!

Zrękowiny!...

Rozpędzona wpadła do paradnej zamkowej komnaty, równie zrujnowanej jak

pozostałe, lecz nieco oporządzone, i w progę stanęła spłoszona. Laboga! -

zapomniała, że król jegomość tu się znajduje. Komendant Chrzanowski i przeor Raczkowski świadczą mu, siedząc po bokach, a pani Chrzanowska sama

usługuje. (Król Jan III lubił zjeść nie lada jako i lubił przy jedzeniu widzieć w koło siebie zadowolone twarze).

Panna Kunegunda zawstydzona swym wtargnięciem dygnęła nisko i cofnęła się

od proga. Ale Sobieski już ją zoczył.

- A z czym waćpani? Wejdźże śmieie, wejdź.

Nic ją bardziej nie mogło ucieszyć. Samemu królowie powie. Podeszła, dygając znowu.

- A bo zrękowiny mamy w twierdzy, miłościwy panie...

- Hej, to i amor tu szturmował, nie tylko Turek? A czyjeż?

- Jegomości Slotyły z panią Niesobiną.

- Szczęść im Boże! - zawołał przeor - godna to para. Dawno my się tego spodziewali, wzajemny afekt widząc, i dziw nas brał, że się kawaler ociąga...

- Rad bym ich obaczył, a zdrowie wzniośl - oświadczył laskawie król.

Pobiegła więc panna Kunegunda powrotem, pułkownik poważnie ruszył za nią.

- Gratulacje chcę najszczerze złożyć i przed oblicze miłościwego pana prosić - oznajmił zakochanym, tkwiącym nadal nieporadnie w szczęśliwości swojej i w tym samym miejscu, gdzie ich zostawiono.

- Rety! - jęknął pan Filip - za nic nie pójdę!

- Ani ja! - przywodziła zaploniona wdowa.

- Nie gadajcie byle czego! Miłościwemu panu chcecie odmówić?!

Niewdzięczność za jego życzliwość okazać?!

- Wolejby się pod ziemię zapadł! - biadał pan Filip, ale pułkownik już wiódł Kasię, panna Kunegunda dreptała za nim, a Jarosz ciągnął go w pól.

- Opamiętajże się! - burczał zniecierpliwiony - toć nie żaden wstyd się zenić.

- Nie wstyd młodemu... - odpowiadał pan Filip. - Nie ciągnij mnie tak...

Przecie idę... Myślę i pojąć nie mogę, dlaczego Kasia rada?...

- Owa, gorszych niedolegów niewiasty sobie obierają - pocieszył go brat.

I ta uwaga trafiła panu Filipowi do przekonania.

- ...Gorszych... A jużci... Nienajgorszym może... Ano...

Wchodzili już do komnaty. Król czekał rozweselony.

O dlaboga, toć ja waćpana znam! - zawołał życzliwie - staliśmy spolem na jednym chutorku pod Lwowem.

- Miłościwy pan raczy pamiętać?... - wzruszył się pan Słotyło obejmując kolana królewskie.

- Żołnierskie mam oko, pamiętliwe. Z Lubelszczyzny jechałeś waść, by z poganami wojować... Miłyś mi. I waści znam - zwrócił się do Jarosza - tyżeś pod Lwowem chorągiew tatarską wziął i na samego chana nacierał?...

Jarosz w milczeniu skłonił się głęboko. Pokraśniał z dumy, a zarazem z zadowolenia, że król nie dopowiada wszystkiego, nie dodaje, jak to własnoręcznie z lecącego przez ręce, skutego spisami, odpiął czerwoną

szarfę infamisa.

- A oto jejmość Katarzyna z Ożgów, primo voto Brochowicz Kącka, secundo voto Dołężyna, tertio voto Niesobina, a w rychłej przyszłości Slotyłowa...

- Trzykrotnie voto? - zdziwił się król spoglądając na lica wdowy, gładkie jak młodej dziewczyny. - Cóżeś waćpani, na Boga, z mężami czyniła? Krew z nich jako Harpia ssalaś? Ryzykant pan Slotyło!!

Przeor pośpieszył z pomocą zmieszanej Kasi.

- Wszyscy trzej małżonkowie jejmość pani Niesobiny - zapewnił - szlachecką śmiercią zginęli, w zwadzie albo w boju...

- Dajże ci Boże dłużej teraz pożyć w stadle i szczęśliwych lat zaznać - rzekł król serdecznie. - Siadajcie tu obok mnie.

Pan Filip znów pokłonił się nisko, po czym spojrział na narzeczoną z taką czułością, że Sobieski aż się uśmiechnął. Sam miłował gorąco swoją Marysieńkę i znał wagę prawdziwego męskiego uczucia.

- My Polacy - zauważył - miłujemy nasze ślubne białogłowy bardziej pono, niżli to w innych nacjach we zwyczajach. Pono i ulegamy im bardziej. Dworują sobie z tego różni po świecie mędrkowie... Owóż ja mniemam, że tak dobrze czynim, bo niewiasta polska przoduje wszystkim innym białogłowom w rozumie, męstwie i statku.

Zamyślił się po tych słowach, odstawiając zaczęty kielich. Polskie białogłowy, to znaczyło jego matkę, jego babka hetmanowa Żółkiewska, to nie ta, którą kochał - nie jego żona! Umiłowana serca i duszy ozdoba, Marysieńka, nie jest Polką i nie ma tych zalet...

- Waćpaniś z tych stron? - zagadnął uprzejmie,, odganiając tamte myśli.

- Tak jest - odparła śpiesznie Kasia - po ojcach mam tu substancję i po ostatnim nieboszczyku mężu...

- Tedy ostaniecie tutaj, i co chwała Bogu. Potrzeba tej ziemi ludzkiego szczerego serca, potrzeba!

Zawahali się oboje z odpowiedzią. Co prawda, panu Filipowi ani w głowie dotąd postać, by miał na zawsze osiąść w tym kraju, rok rocznie pustoszonym przez Tatarów. Do Drażgowa rad by ptakiem lecieć wraz z umiłowaną, do kochanego cichego Drażgowa.

Nim zdążył coś odpowiedzieć, Jarosz go uprzedził.

- Jeden z nas, miłościwy panie, pozostanie bez ochyby...

- To i dobrze. Tak się spodziewałem. A teraz zdrowie młodej pary! Niech jej Bóg błogosławi! A zamieniliście już pierścienie?

- Nie zdążyłim, bo ini co...

- Tedy macie! - Sobieski zesunął z placa kosztowny pierścień i podał z uśmiechem zapłonionej Kasi. - Bierz, bierz, nie wstyduj się. A strzeż tego czwartego męża, by ci go znów nie zasiekli.

`pk.

- Żenię się, smarkacze! - zawołał pan Filip natknąwszy się w godzinę później na obu bliźniaków. Poprzednie jego onieśmienie minęło, oswoił się już z nową godnością rychłego żonkosia. Stąpił pewnie i spoglądał na narzeczoną zaborczo.

- Kostek dawno to przepowiadał! - wykrzyknął Olek - a ja prawilem zawdy, że jegomość przy Staroście do końca zostanie.

- Myślałem, że dowcip u was jednakowy, a pokazuje się, że Kostkowy

bystrzejszy...

- Kto zacz Starościna? - przerwała pani Kasia zaniepokojona.

- A ot, tam ją czyszczą... Kobyła... Hultaje chłopaki myślały, że już

niczego lepszego niewart... Ja sam tak mniemałem... A teraz się

odmieniło... Tyle mi lat spadło z głowy, że jeszcze was obu zaskoczę!

Obaczycie!

- Radzi obaczym - zapewnili, z trudem powstrzymując śmiech. Co do

Mateusza i Grzeli, śmieli się całkiem otwarcie poza plecami swego pana. Ot,

panisko bryknęło na starość... A niechaj! Może dzięki temu prędzej powrócą

do domu...

...Do domu... Jarosz Słotyło zabrał brata od boku Kasięńki, by z nim

pomówić poważnie.

- Widzi mi się - zaczął po prostu - że nie rad byś tu ostawać?

- Nie - przyznał szczerze pan Filip - za spokojnym kątem tęsknimy boje.

Trapi mnie jeno, co król jegomość powie, gdy odjedziem...

- Nie troskaj się. To ci rzekę: bierz na własność moją połowę Drażgowa, a

puść mi w dzierżawę wsie, co tu Kasia posiada. Tenutę wspólnie ustalim,

obaczywszy, co one warte. Ja tu bardzo rad ostanę. Podoba mi się ten kraj

lepiej niż rodzony. Tchu więcej... Wojaczka co roku... I to ci jeszcze

rzekę, że choć hańbę ze mnie zdjęto, niemilo by mi było w tamte strony

wracać, z Dydyńską obżałowaną wdową się spotykać, na te same miejsca

patrzeć...

Pan Filip wziął go w ramiona serdecznie.

`pk.

I tak się stało. Ostał Jarosz Slotyło na dziedzictwie Oźgów, a brat z żoną powrócił nad Wieprzę. Ta tylko zaszła niespodziewana odmiana, że i Jarosz się ożenił niebawem. Wyswatała go panna Kunegunda z krewniaczką, wnuką odnalezionego wreszcie młodszego stolnikowicza (tego, co pojął Barbarę z Masłowskich...) Panna była dorodna, na koniu siedziała przednio, szablą umiała czynić w potrzebie jak żołnierz. Działki się im darzyły i Slotylów przybyło na Rusi. Przybyło i Kościńskich, bo Kostek z Olkiem osiedlili się z czasem również na Podolu. Raz jeden tylko odwiedzili dom rodzicielski, niegdyś opuszczony. Dziw, jak to rodzime gniazdo zdało im się ciasne i szczupłe, gdy je przyrównywali do podolskich, wołyńskich rozłogów. Pola, lasy i rzeka z sunącymi po niej tratwami i stary, spróchniały już bróg, gdzie mieli niegdyś ulubioną kryjówkę, i łąka, i karczma... Zdawało się to wszystko kiedyś szerokie jak świat, a teraz, gdy przyjechali ze świata, patrzyli ze ściśniętym sercem, że zamknąć można to w garści. Dziwili się, że gdy oni żyją tam wartko, żołniersko i bujnie, ścinając się z poganami - tu nie zmieniło się nic, ale to nic. Rodzice postarzel, matka bardziej była jeszcze wzdychająca i frasobliwa. Tekla poszła do klasztoru (wianował ją stryj Paweł, ten, co w Masterdamie drzewem handlował), Weronika i Jędrak wyrosli, wieś zdała się jeszcze biedniejsza. Fiszel pobierał myto po dawnemu. Na gościńcu po dawnemu snuł się tam i sam korowód próżniaczej szlachty jadącej z sejmiku na okazowanie, z okazowania na roki sądowe czy na zabawę sąsiedzką. Dawniej niedolatków, spoglądających z

konarów gruszy na gościniec, zachwycało to życie hałaśliwe i barwne, ruchliwe jak kiermasz. Lecz teraz znali inne zbrojne korowody, inne starcia, inne walki i obrony - przeto mierzła ich bezcelowość tutejszej buńczucznej parady. Za młodzi byli, rozumem niedosyć mocni, by starać się zmienić to życie, napić je inną treścią, przeto woleli odjechać mimo lzy matczynej. Powrócili na Podole. Czuli się tam bardziej swojo niż na ojcowiznie. Wokoło mieszkali im podobni rycerze-osadnicy, z rodów co najprzedniejszych, najtężniejszych, owi, co woleli toczyć ustawiczny tutaj turniej z pohańcami niż pyskować na sejmikach i słuchać oracyj. Zabudowywali się gęsto, stawiając dwory blisko siebie, dla łatwiejszej wspólnej obrony, otaczali częstokolem, skąd całą okolicę zamieszkałą przez taki lub taki ród nazywano zaściankiem - że za ścianą siedzą. Czystości klejnotu strzegli bardzo pilnie, a gdy od Turka był spokój, gospodarzyli na roli. Zatknąwszy szablę na miedzy, orali niezaludnione polacie, odwracali skiby czarnoziem, nie uprawiane od lat. Ani się domyślając, jak doniosłą służbę sprawują, budowali zwartość polską, mocny fundament siły Rzeczypospolitej, mur warowny, strzegący wnętrza Ojczyzny od wroga - a miłując ten kraj piękny, ich obecności możność istnienia zawdzięczający, czuli się w pełni szczęśliwi.